ŚLADY ZBRODNI

JO NESBØ

ZAZDROŚĆ

Gdy budzi się **zazdrość**,
zasypia **sumienie**

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JO

NESBØ

ZAZDROŚĆ

Przełożyła z norweskiego
Iwona Zimnicka

WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

Zapraszamy na **www.publicat.pl**

Tytuł oryginału
Sjalusimannen og andre fortellinger

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Ilustracja na okładce
© bogdan ionescu/Shutterstock

Koordynacja projektu
MONIKA KACZMAREK

Konsultacja opowiadania „Zazdrość”
PIOTR DROŻDŻ

Redakcja
IWONA GAWRYŚ

Korekta
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Copyright © Jo Nesbø 2021
Published by agreement with Salomonsson Agency
Polish edition © Publicat S.A. MMXXI (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6139-0

Konwersja: eLitera s.c.

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Londyn

Zazdrość

Kolejka

Śmieć

Przyznanie się do winy

Odd

Kolczyk

Przypisy

LONDYN

Nie boję się latać samolotem. Szansa na to, by przeciętny pasażer linii lotniczych zginął w katastrofie samolotu rejsowego, wynosi jeden do jedenastu milionów. Inaczej mówiąc: szansa na śmierć w fotelu samolotowym w wyniku zawału serca jest osiem razy większa.

Odczekałem, aż maszyna wystartuje, wzbije się w powietrze i osiągnie wysokość przelotową, dopiero wtedy wychyliłem się na bok i ściszonym, uspokajającym – jak miałem nadzieję – głosem zaserwowałem tę statystykę szlochającej, roztrzęsionej kobiecie na siedzeniu przy oknie.

– Ale oczywiście statystyka ma niewielkie znaczenie, kiedy człowiek się boi – dodałem. – Mogę tak powiedzieć, ponieważ doskonale wiem, co pani czuje.

Do tej pory nie przestawałaś wyglądać przez okno, ale teraz odwróciłaś się powoli i spojrzałaś na mnie jak ktoś, kto dopiero w tej chwili orientuje się, że sąsiedni fotel nie jest pusty. Wartość klasy biznes polega na tych kilku dodatkowych centymetrach między siedzeniami, dzięki którym człowiek przy odrobinie koncentracji może sobie wmówić, że jest sam. Wspólnym mianownikiem dla pasażerów tej klasy jest nierozwiewanie owej iluzji rozmową poza wymianą krótkich grzecznościowych formułek i ewentualnym poruszeniem kwestii czysto praktycznych („Czy nie będzie przeszkadzać, jeśli zasłonię okno?”). A ponieważ dodatkowe miejsce na nogi umożliwia wyjście do toalety czy dostęp do półki z bagażami bez konieczności skoordynowanej współpracy, z reguły w pełni możliwe jest całkowite ignorowanie współpasażerów, nawet jeśli podróż trwa pół doby.

Z wyrazu twojej twarzy odczytałem lekkie zaskoczenie złamaniem przeze mnie tej obowiązującej w klasie biznes zasady numer jeden. Coś w twoim niewymuszenie eleganckim stroju – spodniach i swetrze w kolorach, które w moich oczach nie pasują do siebie, ale przypuszczam, że nosząca je osoba z całą pewnością wie, że jest odwrotnie – powiedziało mi, że minęło już sporo czasu, odkąd podróżowałaś klasą ekonomiczną,

jeżeli w ogóle kiedykolwiek tak było. No ale mimo wszystko płakałaś, więc czy to nie ty zburzyłaś tę domyślną ścianę? Z drugiej strony płakałaś odwrócona ode mnie, wyraźnie pokazując, że nie chcesz się tym dzielić ze współpasażerami.

No cóż, zrezygnowanie z rzucenia kilku słów pociechy graniczyłoby z ostentacyjnym chłodem, mogłem więc tylko mieć nadzieję, że zrozumiesz mój dylemat.

Twarz miałaś bladą i zapłakaną, a mimo to zadziwiająco piękną, jakby elfią. A może piękną czyniły cię właśnie bladość i zapłakanie? Zawsze miałem słabość do tego, co kruche i delikatne. Podałem ci serwetkę, którą przed startem stewardesa umieściła pod szklankami z wodą.

– Bardzo dziękuję – powiedziałaś, wzięłaś serwetkę, zmusiłaś się do uśmiechu i przyłożyłaś bibułkę do rozmazanego tuszu pod okiem. – Ale nie wierzę.

Potem znów odwróciłaś się do okna, przyłożyłaś czoło do szyby z pleksi, jakbyś chciała się schować, a twoim ciałem ponownie wstrząsnął szloch. W co nie wierzyłaś? Że wiedziałem, jak się czujesz? W każdym razie zrobiłem swoje i oczywiście zamierzałem od tej pory zostawić cię w spokoju. Chciałem obejrzeć pół filmu i spróbować zasnąć, chociaż nie liczyłem na to, że uda mi się pospać dłużej niż godzinę. Rzadko udaje mi się mocniej zasnąć w samolocie bez względu na długość lotu, a już zwłaszcza wtedy, kiedy wiem, że powinienem się przespać. Miałem spędzić w Londynie zaledwie sześć godzin, potem czekał mnie powrót do Nowego Jorku.

Zgasł napis „Zapiąć pasy” i po pokładzie zaczęła krążyć stewardesa; nalała świeżej wody do pustych szklanek stojących na szerokim solidnym podłokietniku, który nas rozdzielał. Przed startem kapitan poinformował, że tej nocy lot z Nowego Jorku do Londynu potrwa pięć godzin i dziesięć minut. Wokół nas niektórzy już rozłożyli siedzenia i naciągnęli na siebie koce, inni natomiast siedzieli z twarzami w poświacie z ekranów wideo i czekali na posiłek. Zarówno ja, jak i ty, zajmująca sąsiedni fotel, podziękowaliśmy stewardesie, gdy chciała nam wręczyć menu przed

startem. Ku swemu zadowoleniu znalazłem interesujący mnie film w kategorii „klasyka” – *Nieznajomi z pociągu* – i już miałem założyć słuchawki, gdy usłyszałem twój głos:

– Chodzi o mojego męża.

Ze słuchawkami w rękach odwróciłem się do ciebie.

Rozmazany tusz do rzęs otaczał twoje oczy jak teatralna szminka.

– Zdradza mnie z moją najlepszą przyjaciółką.

Nie wiem, czy zorientowałaś się, że nazywanie tej osoby w dalszym ciągu najlepszą przyjaciółką zabrzmiało dziwnie, ale nie miałem zamiaru cię korygować.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie chciałem się mieszać...

– Proszę nie przepraszać. Dobrze, że ludzie się przejmują. Za rzadko tak się dzieje. Śmiertelnie boimy się wzburzenia i smutku.

– Z pewnością ma pani rację – rzuciłem, nie wiedząc, czy mam odłożyć słuchawki, czy nie.

– Założę się, że akurat teraz ze sobą śpią – stwierdziłaś. – Robert jest zawsze napalony, Melissa też. W tym momencie pieprzą się w mojej jedwabnej pościeli.

Mój mózg automatycznie wyprodukował obraz małżeństwa trzydziestokilkulatków, w którym on zarabiał pieniądze, i to niemałe, a ty decydowałaś o wyborze pościeli. Nasze mózgi to eksperci od stereotypów. Czasami się mylą. Czasami mają rację.

– To musi być dla pani straszne – przyznałem, unikając dramatycznego tonu.

– Chcę umrzeć – oznajmiłaś. – Więc myli się pan, jeśli chodzi o samolot. Mam nadzieję, że spadnie.

– Ale ja mam tyle niezałatwionych spraw. – Zrobiłem zmartwioną minę.

Przez chwilę tylko się we mnie wpatrywałaś. Możliwe, że był to kiepski żart, a już na pewno fatalny timing, no i trochę zbyt bezczelny, zważywszy na sytuację. Przecież właśnie oświadczyłaś, że chcesz umrzeć, i podałaś nawet wiarygodny motyw. Żart mógł zostać odebrany jako nieprzyzwoity

przejaw braku wrażliwości lub przynoszące ulgę oderwanie od bezdyskusyjnej posępności. *Comic relief*, jak to nazywają, przynajmniej wtedy gdy działa. W każdym razie pożałowałem tego dowcipu, aż wstrzymałem oddech. Ale ty się uśmiechnęłaś. Ten uśmiech był zaledwie jak zmarszczka na kałuży, ukazał się i w tej samej chwili zniknął, lecz znów mogłem oddychać.

– Spokojnie – szepnęłaś. – Tylko ja umrę.

Spojrzałem na ciebie pytająco, ale unikałaś kontaktu wzrokowego, patrzyłaś gdzieś dalej w głąb pokładu.

– Tam, w drugim rzędzie, podróżują ludzie z niemowlęciem – powiedziałaś. – Z dzieckiem, które być może będzie płakało przez całą noc, w klasie biznes. Co pan o tym myśli?

– A co należy o tym myśleć?

– Rodzice powinni rozumieć, że ci, którzy zapłacili dodatkowo za korzystanie z tych miejsc, zrobili to, ponieważ potrzebują snu. Może jutro z samego rana idą prosto na jakieś spotkanie albo do pracy.

– Hm. Dopóki linie lotnicze nie odmawiają niemowlętom dostępu do klasy biznes, nic dziwnego, że rodzice korzystają z takiej oferty.

– W takim razie linie lotnicze powinny zostać ukarane za oszustwo. – Wytarłaś delikatnie skórę pod drugim okiem, wcześniej zamieniłaś serwetkę, którą ci dałem, na własną chusteczkę higieniczną. – Reklamują klasę biznes zdjęciami słodko śpiących pasażerów.

– Na dłuższą metę linie lotnicze poniosą konsekwencje, bo nie będziemy skłonni płacić za coś, czego nie dostaniemy.

– Ale dlaczego to robią?

– Rodzice czy linie lotnicze?

– Rozumiem, że rodzice się tak zachowują, ponieważ mają więcej pieniędzy niż przyzwoitości. Ale linie lotnicze chyba tracą na tym, że ich produkt nie trzyma jakości.

– Straciłyby też, gdyby uznano je za nieprzyjazne dzieciom.

– Dziecku chyba wszystko jedno, czy płacze w klasie biznes, czy w ekonomicznej.

– Ma pani rację, miałem na myśli przyjazne nastawienie do rodziców małych dzieci. – Uśmiechnąłem się. – Linie lotnicze pewnie się obawiają, że mogą zostać oskarżone o coś w rodzaju apartheidu. Problem oczywiście mógłby zostać rozwiązany w taki sposób, że osoby płaczące w klasie biznes zostaną przeniesione do klasy ekonomicznej i odstąpią swój fotel uśmiechniętej stabilnej osobie z tanim biletem.

Twój śmiech był miękki, pociągający i tym razem zdołał dotrzeć do oczu. Łatwo pomyśleć – i ja tak pomyślałem – że to niezrozumiałe, iż ktoś może zdradzać taką piękną kobietę jak ty, ale tak właśnie jest: nie chodzi o zewnętrzną urodę. Ani o wewnętrzną.

– Czym pan się zajmuje? – spytałaś.

– Jestem psychologiem i prowadzę badania naukowe.

– A co pan bada?

– Ludzi.

– Oczywiście. I jakie wnioski pan wyciąga?

– Że Freud miał rację.

– W czym?

– W tym, że ludzie z nielicznymi wyjątkami są niewiele warci.

Roześmiałaś się.

– Amen, panie...

– Proszę mi mówić Shaun.

– A ja jestem Maria. Ale ty wcale tak nie myślisz, Shaun, prawda?

– Że ludzie z nielicznymi wyjątkami są niewiele warci? Dlaczego miałbym tak nie uważać?

– Udowodniłeś, że troszczysz się o ludzi, a troska nie ma sensu, jeśli jest się prawdziwym mizantropem.

– Aha. A dlaczego miałbym kłamać?

– Z tego samego powodu. Bo troszczysz się o ludzi. Dlatego mówisz to, co chciałabym usłyszeć, dodajesz mi otuchy, twierdząc, że tak jak ja czujesz strach przed lataniem. A kiedy wyznaję, że jestem zdradzana, pocieszasz mnie, mówiąc, że świat jest pełen złych ludzi.

– Ojej. Z nas dwojga to ja jestem psychologiem.

– No widzisz, nawet wybór zawodu cię zdradza. Musisz przyznać, że przedstawiasz dowody przeciwne na swoje twierdzenie. Jesteś wartościowym człowiekiem.

– Chciałbym, żeby tak było, Mario, ale obawiam się, że moja pozorna troska to jedynie rezultat mieszczańskiego angielskiego wychowania oraz tego, że jestem wartościowy wyłącznie dla siebie samego.

Prawie niezauważalnie obróciłaś się w moją stronę.

– Zatem wychowanie przydaje ci wartości, Shaun. I co z tego? Twoja wartość tkwi w tym, co robisz, a nie w tym, co myślisz i czujesz.

– Chyba przesadzasz. Wychowanie sprawia jedynie, że nie lubię łamać zasad postępowania uznawanego za akceptowalne, w zasadzie więc nie ponoszę żadnej ofiary. Dostosowuję się i unikam nieprzyjemności.

– W każdym razie masz wartość jako psycholog.

– Obawiam się, że i pod tym względem budzę rozczarowanie. Nie jestem dostatecznie inteligentny ani pracowity, aby wynaleźć lekarstwo na schizofrenię. Gdyby samolot teraz spadł, świat straciłby jedynie dość nudny artykuł na temat efektu potwierdzenia w czasopiśmie naukowym, które czyta garstka psychologów, to wszystko.

– Kokietujesz?

– Owszem, trochę tak. Można to dodać do moich złych cech.

Teraz śmiałaś się już serdecznie.

– Nawet żona czy dzieci nie tęskniłyby za tobą, gdybyś zniknął?

– Nie – uciąłem krótko. Ponieważ miałem fotel przy przejściu, nie mogłem ot, tak zakończyć tej rozmowy, odwracając się do okna i udając, że w nocnym mroku dostrzegłem coś ciekawego w dole na Atlantyku. Wyjęcie

magazynu pokładowego z kieszeni w oparciu fotela przede mną wyglądałoby z kolei zbyt demonstracyjnie.

– Przepraszam – powiedziałaś cicho.

– W porządku – odparłem. – Co miałaś na myśli, mówiąc, że zamierzasz umrzeć?

Nasze spojrzenia się spotkały i po raz pierwszy zobaczyliśmy siebie nawzajem. I choć być może działa tu proces późniejszej racjonalizacji, to jednak wydaje mi się, że oboje dostrzegliśmy przebłysk czegoś, co sprawiło, że już wtedy zaczęliśmy przeczuwać, iż to spotkanie może zmienić wszystko – ba, już wszystko zmieniło. Możliwe, że tak wtedy myślałaś, ale nie pozwoliło ci dokończyć tej myśli nachylenie się nad podłokietnikiem w moją stronę, aż poczułem zapach perfum, który przypomniał mi ją; jej zapach kazał myśleć, że wróciła.

– Zamierzam odebrać sobie życie – szepnęłaś.

Potem się odchyliłaś, uważnie mnie obserwując.

Nie wiem, co wyrażała moja twarz, ale wiedziałem, że nie kłamiesz.

– W jaki sposób zamierzasz to zrobić? – Tylko tak umiałem zareagować.

– Mam ci opowiedzieć? – spytałaś z niezgłębionym, niemal wesołym uśmiechem.

Zastanowiłem się. Czy chciałem o tym usłyszeć?

– Poza tym to nieprawda – powiedziałaś. – Po pierwsze, nie zamierzam odbierać sobie życia, bo już to zrobiłam. Po drugie, to nie ja odbiorę sobie życie, oni to zrobią.

– Oni?

– Tak. Podpisałam umowę... – Spojrzałaś na zegarek, cartier, prezent od tego Roberta, jak przypuszczałem. Podarowany przed czy po tym, jak cię zdradził? Po. Ta Melissa nie była pierwsza, zdradzał cię przez cały czas. – ...cztery godziny temu.

– Oni? – powtórzyłem.

– Firma specjalizująca się w samobójstwach.

– Masz na myśli... coś jak w Szwajcarii? Aktywne dopomaganie w śmierci?

– Tak, tylko przy bardziej czynnym udziale. I z tą różnicą, że odbierają ci życie w taki sposób, że nie wygląda to na samobójstwo.

– Naprawdę?

– Sprawiasz wrażenie, jakbyś mi nie wierzył.

– Hm... Owszem, wierzę. Po prostu jestem zdumiony.

– Rozumiem. To musi zostać między nami, ponieważ kontrakt zawiera klauzulę dotyczącą dochowania tajemnicy, więc właściwie nie wolno mi z nikim o tym rozmawiać. Tylko że... – Uśmiechnęłaś się, a jednocześnie twoje oczy znów zaszły łzami. – ...czuję się z tym tak nieznośnie samotna. A ty jesteś obcy. W dodatku jesteś psychologiem. Was też obowiązuje tajemnica, prawda?

Chrząknąłem.

– Owszem, jeśli chodzi o pacjentów.

– Wobec tego będę twoją pacjentką. Widzę, że masz teraz czas na konsultacje. Ile wynosi pańskie honorarium, doktorze?

– Obawiam się, Mario, że nie możemy tego zrobić w taki sposób.

– Oczywiście, że nie, bo to zapewne oznacza złamanie zasad obowiązujących w twojej profesji. Ale chyba możesz mnie wysłuchać również jako osoba prywatna?

– Zrozum, jeśli osoba o skłonnościach samobójczych mi się zwierza, a ja nie próbuję interweniować, to dla mnie jako psychologa jest to problem etyczny.

– Nic nie rozumiesz. Już za późno na jakąkolwiek interwencję. Ja już nie żyję.

– Nie żyjesz?

– Kontrakt jest nieodwracalny. Zostanę uśmiercona przed upływem trzech tygodni. Firma uprzedza cię, że kiedy już raz złożysz swój podpis na kartce, nie będzie żadnego przycisku paniki, bo gdyby był, mogłoby to później prowadzić do przeróżnych prawnych wątpliwości. Siedzisz obok

trupa, Shaun. – Roześmiałaś się, ale tym razem twardo i z goryczą. – Chyba możesz być tylko moim kumplem od kieliszka i po prostu przez chwilę mnie wysłuchać? – Wyciągnęłaś długą, szczupłą rękę do guzika wzywającego obsługę; w ciemności kabiny wydał z siebie piknięcie jak sonar.

– W porządku – zgodziłem się. – Ale nie udzielę ci żadnej rady.

– Dobrze. I obiecasz, że nikomu więcej o tym nie powiesz? Nawet po mojej śmierci?

– Obiecuję. Chociaż nie sądzę, żeby to miało dla ciebie większe znaczenie.

– Właśnie, że tak. Jeśli nie dochowam tajemnicy, do której jestem zobowiązana w kontrakcie, firma może sądownie domagać się ogromnego odszkodowania ze spadku po mnie, a wtedy dla organizacji, której w testamencie zapisałam pieniądze, zostaną nędzne resztki.

– Czym mogę służyć? – spytała stewardesa, która zmaterializowała się bezszelestnie tuż przy nas.

Wychyliłaś się nade mną i poprosiłaś o gin z tonikiem dla nas obojga. Dekolt swetra lekko ci się obsunął, zobaczyłem nagą bladą skórę i zorientowałem się, że jednak nie pachniesz tak jak ona. Twój zapach był lekko słodkawy, korzenny jak benzyna. Tak, właśnie jak benzyna. I jak pewien gatunek drewna, którego nazwy nie pamiętałem. Prawie męski.

Kiedy stewardesa zgasiła lampkę nad fotelem i odeszła, zrzuciłaś buty, obróciłaś się bokiem i miękkim kocim ruchem podwinęłaś nogi na fotelu, demonstrując szczupłe, obciągnięte nylonem kostki, które rzecz jasna skojarzyły mi się z baletem.

– Firma zajmująca się samobójstwami mieści się w eleganckim lokalu na Manhattanie – kontynuowałaś. – To kancelaria adwokacka. Twierdzą, że pod względem prawnym są w pełni zabezpieczeni, a ja nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie uśmiercają na przykład ludzi z zaburzeniami psychicznymi, więc przed podpisaniem kontraktu trzeba przejść dokładne badanie psychiatryczne. Należy również zrezygnować z wszelkich polis na życie, tak aby nie mogła ich pozwać firma

ubezpieczeniowa. Mają też całe mnóstwo innych klauzul, ale najważniejsza jest ta o dochowaniu tajemnicy. W Stanach prawo zawierania dobrowolnych umów przez dwie dorosłe osoby wygląda o wiele bardziej liberalnie niż w większości innych krajów. Ale obawiają się, że gdyby wieści o ich praktykach rozniosły się szerzej i dotarły do mediów, mimo wszystko reakcje społeczne nakazałyby politykom zamknięcie ich działalności. Oni się nie reklamują, ich klientami są wyłącznie ludzie zamożni, którzy dowiedzieli się o ich istnieniu za pośrednictwem *word of mouth*.

– No tak, to zrozumiałe, że nie chcą się obnosić.

– Oczywiście ich klientom również zależy na dyskrecji. Z samobójstwem przecież tak czy owak wiąże się poczucie wstydu. Podobnie jak z aborcją. Kliniki przeprowadzające aborcje nie robią nic nielegalnego, ale nie reklamują swojej działalności nad wejściem.

– To prawda.

– I oczywiście cała idea tego biznesu opiera się na dyskrecji i wstydzie. Klienci są skłonni słono zapłacić za uśmiercenie w sposób możliwie najprzyjemniejszy i nieoczekiwany, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Ale najważniejsze, że ma się to odbyć tak, aby nikt z rodziny, przyjaciół czy świata zewnętrznego nie miał najmniejszych powodów do podejrzeń, że to było samobójstwo.

– A jak się to robi?

– Tego, rzecz jasna, się nie dowiadujemy, wiemy jedynie, że istnieją niezliczone metody i że nastąpi to w ciągu trzech tygodni od podpisania kontraktu. Nie przedstawia nam się także żadnych przykładów, bo wówczas świadomie lub podświadomie unikalibyśmy pewnych sytuacji, a to wyzwalałoby niepotrzebny lęk. Dowiadujemy się wyłącznie, że śmierć będzie całkowicie bezbolesna i naprawdę nie wyczujemy, że nadchodzi.

– Rozumiem, że ukrywanie targnięcia się na własne życie może być dla kogoś ważne, ale dlaczego jest to istotne dla ciebie? Czy jawne samobójstwo nie byłoby pewną formą zemsty?

– Masz na myśli Roberta i Melissę?

– Twoja śmierć w wyniku ewidentnego samobójstwa wzbudziłaby nie tylko wstyd, lecz również poczucie winy. Robert i Melissa obwinialiby samych siebie, ale też mniej lub bardziej świadomie winiliby siebie nawzajem. Stale to obserwujemy. Czy wiesz na przykład, jaki jest procent rozwodów czy wręcz samobójstw wśród rodziców, których dzieci odebrały sobie życie?

Po prostu na mnie patrzyłaś.

– Przepraszam – powiedziałem, czując, że lekko się czerwienię. – Przypisuję ci chęć zemsty dlatego, że jestem pewien, że sam bym ją odczuwał.

– Wydaje ci się, że pokazałeś się teraz w złym świetle, Shaun?

– Owszem.

Roześmiałaś się twardo i krótko.

– W porządku, oczywiście chcę się zemścić. Ale nie znasz Roberta i Melissy. Gdybym popełniła samobójstwo i zostawiła list, w którym obwiniałabym Roberta o niewierność, on oczywiście wszystkiego by się wyparł. Wskazałby, że leczyłam się na depresję, co jest prawdą, a pod koniec życia najwyraźniej popadłam w paranoję. Oboje z Melissą byli bardzo dyskretni, więc możliwe, że nikt nie wie o ich romansie. Przypuszczam, że ona przez pół roku od mojego pogrzebu randkowałaby dla pozoru z jakimś innym finansistą ze środowiska Roberta. Wszyscy się ślinią na jej widok, a zawsze lubiła podpuszczać. W końcu Melissa i Robert ujawniliby się jako para, tłumacząc, że to wspólna żałoba po mojej śmierci tak ich do siebie zbliżyła.

– Okej, być może masz w sobie więcej mizantropii niż ja.

– Na pewno. A najbardziej mnie mdli na myśl o tym, że Robert w głębi ducha odczuwałby pewną dumę.

– Dumę?

– Dumę z tego, że jakaś kobieta nie potrafiła żyć ze świadomością, że nie może go mieć wyłącznie dla siebie. Tak by na to patrzył. Melissa

widziałaby to tak samo. Moje samobójstwo jeszcze bardziej podniosłoby wartość Roberta, dzięki czemu oboje byliby szczęśliwsi.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Oczywiście. Nie znasz teorii René Girarda o pożądaniu mimetycznym?

– Nie.

– Girard twierdzi, że oprócz zaspokajania naszych podstawowych potrzeb nie wiemy, czego chcemy. Dlatego naśladujemy otoczenie. Cenimy to, co cenią inni. Jeśli słyszysz, że ludzie wokół ciebie powtarzają, jak bardzo seksowny jest Mick Jagger, to w końcu zaczynasz go pożądać, chociaż początkowo wydawał ci się wstrętny. Jeśli swoim samobójstwem podniosę wartość Roberta, Melissa będzie go pożądać jeszcze bardziej i w końcu będą razem jeszcze szczęśliwsi.

– Rozumiem. A jeżeli będzie wyglądało na to, że zginęłaś w wypadku albo zmarłaś z przyczyn naturalnych?

– Efekt będzie przeciwny. Stanę się tą, którą odebrał mu przypadek albo los, i Robert zacznie inaczej myśleć o mojej śmierci i o mnie. Powoli, ale nieodwołalnie będę zyskiwać status świętej. A w dniu, w którym Melissa zacznie irytować Roberta – a tak się stanie – on będzie pamiętał o mnie tylko to, co dobre, i zatęskni za tym, co nas łączyło. Dwa dni temu wysłałam mu list z informacją, że go opuszczam, ponieważ potrzebuję swobody.

– Czyli on nie wie, że ty wiesz o jego romansie z Melissą?

– Czytałam wszystkie ich SMS-y w jego telefonie, ale do tej pory nikomu o tym nie wspominałam, dopiero tobie.

– A jaki jest cel tego listu?

– W pierwszej chwili Robert poczuje ulgę, że to nie on musi być tym, który odchodzi. Zaoszczędzi na rozliczeniach rozwodowych i będzie mógł uchodzić za *the good guy*, chociaż wkrótce zwiąże się z Melissą. Ale po pewnym czasie myśl zasiana przez ten list zakiełkuje. To, że porzuciłam go dla swobody. Lecz również to, że musiałam wiedzieć, iż mogę spotkać

kogoś lepszego od niego. Że może nawet już był ktoś taki. A w chwili, gdy Robert tak pomyśli...

– ...teoria pożądania mimetycznego będzie po twojej stronie. Właśnie dlatego zgłosiłaś się do tej firmy oferującej śmierć na życzenie.

Wzruszyłaś ramionami.

– Więc jak wysoki jest procent rozwodów wśród rodziców dzieci, które odebrały sobie życie?

– Słucham?

– I które z rodziców popełnia samobójstwo? Matka, prawda?

– No cóż. – Wbiłem wzrok w siedzenie przede mną. Czułem jednak, że twoje spojrzenie spoczywa na mnie w oczekiwaniu na pełniejszą odpowiedź. Ocaliły mnie dwie niskie szerokie szklaneczki, które jak za sprawą magii wyłoniły się z ciemności i trafiły na rozdzielający nas podłokietnik.

Odchrząknąłem.

– A czy nie jest nieznośna konieczność tak długiego czekania? Budzenia się rano przez tyle dni z pytaniem, czy może właśnie dzisiaj zginę zamordowany?

Zawahałaś się, nie chciałaś, żebym tak łatwo się wywinął. W końcu jednak odpuściłaś i odpowiedziałaś:

– Nie, jeśli myśl, że dzisiaj być może nie zostanę zamordowana, jest gorsza. Chociaż oczywiście niekiedy dopada nas paniczny lęk przed śmiercią i odzywa się nieproszony instynkt przetrwania, to jednak lęk przed śmiercią nie jest gorszy niż lęk przed życiem. Oczywiście ty jako psycholog wiesz o tym. – Słowo „psycholog” wymówiłaś z przesadnym naciskiem.

– O tyle o ile – odparłem. – Ale przeprowadzono pewne badania w plemieniu paragwajskich nomadów, w którym najwyższa rada decyduje o tym, czy ktoś ze względu na starość i osłabienie zaczyna ciążyć pozostałym. Wówczas należy go uśmiercić. Osoba, która ma zostać wyprawiona na tamten świat, również nie wie, kiedy i w jaki sposób się to stanie, ale członkowie plemienia akceptują, że tak będzie. Plemię zdołało

mimo wszystko przeżyć w środowisku, gdzie jest mało żywności – w jej poszukiwaniu trzeba odbywać długie, trudne wędrówki – ponieważ poświęcało słabych, żeby ocalić tych, którzy mają prawo do życia i mogą przekazać je dalej. Może nawet ci obecnie skazani na śmierć musieli za młodu gdzieś w ciemności za chatą walnąć pałką swoją schorowaną prababkę. A jednak badania wykazują, że niepewność wywołuje u członków plemienia ekstremalny stres, który sam w sobie prawdopodobnie skraca im życie.

– Oczywiście, że to stresujące – powiedziałaś, ziewnęłaś i wyprostowałaś stopę w pończosze, dotykając nią mojego kolana. – Wolałabym, żeby to trwało krócej niż trzy tygodnie, ale przypuszczam, że na znalezienie najlepszej i najpewniejszej metody potrzeba czasu. Jeżeli na przykład ma to wyglądać na wypadek, a jednocześnie być bezbolesne, pewnie wymaga starannego planowania.

– Gdyby ten samolot nieoczekiwanie spadł, dostałabyś zwrot pieniędzy? – spytałem, wypijając łyk ginu z tonikiem.

– Nie. Powiedzieli, że z każdym zleceniem wiążą się duże wydatki, a klienci poza wszystkim mają skłonności samobójcze, firma musi więc zabezpieczyć się przed tym, że klient ich uprzedzi, dobrowolnie lub przez przypadek.

– Hm. Czyli zostało ci maksymalnie dwadzieścia jeden dni życia.

– Wkrótce już tylko dwadzieścia i pół.

– No właśnie. Jak masz zamiar je wykorzystać?

– Chcę robić to, czego nie robiłam do tej pory. Rozmawiać i pić z nieznajomymi.

Wypiłaś drinka jednym haustem. A mnie serce zaczęło nagle walić, jakby już wiedziało, co się stanie. Odstawiłaś szklankę i położyłaś mi rękę na ramieniu.

– No i mam ochotę się z tobą kochać.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Idę do toalety – oświadczyłaś. – Jeśli przyjdziesz za mną za dwie minuty, to wciąż tam będę.

Czułem, że coś się ze mną dzieje, że ogarnia mnie jakaś wewnętrzna radość, będąca nie tylko pożądaniem, lecz czymś działającym na całe moje ciało, coś w rodzaju ponownych narodzin. Nie czułem tego od bardzo dawna i prawdę mówiąc, nie sądziłem, że będzie mi dane jeszcze kiedykolwiek to poczuć.

– A tak w ogóle – dodałaś – to wcale nie jestem taka twarda. Muszę wiedzieć, czy przyjdziesz.

Wypiłem łyk, żeby zyskać na czasie. Popatrzyłaś na moją szklankę, czekając.

– A jeśli kogoś mam? – spytałem. Zorientowałem się, że mój głos brzmi ochryple.

– Nie masz.

– A jeśli nie uważam cię za atrakcyjną albo jestem gejem?

– Boisz się?

– Tak. Przerażają mnie kobiety, które przejmują inicjatywę w seksie.

Uważnie przyjrzałaś się mojej twarzy, jakbyś czegoś w niej szukała.

– Okej – powiedziałaś. – Kupuję to. Przepraszam, to bardzo nie w moim stylu, ale nie mam czasu na ceregiele. Więc co robimy?

Poczułem, że się uspokajam. Serce wciąż biło mi szybko, ale panika i odruch ucieczki minęły. Obróciłem szklankę w ręku.

– Łapiesz od razu następny samolot z Londynu?

Kiwnęła głową.

– Do Rejkiawiku. Odlatuje godzinę po naszym lądowaniu. A o czym myślisz?

– O hotelu w Londynie.

– Jakim?

– Langdon.

– Langdon to dobry hotel. Pracownicy zapamiętują twoje imię, jeśli mieszkasz tam dłużej niż dobę. O ile nie podejrzewają, że chodzi o jakąś pozamałżeńską przygodę. Wtedy ich mózgi pokrywają się teflonem. Ale my i tak nie zostaniemy tam dłużej niż dobę.

– Chcesz powiedzieć...

– Mogę odłożyć Rejkiawik do jutra.

– Jesteś pewna?

– Tak. Cieszysz się?

Sprawdziłem. Nie cieszyłem się.

– Ale co będzie, jeśli... – zacząłem, lecz urwałem.

– Boisz się, że zaatakują w czasie, kiedy będziesz razem ze mną? – spytałaś i wesoło stuknęłaś swoją szklanką o moją. – Że będziesz musiał męczyć się ze zwłokami?

– Nie – odparłem z uśmiechem. – Chodziło mi o to, co będzie, jeśli się w sobie zakochamy. A ty podpisałaś papiery, że masz umrzeć. Kontrakt, którego nie można zerwać.

– Już za późno. – Położyłaś rękę na mojej dłoni leżącej na podłokietniku.

– Właśnie o tym mówię.

– Chodzi mi o to drugie. Już się w sobie zakochaliśmy.

– Naprawdę?

– Troszeczkę. W wystarczającym stopniu. – Uścisnęłaś moją rękę, wstałaś i powiedziałaś, że niedługo wrócisz. – Wystarczającym, abym mogła się cieszyć, że być może mam przed sobą trzy tygodnie.

W czasie gdy byłaś w toalecie, zjawiła się stewardesa, zabrała nasze szklanki, a ja spytałem, czy możemy dostać dwie dodatkowe poduszki.

Wróciłaś ze świeżym makijażem.

– To nie dla ciebie – oświadczyłaś, czytając w moich oczach. – Tobie się podobało takie rozmazanie, prawda?

– Podoba mi się jedno i drugie – odparłem. – Więc dla kogo tak się umalowałaś?

– A jak myślisz?

– Dla nich? – spytałem, wskazując gestem cały pokład.

Pokręciłaś głową.

– Niedawno zamówiłam ankietę, w której większość kobiet odpowiedziała, że malują się dla poprawy własnego samopoczucia. Ale co mają na myśli przez dobre samopoczucie? Czy chodzi tylko o nieodczuwanie przykrości, jaką sprawia pokazywanie się takimi, jakie są naprawdę? Czyżby makijaż był w zasadzie jedynie burką, którą same sobie narzucamy?

– A czy makijażu nie stosuje się zarówno po to, by coś podkreślić, jak i po to, by coś ukryć?

– Podkreślanie jednego oznacza ukrywanie czegoś innego. Wszelkie wprowadzanie zmian, chociaż może służyć wyjaśnieniu, jest operacją przykrywkową. Osoba, która się maluje, chce, aby makijaż kierował uwagę na piękne oczy, tak by nikt nie zauważał za dużego nosa.

– Ale czy to jest burka? Chyba wszyscy chcemy, aby nas widziano?

– Nie wszyscy. I nikt nie chce być widzianym takim, jaki jest. A tak w ogóle to wiesz, że kobiety w ciągu całego życia poświęcają na makijaż tyle czasu, ile trwa służba wojskowa dla mężczyzn w takich krajach jak Izrael i Korea Południowa?

– Nie, ale to brzmi jak zestawienie przypadkowych informacji.

– No właśnie. Ale to jest nieprzypadkowe zestawienie informacji.

– Naprawdę?

– Zostało wybrane przeze mnie i już samo w sobie coś mówi. *Fake news* niekoniecznie muszą być oparte na fałszywych faktach, ale ich redakcja może być manipulująca. Co to zestawienie mówi o moich poglądach na politykę płci? Czy twierdzę, że mężczyźni muszą służyć ojczyźnie i ryzykować życie, podczas gdy kobiety wolą się malować? Być może. Ale wystarczy drobne przeredagowanie sformułowań, aby to samo zestawienie wskazało, że kobiety w równym stopniu boją się pokazać takimi, jakie są naprawdę, jak narody boją się podboju przez obce siły.

– Jesteś dziennikarką? – spytałem.

– Redaktorką naczelną magazynu niewartego papieru, na którym jest drukowany.

– Magazynu dla kobiet?

– Tak, i to w najgorszym możliwym znaczeniu tego określenia. Masz jakiś bagaż?

Zawahałem się.

– Chodzi mi o to, czy po wylądowaniu w Londynie możemy iść prosto do taksówki.

– Mam tylko podręczny – odparłem. – Ale nie odpowiedziałaś, dlaczego się umalowałaś.

Uniosłaś rękę i palcem wskazującym przesunęłaś po moim policzku tuż pod okiem, jakbym ja także płakał.

– Z powodu innego zestawienia przypadkowych faktów – powiedziałaś. – Co roku więcej ludzi ginie z własnej ręki niż wskutek wojen, terroryzmu, zabójstw narkotykowych, zabójstw z zazdrości, ba, w ogóle zabójstw łącznie. Ty sam jesteś swoim najbardziej prawdopodobnym mordercą. Właśnie dlatego się umalowałam. Przejrzałam się w lustrze i nie mogłam znieść nagiej twarzy mojego mordercy. Nie teraz, kiedy się zakochałam.

Popatrzyliśmy na siebie. Kiedy uniosłem rękę, żeby ująć twoją dłoń, ty chwyciłaś moją. Nasze palce splotły się ze sobą.

– Nie możemy nic z tym zrobić? – szepnąłem, nagle zdyszany, jakbym już uciekał. – Nie możemy cię jakoś wykupić z tego kontraktu?

Lekko przechyliłaś głowę na bok, jakbyś chciała mi się przyjrzeć pod innym kątem.

– Gdyby to było możliwe, nie wiadomo, czybyśmy się w sobie zakochali – stwierdziłaś. – To, że jesteśmy dla siebie nieosiągalni, stanowi w dużej mierze o atrakcyjności, nie sądzisz? Czy ona też umarła?

– Słucham?

– Ta druga. Ta, o której nie miałeś ochoty rozmawiać, kiedy spytałam, czy masz żonę i dzieci. Strata sprawiająca, że boisz się znów zakochać w kimś, kogo utracisz. To, co kazało ci się zawahać, kiedy spytałam, czy masz bagaż. Chcesz o tym porozmawiać?

Popatrzyłem na ciebie. Chciałem?

– Jesteś pewna, że...

– Tak, chcę to usłyszeć – oświadczyłaś.

– A masz dużo czasu?

– Ha, ha.

Zamówiliśmy nowe drinki i zacząłem opowiadać.

Kiedy skończyłem, za oknem już się rozjaśniało, ponieważ lecieliśmy w stronę słońca. A ty znowu płakałaś.

– Jakie to smutne – stwierdziłaś, kładąc głowę na moim ramieniu.

– To prawda – przyznałem.

– Ciągle tak boli?

– Nie przez cały czas. Tłumaczę sobie, że ponieważ nie chciała żyć, to pewnie jej rozwiązanie było lepsze.

– Wierzysz w to?

– Ty chyba też.

– Możliwe. Ale nie wiem. Mam wątpliwości jak Hamlet. Być może królestwo śmierci jest jeszcze straszniejszą doliną łez.

– Opowiedz o sobie.

– A co chcesz wiedzieć?

– Wszystko. Po prostu zacznij, a ja będę zadawał pytania, kiedy zapragnę dowiedzieć się czegoś więcej.

– Okej.

Opowiadałaś. A obraz dziewczyny, wyłaniający się przed moimi oczami, był jeszcze wyraźniejszy niż ten, który widziałem, ciebie opartej o mnie z ręką pod moim ramieniem. W pewnym momencie samolotem wstrząsnęły

lekkie turbulencje, jakbyśmy płynęli po niedużych ostrych falach, i wprawiły twój głos w komiczne wibrato, które rozśmieszyło nas oboje.

– Możemy uciec – odezwałem się, kiedy skończyłaś mówić.

Popatrzyłaś na mnie.

– Jak to?

– W hotelu Langdon weźmiesz jedynkę. Wieczorem zostawisz w recepcji wiadomość zaadresowaną do szefa hotelu, którą dostanie po przyjściu do pracy jutro rano. Napiszesz, że idziesz utopić się w Tamizie. Pójdziesz tam dziś wieczorem w jakieś miejsce, gdzie nikt cię nie zobaczy, zdejmiesz buty i zostawisz je na brzegu. Zabiorę cię stamtąd wynajętym samochodem. Pojedziemy do Francji i z Paryża polecimy samolotem do Kapsztadu.

– Paszport – rzuciłaś tylko.

– Ja to załatwię.

– Naprawdę? – Dalej na mnie patrzyłaś. – Jakim ty właściwie jesteś psychologiem?

– Nie jestem psychologiem.

– Nie?

– Nie.

– No to kim jesteś?

– A jak sądzisz?

– Tym, który ma mnie zabić – powiedziałaś.

– Tak.

– Zarezerwowaliście siedzenie obok mnie, zanim jeszcze przyleciałam do Nowego Jorku podpisać papiery.

– Tak.

– Ale naprawdę się we mnie zakochałeś?

– Tak.

– Jak to się miało odbyć?

– W kolejce do kontroli paszportowej. Zastrzyk. Substancje czynne rozłożyłyby się albo ukryły we krwi w ciągu godziny. Sekcja zwłok

wykazałaby jedynie zwykły zawał serca. A zawały były najczęstszą przyczyną zgonów w twojej rodzinie. Pobrane od ciebie próbki wskazują, że ty też masz do tego skłonność.

Pokiwałaś głową.

– A gdybyśmy teraz uciekli, to ciebie też będą ścigać?

– Owszem. W grę wchodzą duże pieniądze, również jeśli chodzi o nas, wykonawców tych zleceń, dlatego my też musimy podpisać kontrakt, tyle że bez tego trzytygodniowego terminu.

– Kontrakt samobójczy?

– Umożliwiający im zabicie nas w każdej chwili bez ryzyka prawnego. W domyśle jest, że wypełnią warunki kontraktu, jeśli zachowamy się nielojalnie.

– Nie znajdą nas w Kapsztadzie?

– Ruszą po naszych śladach, a potrafią to robić. Te ślady zaprowadzą ich do Kapsztadu, ale nas już tam wtedy nie będzie.

– A gdzie będziemy?

– Mogę się wstrzymać z wyjawieniem ci tego? Obiecuję ci, że to przyjemne miejsce. Słońce i deszcz, nie za zimno, nie za gorąco i większość ludzi zna angielski.

– Dlaczego chcesz to zrobić?

– Z tego samego powodu co ty.

– Ale przecież nie jesteś żadnym kandydatem na samobójcę. Na tym, co robisz, zarabiasz pewnie majątek. A tymczasem chcesz zaryzykować własne życie.

Spróbowałem się uśmiechnąć.

– Jakie życie?

Rozejrzałaś się, wychyliłaś i lekko pocałowałaś mnie w usta.

– A jeśli nie spodoba ci się nasza miłość fizyczna?

– Wtedy wrzucę cię do Tamizy.

Roześmiałaś się i znów mnie pocałowałaś. Trochę dłużej, z lekko rozchylonymi wargami.

– Spodoba ci się – szepnęłaś mi do ucha.

– Obawiam się, że tak.

Zapadłaś w sen z głową na moim ramieniu. Opuściłem ci siedzenie i okryłem cię kocem. Potem rozłożyłem własny fotel, zgasiłem światło i próbowałem zasnąć.

Kiedy wylądowaliśmy w Londynie, wyprostowałem twój fotel i zapiąłem ci pas bezpieczeństwa. Wyglądałaś jak uśpione dziecko dzień przed Wigilią, miałaś na ustach ten swój delikatny uśmiech. Przyszła stewardesa i zabrała te same szklanki do wody, które stały na rozdzielającym nas podłokietniku, zanim jeszcze wystartowaliśmy z JFK, kiedy zapłakana wyglądałaś przez okno i byliśmy nieznajomymi.

Stałem w kolejce do kontroli paszportowej przy okienku numer sześć, kiedy zobaczyłem personel w odblaskowych kamizelkach z czerwonym krzyżem biegnący w stronę bramek, popychający przed sobą nosze na kołach. Spojrzałem na zegarek. Proszek, który wsypałem ci do szklanki przed startem z JFK, działał powoli, ale można było mu ufać. Nie żyłaś już od blisko dwóch godzin, a sekcja miała wykazać zawał, nic poza tym. Byłem bliski płaczu, jak prawie za każdym razem. Jednocześnie czułem się szczęśliwy. Ta praca miała sens. Wiedziałem, że nigdy cię nie zapomnę, byłaś wyjątkowa.

– Proszę patrzeć w kamerę – odezwał się do mnie kontroler.

Musiałem zamrugać, żeby pozbyć się łez z oczu.

– Witamy w Londynie.

KOLEJKA

Nienawidzę ludzi, którzy wpychają się bez kolejki.

Na pewno dlatego, że w kolejce spędziłam zbyt wiele ze swoich trzydziestu dziewięciu lat.

Chociaż więc w moim sklepie 7-Eleven są tylko dwie osoby, a starsza pani guzdra się z wyjęciem portmonetki, to patrzę lodowatym wzrokiem na chłopaka, który wcisnął się przed nią. Jest w puchówce marki Moncler, wiem to, bo oglądałam takie kurtki i doszłam do wniosku, że nigdy nie będzie mnie na taką stać. Płaszcz, który kupiłam jeszcze przed nadejściem zimy we Fretexie, sklepie z używaną odzieżą, jest ładny, ale nigdy nie pozbędę się zapachu tej, która była jego właścicielką przede mną. Tej, która stała z przodu kolejki.

Tutaj nieczęsto się zdarza, żeby ktoś wpychał się poza kolejnością, chyba że jest noc, a ta osoba jest pijana, ale w tym kraju ludzie na ogół bywają wobec siebie uprzejmi. Ostatnio ktoś tak jawnie wepchnął się w ciągu dnia dwa miesiące temu. Dorosła elegancko ubrana kobieta, która zaprzeczyła, gdy jej to zarzuciłam, i zagroziła, że porozmawia z moim szefem, doprowadzi do tego, że mnie wyleją.

Chłopak patrzy mi w oczy. Widzę cień uśmiechu. On nie ma wstydu. Ani maseczki.

– Chcę tylko puszkę snusu General – mówi, jakby to „tylko” usprawiedliwiło wpychanie się bez kolejki.

– Musisz zaczekać na swoją kolej – odpowiadam przez maseczkę.

– Przecież leży tuż za tobą. To zajmie pięć sekund. – Pokazuje.

– Proszę czekać na swoją kolej.

– Gdybyś mi go podała, już by mnie tu nie było.

– Proszę czekać na swoją kolej.

– Proszę czekać na swoją kolej – przedrzeźnia mnie, przesadnie podkreślając mój akcent. – Dalej, suko!

Uśmiecha się szerzej, jakby to był żart. Najprawdopodobniej uważa, że może do mnie mówić w ten sposób, ponieważ jestem kobietą wykonującą źle płatną pracę, imigrantką i mam inny kolor skóry niż jego kredowobiała. Możliwe, że naśladuje język plemienny, którym, jak mu się wydaje, mówię. A może z ironią odgrywa parodię *bad boy*. Po uważniejszym przyjrzeniu się osiłkowi odrzucam tę ostatnią ewentualność. Chłopak nie ma w sobie głębi.

– Przesuń się – mówię.

– Muszę zdążyć na metro. No, dalej!

– Może gdybyś spytał panią, która stoi przed tobą...

– Moje metro!

– Metro jeździ cały czas – mówię przy akompaniamencie huku składu jadącego dwa biegi schodów niżej. Kiedy zaczęłam tu pracować, moja młodsza siostra spytała mnie, czy nie boję się terrorystów z sarinem. Podczas wojny domowej, zanim uciekliśmy, wszyscy bali się sarinu. Baliśmy się, że partyzanci wypuszczą ten trujący gaz, jak podobno zrobiła jakaś japońska sekta w metrze w Tokio, kiedyś w latach dziewięćdziesiątych. Moja siostra miała dziewięć lat i co noc śniły jej się koszmary z trującym gazem na stacji metra.

– Moje metro jeździ tylko raz na kwadrans – syczy chłopak. – Muszę gdzieś zdążyć, okej?

– Tym lepszy powód, żeby grzecznie spytać tę panią. – Ruchem głowy wskazuję na stojącą za nim kobietę, która wyjęła już kartę, żeby zapłacić za trzy rzeczy leżące przede mną na ladzie. Chłopak – przypuszczam, że ma dwadzieścia kilka lat i regularnie chodzi na siłownię, głównie dźwiganie ciężarów i trening siły eksplozywnej – traci cierpliwość, którą zapewne, jak uważa, okazywał do tej pory.

– No już, czarnucho!

Serce bije mi szybciej, ale nie tak bardzo z powodu tego, że usiłował mnie obrazić. Nie wiem, czy facet jest rasistą, czy tylko próbuje mnie zranić tym, co, jak sądzi, zapiecze najmocniej i najbardziej mnie sprowokuje; tak samo nazwałby mnie karlicą, gdybym była niewysoka,

i wieśniarą od krów, gdybym była gruba. Nie obchodzi mnie, z jakimi uprzedzeniami się zmaga. Serce bije mi szybciej, ponieważ się boję. Ponieważ u mnie w sklepie stoi napakowany gość, który w ciągu paru sekund przekroczył pewną granicę, co najprawdopodobniej oznacza, że ma problemy z panowaniem nad sobą. Nie widzę w jego źrenicach czy mowie ciała nic, co wskazywałoby na zażycie jakichś narkotyków, a co często zdarzało się z żołnierzami. Ale oczywiście w grę mogą wchodzić sterydy. Mój były mąż twierdzi, że z racji tego, iż jestem chemiczką, zawsze próbuję tłumaczyć sobie świat chemią. Jak w tym powiedzeniu o człowieku z młotkiem, który wszelkie problemy postrzega jako gwoździe.

A więc tak, boję się, ale bywały już sytuacje, w których bałam się bardziej. I jestem zła, ale bywałam zła jeszcze bardziej.

– Nie – oświadczam spokojnie.

– Na pewno? – Wyciąga coś z kieszeni ładnej i ciepłej kurtki Moncler.

To czerwony swiss army knife. Otwiera ostrze noża. Nie, to pilnik do paznokci. Unosi rękę i wysuwa środkowy palec. Zaczyna opiłowywać paznokieć, śmiejąc się do mnie. Na jedynce ma czarną plamę. To może być skutek działania metamfetaminy, która zawiera takie substancje chemiczne jak bezwodny amoniak i czerwony fosfor, zżerające szkliwo. Ale oczywiście może to też wynikać z niestarannego mycia zębów.

Odwraca się do stojącej za nim kobiety.

– Halo, szanowna pani, mogę zrobić drobne zakupy?

Kobieta wpatruje się z otwartymi ustami w scyzoryk i wygląda tak, jakby próbowała coś powiedzieć, ale nie może wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Kiwa tylko głową szybko jak dzięcioł i ciężko dyszy, jak gdyby miała kłopoty z oddychaniem, a okulary nad maseczką zachodzą jej mgłą.

Chłopak odwraca się do mnie.

– No i sama widzisz, dalej!

Oddycham głęboko. Może nie doceniłam tego chłopca. W każdym razie jest na tyle obeznany z ulicznym życiem, aby wiedzieć, że kamery monitoringu w sklepach 7-Eleven nagrywają obraz, ale nie dźwięk. Dlatego

w sądzie nie będzie niepodważalnego dowodu na to, że nazwał mnie czarnuchą czy użył innego określenia podpadającego pod paragraf o mowie nienawiści. Chyba że ta starsza pani, która stoi za nim, ma lepszy słuch, niż ją o to posądzam. Nie ma też żadnego prawa zabraniającego piłowania paznokci.

Odwracam się powoli i zdejmując puszkę ze snusem, oceniam sytuację.

Jak już wspomniałam, stałam w kolejkach, odkąd się urodziłam, i wszystkie je dobrze pamiętam. Kolejki po żywność, w których ustawiałam się z mamą, gdy byłam mała. Kolejki wokół ciężarówek ONZ, kiedy zaczęły się pierwsze niepokoje. Kolejkę w przychodni, kiedy u mojej siostry stwierdzono gruźlicę. Kolejkę do toalety dla wykładowców na uniwersytecie, bo w Instytucie Chemii nie było damskiej toalety dla studentek. Kolejkę uchodźców opuszczających miasto, kiedy wybuchła wojna. Kolejkę do wejścia na pokład statku – aby zdobyć na nim miejsce dla mnie i dla mojej siostry, mama sprzedała wszystko, co miałyśmy. Nowe kolejki po żywność w obozie dla uchodźców, gdzie szanse na to, by zostać zgwałconą lub obrabowaną, były równie duże jak w domu, kiedy szalała wojna. Kolejka i oczekiwanie na wysłanie do innego kraju, do ośrodka dla uchodźców, który dawał nadzieję na lepsze życie. Kolejka do wyprowadzenia się z ośrodka i uzyskania prawa do budowania swoją pracą dobrobytu tego kraju, który nas przyjął i który kocham. Kocham go tak mocno, że jednym z trzech zdjęć, jakie powiesiłam w mieszkanku dzielonym z siostrą, było zdjęcie pary królewskiej. Dwa pozostałe to zdjęcie mamy i *madame* Curie, innych moich idolek.

Kładę puszkę ze snusem na ladzie, chłopak zbliża kartę kredytową do czytnika.

Kiedy czekamy na zaakceptowanie transakcji, otwieram szufladę wewnątrz lady, gdzie leży pudełko z czystymi maseczkami. Odkręcam stojącą obok buteleczkę, biorę jedną maseczkę i zwilżam ją kropelką z butelki, myśląc o swojej siostrze. Zdjęła wczoraj zdjęcie pary królewskiej; powiedziała, że wepchnęli się bez kolejki. Jedna z gazet napisała, że para królewska już dostała tę szczepionkę, na którą czeka reszta mieszkańców

kraju. Rząd, nie upubliczniając tego, zaproponował, by król i królowa jako pierwsi wsiedli do łodzi ratunkowych, zanim przyszła ich kolej zgodnie z zasadami obowiązującymi resztę społeczeństwa. A ta para na zdjęciu przyjęła propozycję. Dwie osoby, których jedynym zadaniem jest bycie symbolami, jednoczenie kraju podczas wojny i kryzysów, dostały swoją szansę na wypełnienie tego zadania w jakiś sensowny sposób. Mogły dać społeczeństwu przykład, jak należy słuchać władz, mówiąc o solidarności, zdyscyplinowaniu i potrzebie cierpliwego czekania w kolejce. Ale uprzywilejowana para królewska nie skorzystała z tej możliwości. Skorzystała z możliwości wepchnięcia się poza kolejnością. Spytałam siostrę, czy nie postąpiłaby tak samo. Powiedziała, że tak, ale że nie jest kapitanem statku. Tłumaczyłam jej, że król i królowa być może zrobili to dla innego przykładu – może chcieli pokazać społeczeństwu, że szczepionki są bezpieczne. Moja siostra stwierdziła, że jestem naiwna, bo takim samym tłumaczeniem posłużył się algierski kapitan, kiedy statek z uchodźcami zaczął tonąć, a on jako pierwszy znalazł się w szalupie.

Czytnik kart pokazuje, że transakcja została zaakceptowana.

Biorę maseczkę z szuflady i podaję chłopakowi.

Patrzy na mnie zdziwiony, wpychając puszkę ze snusem do kieszeni kurtki.

– Przyda ci się w pociągu – mówię. – Teraz jest nakaz noszenia maseczek.

– Nie mam czasu, żeby...

– To gratis.

Chłopak śmieje się drwiąco, łapie maseczkę i wybiega.

– No to teraz my – uśmiecham się do starszej pani.

Dochodzi jedenasta wieczorem, kiedy otwieram kluczem drzwi do naszego jednopokojowego mieszkania. Jest lodowate, bo ogrzewanie nastawiam jedynie w nocy, kiedy wracam do domu, a prąd kosztuje mniej. Jestem zmęczona i nie zapalam światła. Włączam tylko mały telewizor

z przyciszonym dźwiękiem. Nie widzę mojej siostry, ale ona siedzi gdzieś w ciemności, jej głos wypełnia pokój. Mówi, że pracuję w niebezpiecznym miejscu, bo dwa miesiące temu w pociągu umarła jakaś kobieta, a w jej krwi znaleziono ślady organofosforanu, używanego w środkach owadobójczych, trochę podobnego do sarinu. I że teraz to samo spotkało jakiegoś chłopaka. Siostra wskazuje na ekran telewizora, na którym prowadzący wiadomości z powagą patrzy w kamerę.

Słuchając jej głośnych rozmyślań, szykuję jedzenie, to znaczy podgrzewam resztki z wczoraj. Dla siostry nic nie robię, przestała jeść, kiedy miała dziesięć lat i na próżno czekała w kolejce chorujących na gruźlicę, którym obiecano leczenie. W zeszłym roku na gruźlicę umarło na świecie tyle samo ludzi co na tę nową chorobę. Ale oczywiście w wiadomościach nie mówią nic o gruźlicy, bo ona nie stanowi problemu tu, w bogatym świecie.

– Biedak – odzywa się moja siostra ze łzami w głosie, gdy w materiale telewizyjnym pokazują zdjęcie chłopaka, zrobione w letni dzień na żaglówce z przyjaciółmi. Chłopak uśmiecha się na nim szeroko, a ja zauważam, że na jedynce nie ma żadnej czarnej plamki. – Popatrz na niego. – Moja siostra pociąga nosem. – To bez sensu, żeby ktoś umierał tak młodo.

– Rzeczywiście – odpowiadam, rozpinając górne guziki płaszcza. – W tej kolejce też się wepchnął do przodu.

ŚMIEĆ

Ktoś musi wziąć na siebie sprzątanie.

Oprócz tego, że odbieram śmieci w mieście, to nie wiem dlaczego to zdanie przyszło mi do głowy akurat tego dnia rano. Miałem wrażenie, że dotyczyło czegoś, o czym myślałem w nocy. Ale kiedy za dużo wypiję, miewam blackouty, a dzisiejsza noc była właśnie taką nocą.

Śmieciarka zatrzymała się z parsknięciem, a ja zeskoczyłem ze schodka. Zobaczyłem w lusterku jedno oko Janisa, zanim ruszyłem do kontenera stojącego przed kamienicą. Dawniej miałem zwyczaj podbiegać. To było jeszcze wówczas, kiedy szefowie w centrali nie przejmowali się tym, że my, śmieciarze, robimy wyznaczoną trasę dużo szybciej niż przewidziany czas od szóstej do wpół do drugiej, i mogliśmy wracać do domu godzinę lub dwie wcześniej. Albo że załatwialiśmy całotygodniową trasę w ciągu czterech dni, więc piątek mogliśmy mieć wolny. Ale tak było dawniej. Teraz musimy przestrzegać wyznaczonych przez gminę Oslo zasad dotyczących stałych godzin pracy, więc jeśli skończymy szybciej, to możemy najwyżej napić się kawy albo pobawić komórką w biurze, ale nie wolno nam ot, tak po prostu iść do domu i posuwać żonę albo skosić trawnik, że tak powiem.

Nie biegłem więc, nawet nie truchtałem, po prostu szedłem. Szedłem, trzęsąc się o letnim świcie, w stronę zielonego kontenera, lekkiego dwukołowca. Przetoczyłem go do samochodu, ustawiłem na podnośniku grzebieniowym i patrzyłem, jak plastikowy pojemnik unosi się przy akompaniamencie stale powtarzającego się hymnu hydrauliki i elektryczności, po którym następował huk, kiedy kontener się przechylał, śmieci spadały na metalową podłogę i zaraz potem zaczynała pracować zgniatająca odpady zagęszczarka. Następnie odwiozłem pojemnik na miejsce, ustawiając go starannie w odpowiedniej odległości od bramy garażu, bo szef dostał skargi od mieszkańców. *Fuck you*, mówię teraz, ale ostatnio tych skarg było trochę za dużo. Co prawda niełatwo wylać z pracy

tak zwanego ładowacza nieczystości, ale podobno mam problemy z opanowaniem gniewu. No dobra, rzeczywiście je mam. Dlatego boję się, że jeśli szef jeszcze raz pojawi się w pokoju socjalnym i zacznie na mnie wrzeszczeć w obecności innych chłopaków (okej, jest jedna dziewczyna zajmująca się wywożeniem śmieci – wśród stu pięćdziesięciu pracowników), to nie wytrzymam i go walnę. No a wtedy mogę się pożegnać z robotą, to jasne.

Usiadłem na siedzeniu pasażera obok Janisa. Roztarłem dłonie w strumieniu powietrza z dmuchawy. Chociaż był lipiec, okres urlopowy, to w Oslo o szóstej rano panował taki chłód, że nie zostawałem na stopniu, dopóki się nie rozruszałem i nie rozgrzałem. Poza tym z Janisem dało się pogadać. Niekoniecznie tak bywa z innymi chłopakami, bo na ogół mówią po estońsku, łotewsku, rumuńsku, serbsku, węgiersku i tak dalej. I tylko trochę po angielsku. Ale Janis mówił po norwesku. Twierdził, że przed przyjazdem do Norwegii był psychologiem, chociaż takie rzeczy słyszeliśmy już nieraz. W każdym razie bez względu na to, czym się tam zajmował, trzeba przyznać, że był bystrzejszy od nas pozostałych (Janis nazywał to wyższym poziomem ambicji intelektualnych) i miał zasób słów duży i sztywny jak w leksykonie. Ale ciągle był to norweski i pewnie dlatego szef przydzielił nas do tego samego wozu. Co prawda w śmieciarce nie trzeba zbyt dużo gadać, obaj wiemy, na czym polega praca, ale szef uważał, że będzie mniej kłótni i nieporozumień, jeśli chłopcy w jednym zespole będą przynajmniej mówić tym samym językiem. No i pewnie myślał, że Janis zdoła odciągnąć mnie od kłopotów.

– Skąd wzięło ci się to skaleczenie na czole? – spytał Janis swoim sztywnym, a jednak jakby nienagannym norweskim.

Spojrzałem w lusterko. Rana biegła jak bruzda przez skórę tuż nad brwią.

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Jak już wspominałem, czasami urywa mi się film i z dzisiejszej nocy nie pamiętałem kompletnie nic, tylko to, że kiedy się obudziłem, żona leżała obok obrócona do mnie plecami. Najwyraźniej zapomniałem nastawić budzik i obudziłem się z przyzwyczajenia, ale trochę później niż zwykle. Miałem za dużego kaca,

żeby wziąć z garażu corollę, więc pozostawało mi jedynie wskoczyć w łachy i wybiec z domu, żeby zdążyć na pierwszy poranny autobus. Dlatego nie miałem czasu przyjrzeć się swojej paskudnej gębie w łazienkowym lustrze.

– Znów się biłeś, Ivar?

– Nie, wczoraj siedziałem w domu z żoną. – Dotknąłem palcem rany. Wilgotna. Świeża. W każdym razie pamiętałem, że wypiliśmy z żoną kilka drinków. To znaczy Lisa wbiła sobie do głowy, że całkiem zrywa z alkoholem, czyli że to ja wypiłem kilka drinków. I najwyraźniej jeszcze kilka.

Janis zatrzymał samochód i wyskoczyliśmy obaj. Pod tym adresem były do opróżnienia dwa duże czterokołowe kontenery, więc obaj musieliśmy wziąć się do roboty. Normalnie to kierowca jest szefem śmieciarki, z zawodowym prawem jazdy i pensją wyższą o trzy stopnie zaszeregowania może siedzieć i odpoczywać za kierownicą. Ale Janis dobrze wie, że kiedy przyjechał z tego swojego zasranego kraiku, to ja byłem kierowcą, a on pomocnikiem. To, że straciłem prawko, to inna długa i nudna historia, z promilami w roli głównej i dmuchaniem w balonik chamskiego gliniarza z drogówki, który stawił się w sądzie z podbitym okiem i twierdził, że niczym nie sprowokował takiego potraktowania.

Wyjąłem wielki pęk kluczy i odnalazłem ten właściwy. Podobno w centrali przechowywanych jest siedem tysięcy kluczy do całego Oslo. Mam nadzieję, że dobrze ich pilnują.

– To znaczy, że biłeś się ze swoją żonką – stwierdził Janis.

– Że co?

– Dlaczego się biliście? Zdradziłeś? Zdradzone kobiety potrafią być równie agresywne jak mężczyźni. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzą dzieci, chociaż wtedy z reguły wszystko skrupia się na tamtej. Tak działa oksytocyna. U kobiet po zajściu w ciążę chemia sprawia, że stają się bardziej monogamiczne, bardziej empatyczne i milsze. Ale jednocześnie bardziej wrogo nastawione do potencjalnych zagrożeń.

– Po-mył-ka – odpowiedziałem i zacząłem przepychać jeden z kontenerów z tylnego podwórza w stronę bramy. – Nie mamy dzieci i z nikim się nie pieprzyłem. A kobiety nie są monogamiczne.

– Aha, to ona cię zdradziła.

– Co ty, do cholery, wygadujesz? – Puściłem swój kontener tuż przed bramą, więc Janis musiał zatrzymać swój, żeby na mnie nie wpadł.

Wzruszył ramionami.

– To dlatego się biliście. Poczułeś, że twoja pozycja jest zagrożona. Uruchomiło ci się ciało migdałowate w mózgu. *Fight, flight or freeze.* Ona jest drobna, więc wybrałeś *fight*, to naturalne.

Już czułem, jak krew gęstnieje mi w głowie. Aż za dobrze znam to uczucie. Ciśnienie rośnie i żeby krew nie rozsadziła czaszki, muszę otworzyć jakiś wentyl. Alternatywne ujście. Bo inaczej czaszka mi pęknie i żółte grudki masy mózgowej rozprysną się w powietrzu i przykleją do ścian, rowerów, wózków dziecięcych i skrzynek pocztowych, a także do niedużego faceta, który kłamie, twierdząc, że jest pieprzonym psychologiem. Rozwiązaniem bywa z reguły otwarcie gęby i zniwelowanie ciśnienia tą drogą, jak w samolocie. Tyle że muszę wtedy ryknąć. Ryknąć cokolwiek.

– Moje ciało magda... – zacząłem. Byłem spokojny. Dość spokojny. Okej, trochę podniosłem głos.

– Migdałowate – poprawił mnie Janis z cholernie irytującym uśmieszkiem. – Myśl o migdałach.

Tego już nie wytrzymałem.

– Nie będziesz, kurwa, tak do mnie mówił, pierdolony pedalski nazistowski smoluchu!

Z całej siły pchnąłem kontener, tak że pieprzony Łotysz został zakleszczony między jednym a drugim. Już miałem go zgnieść na miazgę, gdy jakiś głos przeciął poranne rześkie powietrze na podwórzu:

– Próbujemy spać!

Podniosłem głowę. Na drugim piętrze stała na balkonie kobieta, na pewno czterdziestoletnia, ale wyglądała na pięćdziesiąt, nie umiała zadbać o swoje ciało. Mogłem tak twierdzić, bo była nagusieńka.

– Zamknij się i zakryj czymś, wstrętna dziwko! – powiedziałem. No okej, wrzasnąłem.

Roześmiała się skrzekliwie jak sroka, wyciągnęła obie ręce do góry, uniosła kolano i wysunęła biodro w groteskowej pozycji modelki glamour.

– Zadzwonię do waszego szefa! – krzyknęła. – Od jutra przechodzicie na zasiłek, moi panowie!

Zobaczyłem to wyraźnie przez czerwoną mgłę wściekłości. Szefa, który ma wreszcie długo wyczekiwany powód, by mi to ogłosić: „Svendsen, już tu, do cholery, nie pracujesz!”.

Poczułem nacisk kontenera na brzuch. Janis napierał z drugiego końca. Wskazał na bramę, sygnalizując, żebyśmy stąd spadali.

– Myślisz, że ona to zrobi? – spytałem, gdy koła kontenerów terkotały po asfalcie na ulicy.

– Owszem – potwierdził Janis.

– Cholernie mi to nie pasuje.

– Bo?

– Corolla musi iść na obowiązkowy przegląd. A poza tym obiecałem żonie, że na święta pojedziemy na Kanary. A jak z tobą?

Janis wzruszył ramionami.

– Ja wysyłam pieniądze rodzicom. Jakoś dadzą sobie radę. Ale bez tych pieniędzy będą się źle odżywiać i nie będą mogli włączyć prądu.

Pomogłem mu ustawić pojemnik na podnośniku grzebieniowym.

– Nie powinienem narzekać, to próbujesz mi przekazać?

– Nie, Ivar, mówię tylko, że każdy ma swoje problemy.

Możliwe. Mój problem polegał na tym, że kiedy się wkurzyłem, to nie dawałem rady sortować rzeczy. Powinienem mieć detektory optyczne, które robiłyby to za mnie, tak jak w sortowni śmieci na Klementsrud. Tam tylko

zrzucaliśmy ładunek w piekielnej bezzałogowej fabryce. Śmieci spadały na taśmę, a oczy robotów sortowały duże i małe rzeczy. Wysyłały materiał organiczny do spalarni, szkło, plastik i metal do recyklingu i tak dalej. Gdybym tylko się nauczył, że niektóre rzeczy trzeba po prostu przepuszczać.

Uspokoiłem się i w czasie, gdy opróżnialiśmy kontenery, znów próbowałem sobie przypomnieć, co się właściwie, do jasnej cholery, stało w nocy. Wiedziałem jedynie, że musiało się dziać sporo, bo kiedy się obudziłem, nie tylko miałem kaca, ale też czułem się tak, jakbym przebiegł dwa maratony. Czyżbym bił się z Lisą? Czyżbym coś jej zrobił, choć przez tych trzydzieści lat przeżytych razem nigdy nie tknąłem jej nawet palcem? Kiedy się obudziliśmy, leżała w łóżku na boku, odwrócona do mnie plecami. To było trochę dziwne, bo przecież na ogół sypia na plecach. Ale bić się? Fizycznie? Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Chociaż teraz, po zastanowieniu, potrafiłem sobie wyobrazić, że się pokłóciliśmy. Jakby dotarło do mnie echo twardych złych słów, które padły w nocy. A jedno z nich kilka chwil temu znów wyszło z moich ust. Dziwka. W ciągu tych lat obrzucałem Lisę różnymi wyzwiskami, ale nigdy nie nazwałem jej dziwką.

Przetoczyliśmy pojemniki z powrotem na podwórze. Kobieta zniknęła z balkonu.

– Poszła zadzwonić do szefa – stwierdziłem.

– On jeszcze nie wstał – zauważył Janis. – Za wcześnie. – Popatrzył na fasadę, pokiwał głową, poruszając ustami, jakby coś liczył w myślach. – Chodź, Ivar.

Poszedłem za nim do wejścia do kamienicy. Stanął przed nim, studiując przyciski domofonu.

– Drugie piętro, trzecie drzwi na prawo – mruknął i wcisnął właściwy guzik. Czekał, patrząc na mnie z tym swoim uśmieszkiem, który już mnie tak nie denerwował.

Z głośnika nad przyciskami rozległ się głos:

– Słucham.

Głos sroki.

– Dzień dobry, pani Malvik. – Janis mówił tak, jakby kogoś naśladował. Kogoś, kto mówi po norwesku lepiej niż on. – Tu Iversen z komendy policji w Oslo. Centrala alarmowa otrzymała właśnie zgłoszenie z Zakładu Oczyszczania Miasta o tym, że ktoś na drugim piętrze obnażał się przed ich pracownikami. Akurat patrolowaliśmy okolicę w pobliżu, a ponieważ obnażanie się jest przestępstwem zagrożonym karą trzech lat pozbawienia wolności, polecono nam to sprawdzić. Czy coś pani o tym wiadomo, pani Malvik?

Długa chwila milczenia.

– Pani Malvik?

– Nie. Nic nie wiem.

– Nie? Wobec tego na razie dziękuję.

Rozległ się trzask, gdy kobieta odkładała słuchawkę domofonu, i Janis spojrzał na mnie. Szybko przeszliśmy do śmieciarki, żeby babsko nie zdążyło dotrzeć do okna wychodzącego na ulicę i zobaczyć, że to my. Dopiero kiedy odjechaliśmy stamtąd, wybuchnęliśmy śmiechem. Aż się z tego śmiechu popłakałem.

– Coś nie tak, Ivar? – spytał Janis, który już dawno przestał się śmiać.

– Mam kaca – powiedziałem, smarkając w rękaw. – Ta babka na pewno nie zadzwoni do szefa.

– No nie – przyznał Janis i zatrzymał się przed 7-Eleven, gdzie zawsze braliśmy kawę i robiliśmy sobie pierwszą przerwę na papierosa.

– Zastanawiam się nad jednym – zacząłem, kiedy już przyniosłem dużą kawę i po przelaniu połowy do dodatkowego tekturowego kubka, który wziąłem specjalnie w tym celu, podałem go Janisowi. – Jeśli potrafisz naśladować kogoś, kto mówi po norwesku lepiej niż ty, to dlaczego nie mówisz tak cały czas?

Janis podmuchał na kawę, ale mimo to skrzywił się po przełknięciu pierwszego łyku.

– Bo ja tylko naśladuję.

– Chyba wszyscy naśladujemy – zauważyłem. – Przecież właśnie tak uczymy się mówić.

– Racja. No to nie wiem. Może dlatego że czuję się wtedy fałszywie. *Phoney*. Jakbym zdradzał. Jestem Łotyszem, który nauczył się norweskiego, i tak chcę brzmieć. Nie jak oszust. Jeśli będę mówił tak, że weźmiesz mnie za Norwega, a potem popełnię malutki gramatyczny czy fonetyczny błąd, który mnie zdradzi, to ludzie świadomie albo podświadomie będą się czuli oszukani i stracą do mnie zaufanie. Rozumiesz? Lepiej się nie stresować i mówić w nowonorweskim.

Pokiwałem głową. Tak to nazywali w pracy. Nowonorweski. Łączne określenie norweskiego kebabowego, angielskonorweskiego, rosyjskonorweskiego, wszystkich tych języków, jakimi posługiwała się importowana siła robocza.

– Właściwie dlaczego przyjechałeś do Norwegii?

Jeździliśmy tą samą śmieciarką już prawie rok, ale spytałem go o to dopiero pierwszy raz. To znaczy owszem, pytałem wcześniej, ale to „właściwie” stanowiło różnicę. Prosiłem o coś więcej niż standardowa odpowiedź mówiąca, że tu się lepiej zarabia, a tam, gdzie mieszkał, trudno znaleźć pracę. Co z pewnością było prawdą, ale raczej niepełną. I właśnie po raz pierwszy okazałem zainteresowanie nią.

Chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Nawiązałem zbyt intymne relacje psycholog – pacjent. – Odetchnął głęboko i doprecyzował, jakby chciał mieć pewność, że nie będę się stresował: – To znaczy z pacjentkami. Znajdowały się w trudnej sytuacji i otworzyły się przed swoim psychologiem, a ja to wykorzystałem.

– Niedobrze – podsumowałem.

– Niedobrze. Niektóre były nieszczęśliwe i samotne. Ja podobnie, bo właśnie straciłem żonę, umarła na raka. Nie potrafiłem się oprzeć zalotom tych kobiet. Potrzebowaliśmy siebie nawzajem.

– No to w czym problem?

– Po pierwsze, psychologowi nie wolno romansować z pacjentkami, bez względu na stan cywilny. Po drugie, niektóre z tych kobiet były mężatkami.

– Aha... – powiedziałem z namysłem.

Zerknął na mnie szybko.

– Ktoś doniósł – podjął. – Wszystko wyszło na jaw i mnie wyrzucili. Mogłem próbować szukać innej pracy, na przykład wykładać na uniwersytecie w Rydze. Ale dla paru mężów zemsta była niewystarczająca, więc wynajęli kilku gości z Syberii, którzy mieli zadbać o to, żebym już nigdy nie wstał z wózka inwalidzkiego. Jedna z tych kobiet mnie ostrzegła i nie miałem innego wyboru, niż uciec. Łotwa to nieduży kraj.

– A więc jesteś podrywaczem, który tłumaczy się żałosną historią?

– Tak – zgodził się Janis. – Jestem złym wariantem złego człowieka. Takim, który szuka wymówek dla swojej nikczemności. Ty jesteś ode mnie lepszy, Ivar.

– Bo?

– Twoja pogarda dla samego siebie jest bardziej szczera niż moja.

Nie miałem pojęcia, o czym on gada, więc skupiłem się na kawie.

– No to z kim zdradziła cię twoja żona? – spytał, a ja parsknąłem kawą na deskę rozdzielczą. Natychmiast pojawiło się ciśnienie w głowie. – Spokojnie – powiedział. – Użyj kory przedczołowej. Ona ci powie, że jestem tu po to, aby ci pomóc. I że najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić, to opowiedzieć mi o wszystkim. Pamiętaj, że obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

– Tajemnica zawodowa! – powtórzyłem, strzepując z dłoni krople kawy.

– To dotyczy wszystkich psychologów.

– Wiem, do diabła, ale przecież nie jestem, do cholery, u ciebie na kozetce!

– Właśnie się na niej położyłeś. – Janis podał mi papierowy ręcznik, którego rolkę zawsze trzymaliśmy między siedzeniami.

Wytarłem kawę z rąk, gęby i deski rozdzielczej. Zmiąłem papier i przez zęby syknąłem:

– Szef u niej w robocie. Śliski drań. I brzydki. Cały facet to śmieć.

– Więc go znasz?

– Nie.

Co ja, u diabła, właśnie powiedziałem? Że Lisa zdradziła mnie ze swoim szefem w centrali dystrybucyjnej? Tak było? To o to żeśmy się pożarli?

– Nigdy go nie spotkałeś? – spytał Janis.

– Nie. Chociaż właściwie... – Zastanowiłem się. Lisa dużo mi opowiadała o Ludvigsenie, bardzo dużo, więc mogłem po prostu mieć wrażenie, że go poznałem. Nowy szef chwalił ją za wykonywaną pracę, czego poprzedni nigdy nie robił, a Lisa oczywiście kwitła. Zawsze była łasa na pochlebstwa. I takie ma ssanie na ten narkotyk, jakim są pochlebstwa, że trzeba się z nimi wstrzymywać, żeby się nie przyzwyczaiła do poziomu niemożliwego do utrzymania przez męża lub szefa. Ale Ludvigsen dalej ją nimi zasypywał, a ja pewnie sobie pomyślałem, że tu niekoniecznie musi chodzić wyłącznie o dbanie o pracowników. Oprócz tego, że nie pamiętałem jej w tak dobrym humorze, to na dodatek zrobiła sobie nową, krótszą fryzurę, sporo schudła i spędzała wieczory do późna na rozmaitych imprezach kulturalnych z przyjaciółkami, o których istnieniu nawet nie wiedziałem. Jakby nagle miała nowe życie, od którego byłem odcięty, i pewnie właśnie dlatego zajrzałem do jej komórki. No i znalazłem SMS-a od tego Ludvigsena, czy raczej od Stefana, bo tak go sobie wpisała.

A teraz opowiadałem o tym Janisowi.

– Co było w tym SMS-ie? – spytał.

– *MUSZĘ znów się z tobą spotkać*.

– Z podkreśleniem „muszę”?

– Wielkimi literami.

– Było więcej wiadomości?

– Nie.

– Nie?

– Pewnie je skasowała. Ten SMS, który został, był z poprzedniego dnia.

– A jej odpowiedź?

– Nie było. Albo też ją skasowała.

– Gdyby się bała, że ktoś zobaczy odpowiedź, to chyba skasowałaby też SMS-a od niego?

– Może nie zdążyła odpowiedzieć.

– Przez całą dobę? Hm. A może po prostu nie miała żadnych powodów do wyrzutów sumienia? Może właśnie dlatego niczego nie skasowała? Może on ją podrywał, ale nie uległa i nawet nie odpowiedziała na jego wiadomość.

– Właśnie tak twierdziła, ta cholerna... – Dech mi zaparło. Dziwka. Gdy to słowo już raz zostanie powiedziane, kot zostanie wypuszczony z worka, to nie da się go złapać z powrotem.

– Ty się boisz – stwierdził Janis.

– Boję się?

– Może powinieneś mi powiedzieć, co się wydarzyło w nocy.

– Hej, mówisz teraz bardziej tak, jakbyś był gliną, a nie psychologiem.

Janis się uśmiechnął.

– No to nie mów.

– Nawet jakbym chciał, to nie pamiętam. Gorzała.

– Albo wyparcie. Próbuj.

Spojrzałem na zegarek. Ciągle mieliśmy nadróbki czasowe. I tak jak mówiłem: nie było już powodów, żeby kończyć rundę przed wpół do drugiej.

Dlatego spróbowałem. Mimo wszystko Janis miał rację, bałem się. Dlatego że Lisa leżała na boku? Za diabła nie wiem, ale czułem, że coś było nie tak. Coś, co musiało się wydostać, tak jak to ciśnienie, kiedy wzbierało w głowie.

Zacząłem opowiadać, ale opowieść prędko się urwała.

– Spokojnie, zacznij od początku – poprosił Janis. – Ze wszystkimi szczegółami. Grzebanie w pamięci przypomina rozwijanie kłębka, jedno

skojarzenie prowadzi do następnego.

Zrobiłem, jak powiedział. I, cholera, rzeczywiście.

Jak mówiłem, wypiliśmy z Lisą kilka drinków, gdy nagle oświadczyła, że w weekend wyjeżdża na wycieczkę. Pękłem wtedy i spytałem ją o tego SMS-a. Właściwie miałem zamiar tego nie ruszać, zobaczyć, co z tego wyniknie, ale zaczęło mi się gotować we łbie i wywrzeszczałem, że wiem, że ona i Ludvigsen ze sobą kręcą. Zaprzeczyła, ale tak bardzo nie potrafi kłamać, że aż żałość bierze, kiedy się na to patrzy. Trochę ją przycisnąłem i się rozkleiła. Rozpłakała się i przyznała, że na tej wycieczce do Helsinek, którą firma zorganizowała wiosną, działy się po pijaku różne rzeczy. Twierdziła, że właśnie dlatego przestała pić, żeby to się już nigdy więcej nie powtórzyło. Spytałem, czy to nie było coś z tych rzeczy jak Me Too, że to był Ludvigsen, mimo wszystko szef, który ponosił za to winę w całości, a nie tylko w połowie. A Lisa odpowiedziała, że tak, że może i on był trochę bardziej winny, w każdym razie koleżanka twierdziła, że ciągle jej dolewał. Byłem już nieźle wkurzony, no bo przecież nie odmawia się, jak szef zachęca do picia. Trzeba pić, bo to jakby wykonywanie obowiązków służbowych.

– A potem?

– Zaprosił mnie do siebie do domu.

– Gdzie to jest?

– Kjelsåsveien sześćset dwanaście.

– Byłaś tam!

– Nie!

– No to skąd znasz ten adres?

– Przecież mi go podał!

– Ale zapamiętać, że to sześćset dwanaście, to przecież... to kurewsko podejrzane.

Roześmiała się. I właśnie wtedy nazwałem ją dziwką. Złapałem kluczyki do samochodu i wymaszerowałem, żeby nie robić jeszcze gorszych rzeczy.

– Gorszych niż prowadzenie samochodu po pijanemu? – spytał Janis.

– Owszem, gorszych – odparłem.

– Mów dalej.

– Więc pojeździłem w koło. No i cały czas się zastanawiałem, czy mam wrócić i ją zabić.

– Ale tego nie zrobiłeś?

– No właśnie... – Podniosłem rękę przed twarz, przycisnąłem kciuk i palec wskazujący do policzka. Zachrypnięty głos mi drżał. – Właśnie tego nie wiem, Janis.

Nie pamiętam, czy wcześniej wypowiadałem głośno jego imię, wielokrotnie powtarzałem je w myślach, ale na głos? Cholera, wydaje mi się, że nie.

– Ale czujesz, że mogłeś to zrobić?

Skurcze żołądka pojawiły się tak gwałtownie i tak nieoczekiwanie, że odruchowo się pochyliłem.

Przez dłuższą chwilę siedziałem zgięty wpół, w końcu poczułem jego rękę na krzyżu.

– Dalej, Ivar, będzie dobrze!

– Naprawdę? – wykrztusiłem. Do diabła, kompletnie straciłem kontrolę.

– Kiedy dzisiaj przyszedłeś, od razu po tobie poznałem, że coś się stało, ale nie sądzę, żebyś zabił swoją żonkę.

– A co ty, u diabła, możesz o tym wiedzieć?! – ryknąłem z głową wciśniętą między nogi.

– Wyszedłeś, zostawiając żonę, żeby nie zrobić czegoś zbyt pochopnie, i to po tym, jak potwierdziło się coś, co od pewnego czasu podejrzewałeś. Wyszedłeś, żeby dać korze przedczołowej możliwość przeprocesowania tego, czego, jak wiedziałeś, ciało migdałowate nie załatwi w odpowiedni sposób. To dojrzałe posunięcie, Ivar. Pokazuje, że zaczynasz rozumieć, jak musisz sobie radzić ze swoim gniewem. Wydaje mi się, że powinieneś zadzwonić do domu i sprawdzić, co z żoną. Okej?

Podniosłem głowę i popatrzyłem na niego.

– Dlaczego się tym przejmujesz?

– Bo ty się przejmowałeś.

– Że co?

– Kiedy byłem tu zupełnie świeży i pracowałem jako ładowacz na twoim wozie, pomagałeś mi wtedy. Po angielsku tłumaczyłeś, co mam robić. Chociaż widziałem, że nienawidzisz mówić po angielsku.

– Tu nie chodzi o nienawiść do angielskiego, ja go po prostu nie znam.

Janis się uśmiechnął.

– No ale właśnie tak było, Ivar. Byłeś skłonny wyjść trochę na głupka, żebym ja wyszedł na mniejszego głupka.

– Daj spokój, chciałem po prostu mieć pomocnika, który wie, co ma robić. Inaczej robota by się przedłużała i więcej spadałoby na mnie, rozumiesz?

– Owszem, rozumiem. I chyba więcej, niż ci się wydaje. Człowiek czuje, kiedy ludzie chcą mu pomóc. Ty tego teraz nie czujesz? Czy może wydaje ci się, że próbuję ci pomóc tylko dlatego, że nie chcę, żeby mojego pomocnika wylali z roboty?

Pokręciłem głową. Jasne, wiedziałem, że Janis mi pomaga. I że zawsze tak było, choćby dzisiaj z tą szaloną babą na balkonie. Nie pierwszy raz mnie osłaniał. Tyle że to takie cholernie irytujące, kiedy przychodzi cudzoziemiec i nie tylko odbiera ci robotę, ale jeszcze zostaje twoim szefem. Tak raczej nie powinno być. Facet nie może się zjawić nie wiadomo skąd i zabierać czegoś, do czego nie ma prawa. Do czego prawo mam ja. Wtedy jest wojna. Ktoś musi zginąć. Okej, okej, właśnie tak mam nie myśleć, to takie myślenie pcha mnie w kłopoty. Wiem, wiem. Ale niech to szlag.

– Mam za dużo testeronu – oświadczyłem.

– Testosteronu – poprawił mnie Janis.

No dobrze, przynajmniej się uśmiechnął tym swoim irytującym uśmieszkiem.

– Od niego człowiek robi się agresywny.

– Niekoniecznie – stwierdził Janis.

– W każdym razie bardziej agresywny niż napalony. Może nic dziwnego, że Lisa znalazła sobie kogoś na boku.

– Po-mył-ka – powiedział Janis, a ja się zorientowałem, że mnie naśladuje. – Testowanie na zwierzętach wykazało, że podawany testosteron wywołuje agresję wyłącznie u tych zwierząt, u których agresja w sytuacjach krytycznych pojawiała się już wcześniej. A jest tak dlatego, że mózg zwierzęcia niekoniecznie widzi inne rozwiązania. Nowsze badania wykazują bowiem, że funkcja testosteronu jest bardziej ogólna. Przygotowuje cię do tego, co należy zrobić w sytuacjach krytycznych, wszystko jedno, czy wymaga to agresji, gniewu, czy czegoś przeciwnego.

– Przeciwnego?

– Wyobraź sobie kryzys dyplomatyczny zagrażający pokojowi na świecie. Takie wydarzenie nie wymaga agresji, tylko szybkiego przełączenia się na szczodrość i empatię wobec kogoś, kogo w zasadzie nienawidzisz. Albo w sytuacji, kiedy sterujesz rakietą, która ma wylądować na Księżycu, komputer zawodzi i sam musisz wyliczyć w myślach prędkość, kąt i odległość. Złość ci wtedy nie pomoże. A jednak to właśnie testosteron pomaga w podobnych okolicznościach.

– Bajdy opowiadasz.

Janis wzruszył ramionami.

– Pamiętasz, jak było koło centrum handlowego Storo?

– Koło Storo?

– Gołoledź. Podjechaliśmy tyłem pod ścianę budynku i mieliśmy opróżnić pojemniki, które tam stały. – Patrzył na mnie.

Pokręciłem głową.

– No dalej, Ivar! Śmieciarka stała na niedużej górce i zaczęła się ześlizgiwać na oponach.

Dalej kręciłem głową.

– Ivar, stałem tyłem do samochodu i przygniotłoby mnie do ściany, gdybyś nie obrócił błyskawicznie największego kontenera i nie ustawił go

w poprzek między śmieciarką a ścianą.

– Aha, wtedy. Raczej by cię nie zgniotło na śmierć.

– Chodzi mi o to, że pokazałeś, że potrafisz działać jednocześnie spontanicznie i w sposób przemyślany. Nie musisz tracić głowy pod wpływem adrenaliny i testosteronu. Nie bój się, Ivar, jesteś mądrzejszy, niż ci się wydaje. Więc zadzwoń do niej. Wykorzystaj testosteron do empatii. I do liczenia w myślach.

Niech to szlag. Zadzwoniłem.

Nie odebrała.

– Pewnie śpi – orzekł Janis.

Spojrzałem na zegarek. Ósma. Oczywiście mogło się zdarzyć, że właśnie jechała autobusem do pracy, wtedy nie odbierała telefonu. Wysłałem SMS-a. Kiedy czekałem na odpowiedź, moje stopy poruszały się rytmicznie jak pałeczki perkusisty, bębniąc w podłogę. Wzeszło słońce, świeciło wprost przez przednią szybę, zapowiadał się upalny dzień.

Gorący dzień w piekle, pomyślałem, ściągając kurtkę.

– Musimy jechać dalej – stwierdził Janis, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Poznałem Lisę na imprezie u kumpla, kiedy chodziłem do zawodówki.

Rzuciłem się na chłopaka z Ljan, który uważał, że może mnie nauczyć pewnych rzeczy o szacunku. Wiedziałem, że mnie prowokuje, bo słyszał, że łatwo się nakręcam. Wiedziałem też, że zrobił to, bo umie się bić, i chciał się pokazać dziewczynom. Ale rozumienie takich rzeczy w niczym nie pomaga, gdy ktoś mówi to z wyniosłością wypisaną na gębie, która aż się prosi o fangę. Aby nie przedłużać tej opowieści: sprał mnie. Lisa wytarła mi krew z nosa papierem toaletowym, pomogła stanąć na nogi i odprowadziła mnie do domu, do wynajętego pokoju na Sogn. I została na noc. I na następny dzień. Na następny tydzień. Krótko mówiąc, została.

Nie zdążyliśmy się w sobie zakochać. Nie zdążyliśmy przeżyć bolesnej, a jednocześnie cudownej niepewności, czy ta druga osoba cię zechce. Cała

ta gra, wątpliwości, ekstatyczna radość – przez wszystko to przeskoczyliśmy. Byliśmy ze sobą i koniec. Niektórzy uważali, że trafiła mi się dziewczyna za dobra dla mnie, a przynajmniej zaczęli tak myśleć z czasem, bo Lisa była wtedy cichą szarą myszką, bez tych kształtów, których nabrała kilka kilogramów później, bez promienności, którą oprócz mnie zaczęli zauważać inni, kiedy przewalczyła w sobie największą nieśmiałość.

Mówili, że ma na mnie dobry wpływ, że stałem się spokojniejszy, nie taki porywczy, jak określił to psychiatra, który się mną zajmował, bo bał się nazwać mnie niestabilnym. I to prawda, Lisa wiedziała, jak mnie przygasić. Sprawy wymykały się spod kontroli, kiedy nie było jej przy mnie lub gdy wypiłem o kieliszek za dużo. Dorobiłem się kilku doniesień na policję o naruszenie nietykalności cielesnej, ale odsiedziałem tylko dwa krótkie wyroki. I jak już mówiłem: Lisy nigdy nie tknąłem nawet palcem. Nigdy nie miałem do tego żadnego powodu. Dopiero teraz. Wydaje mi się, że nigdy też się mnie nie bała. Owszem, bała się o innych, znajomych i krewnych, kiedy powiedzieli do mnie coś nie tak. Podejrzewałem też, że poczuła po części ulgę, gdy lekarz nam przekazał, że nie możemy mieć dzieci. Cholera, mnie samemu ulżyło, choć oczywiście tego nie powiedziałem. Ale o własne bezpieczeństwo Lisa nigdy się nie bała. Pewnie dlatego miała odwagę przyznać się do tych sprawek z Ludvigsenem. Ale jak mogła wyobrażać sobie, że zna moje granice, skoro sam ich nie znałem? Skoro siedziałem i zastanawiałem się, co ja, u diabła, zrobiłem?

Kiedy miałem dziesięć lat, mój starszy brat i ja dostaliśmy po szklance oranżady tuż przed wyjściem rodziców w sobotni wieczór. Ale ledwie znaleźli się za drzwiami, brat solidnie napluł do obu szklanek, zapewne licząc, że w ten sposób zapewni sobie obie porcje oranżady. Tyle że nie da się pić ze szklanki, kiedy ma się złamaną szczękę, a w szpitalu przez słomkę podawano mu tylko wodę.

W każdym razie teraz stało się tak, że Lisa była jakby jedną z tych szklanek z oranżadą. Opluta, zanieczyszczona. Inaczej nie potrafiłem na to

spojrzeć. Straciłem to, co było mi dane, i zostało mi jedynie bezproduktywne odwzajemnianie się, wyrównywanie ciśnienia. Niech cię szlag trafi. I mnie.

A teraz znów poczułem, że to wraca. To ciśnienie w skroniach.

Może dlatego, że byliśmy na Kjelsåsveien i minęliśmy już numer sześćset.

Między kolejnymi adresami i pojemnikami wskakiwałem do szoferki i z niej wyskakiwałem, a czasami jechałem na stopniu. Przy każdej przerwie sprawdzałem komórkę.

Może Lisa siedzi na jakimś zebraniu.

Z Ludvigsenem.

Okej, nie wolno mi tak myśleć. Poza tym ona nic nie zrobiła. Nie wiem, dlaczego byłem tego taki pewien, ale byłem.

Wreszcie tam dotarliśmy. Na Kjelsåsveien sześćset dwanaście.

To była willa, ani mniej, ani bardziej okazała niż inne w tej okolicy. Z rodzaju takich, że nie musisz być bogaty, żeby w niej mieszkać, jeśli odziedziczyłeś ją po rodzicach, którzy też nie musieli być bogaci. Ale gdyby chcieć ją kupić teraz, trzeba by wywalić dwucyfrową liczbę milionów. Sady jabłoniowe są w cenie, nawet we wschodnich dzielnicach, gdzie mieszkam.

Zauważyłem, że zewnętrzna lampa nad schodami jest zapalona. Stefan Ludvigsen albo nie oszczędzał prądu, albo był zapominalski. A może nie poszedł do pracy, tylko ciągle siedział w domu. Czy właśnie ta myśl sprawiła, że puls mi przyspieszył, kiedy szedłem w stronę garażu? Świadomość, że może wyjść i obwieścić, że nie mógł dodzwonić się do Lisy, w związku z czym zadzwonił na policję i wysłał ją do nas do domu? Zdradziło mnie nie tylko walące serce. Nagle ogarnęła mnie całkowita pewność: dzisiejszej nocy zabiłem. Czułem to nie tylko w bolących przedramionach, w koniuszkach palców, w kciukach, które naciskały krtań, ale w całym sobie. Byłem mordercą. Widziałem wytrzeszczone oczy, błagalny zamierający wzrok, wpatrzony we mnie w pełnej rezygnacji

rozpaczy, zanim zgasł jak czerwona lampka kontrolna, kiedy wyłączy się prąd.

Czy Ludvigsen o tym wiedział? Czy siedział za którymś z okien i patrzył na mnie? Może nie miał odwagi wyjść, tylko czekał na policję? O cichym letnim poranku nasłuchiwałem wycia policyjnych syren, nim w końcu pchnąłem niezamknięte na klucz drzwi do garażu, gdzie stał kontener na czterech kołach. I samochód. Nowiusieńkie czarne bmw. Takimi autami jeżdżą bandyci. Ale w tej sytuacji to ja byłem bandytą, prawda? Wypchnąłem kontener, był taki ciężki, że koła zapadały się w żwir. Musiałem go pchać z całej siły. Umieściłem go na podnośniku grzebieniowym i napotkałem w lusterku wzrok Janisa. Wołał coś, ale zagłuszył go warkot podnośnika.

– Co?! – odkrzyknąłem.

– To nie twój samochód?

– Przecież ja, do kurwy nędzy, nie mam bmw!

– Nie ten! – zawołał Janis. – Tamten!

Zobaczyłem, że pokazuje kawałek dalej na drogę. I rzeczywiście, w odległości pięćdziesięciu metrów stała biała corolla. Samochód, który wkrótce miał przejść przegląd rejestracyjny. Samochód, który miał wyraźne wgniecenie na masce od mojego uderzenia pięścią, kiedy chciałem coś podkreślić podczas rozmowy z parkingowym.

Zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. Wydaje mi się, że to właściwe określenie, bo to był cholernie powolny proces. Powolny, ponieważ tak trudno było mi pojąć, że Lisa jednak zrobiła to przeciwko mnie. Tu stało bmw, którym Ludvigsen powinien był pojechać do pracy, a tam corolla, która powinna stać u mnie w garażu. Innymi słowy, Lisa wstała, zobaczyła samochód w garażu i przyjechała tutaj, gdzie czekał na nią Ludvigsen.

Popatrzyłem na dom. Byli w środku. Co teraz robili? Próbowałem odepchnąć nasuwające się obrazy, ale to okazało się niemożliwe. Chciałem zabijać. Mordować. I ewentualnie ponieść za to karę. I teraz nie przemawiał przeze mnie gniew. Chociaż może i tak. Ale to był ten rodzaj gniewu, jakiego nigdy nie nauczę się wyciszać. To był gniew, który musi znaleźć

ujście, innego rozwiązania nie ma. Musiałem udusić Ludvigsena. A Lisę... Nie zdołałem dokończyć tej myśli. Bo chociaż miałem na siatkówce obraz przedstawiający ich dwoje, nagich w wielkim ohydnym łożu z baldachimem, to coś w tym obrazie się nie zgadzało, coś tu nie pasowało. Trochę jak wtedy, kiedy się czuje, że o czymś się zapomniało, ale nie potrafi się określić, co to takiego.

W każdym razie zaraz po opróżnieniu kontenera zamierzałem wyjąć ze skrzynki z narzędziami lewarek, wejść do tego domu i stać się zabójcą. Kiedy decyzja została podjęta, poczułem dziwną lekkość w głowie, jakby ciśnienie już się wyrównało. Śledziłem wzrokiem kontener. Zadzwonił telefon. Odebrałem.

– Cześć – powiedziała Lisa.

Zdrętwiałem. Rozpoznałem odgłosy w tle. Lisa była w pracy, w centrali dystrybucyjnej.

– Widzę, że tyle razy dzwoniłeś – ciągnęła. – *Sorry*, ale tu u nas jest kompletny chaos. Nikt nie wie, gdzie się podział Ludvigsen. Możemy porozmawiać później?

– Jasne – odparłem, patrząc na kontener już podniesiony na maksymalną wysokość. – Kocham cię.

Zapadła cisza, a ja wyczułem zmieszanie Lisy.

– Nie jesteś... – zaczęła.

– Owszem, jestem głęboko zraniony i zasmucony. – Kontener zaczął się przechylać. – Ale cię kocham.

Rozłączyłem się i spojrzałem na corollę. Stała w cieniu i dopiero teraz dostrzegłem, że ma zaroszoną szybę. Musiała stać tu przez noc.

Zawartość zielonego kontenera wypadła. Coś z miękkim plaśnięciem uderzyło w metalowe dno zagęszczarki. Zajrzałem do środka. Między pękatymi workami ze śmieciami i pustymi kartonami po pizzy leżało blade tłuste ciało w niebieskich spodniach od piżamy. Musiałem kiedyś spotkać Stefana Ludvigsena, ponieważ go rozpoznałem. Jego nieruchome zamglone oczy wpatrywały się gdzieś poza mnie. Ślady na krtani sczerniały. I nagle

ogarnęło mnie wrażenie, jakby mgła zaczęła się rozwiewać i przeniknęło przez nią słońce, jakby na biegunach topniał lód. Krajobraz niepamięci zaczął się wyłaniać w przyspieszonym tempie.

Przypomniałem sobie jego wyznanie wypowiadane zduszonym głosem. Tłumaczył, że właśnie się rozwiódł, dlatego popełnił ten błąd. Sądził chyba, że jestem zbyt pijany, by dostatecznie szybko zareagować na widok kuchennego noża, który chwycił i którym wymachiwał mi przed nosem. Zranił mnie w czoło, zanim wytrąciłem mu go z ręki. Dobrze się stało z tym nożem, bo jakby dolało oliwy do ognia. Dało mi wymówkę. Samoobrona, do cholery. Więc wydusiłem z niego życie. Nie odbyło się to ani zbyt szybko, ani zbyt wolno. Nie żebym miał z tego przyjemność, to już by była przesada. Ale przynajmniej dostał czas na to, żeby zrozumieć. Żeby pożałować. Żeby cierpieć. Tak jak ja.

Zobaczyłem, jak zagęszczarka zbija półnagie ciało w osobliwą pozycję płodu.

Odwróciłem się na stopniu i popatrzyłem na wysypaną żwirem dróżkę prowadzącą do drzwi wejściowych. Żadnych śladów ciągnięcia. Posprzątałem po sobie. Usunąłem ewentualne ślady i w środku, i na zewnątrz.

Jeśli byłem pijany, siadając do corolli, jadąc tu w środku nocy i dzwoniąc do drzwi, to na widok Ludvigsena leżącego bez życia na środku kuchni natychmiast wytrzeźwiałem. Wytrzeźwiałem na tyle, że zrozumiałem, iż jeśli złapią mnie na jeździe po pijaku, kiedy będę wracał do domu, zostanie to zarejestrowane i później może powiązane ze zniknięciem Ludvigsena. Bo on miał zniknąć. Wyparować. Czy zaplanowałem to, jeszcze zanim zadzwoniłem do jego drzwi? Bo Janis miał jednak rację. Najwyraźniej posiadałem zdolność do szybkiego, a zarazem przemyślanego działania.

Podszedłem do szoferki i usiadłem na miejscu pomocnika.

– No i co? – spytał Janis, patrząc na mnie.

– Z czym?

– Masz mi coś do powiedzenia? Wiesz, że obowiązuje mnie tajemnica.

Co, u diabła, miałem na to odpowiedzieć? Spojrzałem na wschód w stronę pasma wzgórz, znad których wzeszło słońce. Runda była już prawie zakończona. Niedługo pojedziemy na wysypisko w Klementsrud, gdzie oczy robotów zakwalifikują Ludvigsena jako odpad organiczny i taśma przetransportuje go do płonącego piekła, na które zasłużył i w którym wszystkie ślady, wszystkie wspomnienia, wszystko, co było, zostanie unicestwione, a nic z tego, co straciliśmy, nie da się odzyskać. A potem przyszły do mnie słowa. Te, które mają zwyczaj utkwić gdzieś po drodze, ale tym razem spłynęły po języku jak muzyka.

– Ktoś musi wziąć na siebie sprzątanie – stwierdziłem.

– Amen – powiedział Janis.

Śmieciarka szarpnęła i ruszyła.

PRZYZNANIE SIĘ DO WINY

– Mogę w czymś pomóc, panie komisarzu?

Odstawiam filiżankę Simone na obrus leżący na jej kawowym stoliku. Jej filiżanka. Jej obrus. Jej stolik. Nawet miseczka z mieszanką czekoladową na środku stołu jest jej. Rzeczy. Dziwne, jak mało znaczą w obliczu takiej czy innej śmierci.

Ale za życia rzeczy nie były dla niej zbyt ważne. Właśnie to wyjaśniłem policjantowi. Kiedy mnie wyrzucała, proponowała, abym zabrał wszystko, co chcę – wieżę stereo, telewizor, książki, sprzęty kuchenne, *you name it*. Była przygotowana, postanowiła, że to będzie cywilizowane rozstanie.

– W naszej rodzinie nie kłócimy się o łyżeczki do herbaty – oświadczyła.

Ja też się nie kłóciłem. Tylko się w nią wpatrywałem, aby dostrzec, co jest prawdziwym powodem, co się kryje za pustymi frazesami, które z siebie wyrzucała: „najlepsze dla nas obojga”, „rozchodzimy się w różne strony” i „najwyższa pora iść dalej”. Dziękuję bardzo.

Potem położyła na stole kartkę i kazała mi zakreślić, co chcę zabrać.

– To po prostu przygotowany przeze mnie spis inwentarza. Niech uczucia nie staną na drodze rozumowi, Arne. Potraktuj to jako sterowane zamknięcie.

Tak się wyraziła. Jakby chodziło o jedną ze spółek córek jej ojca, a nie o małżeństwo. Oczywiście byłem zbyt dumny, by bodaj spojrzeć na tę listę. Zbyt urażony, aby zabrać cokolwiek z przerośniętej willi na Vinderen, gdzie spędziliśmy razem dobre i – przynajmniej ja tak to pamiętam – kilka bardzo złych dni. Może zrezygnowałem ze wszystkiego zbyt pochopnie. Simone była przecież zamożną młodą kobietą. Miała ponad czternaście milionów, ja natomiast byłem zadłużonym fotografikiem, mającym nieco zbyt dużą wiarę we własne zdolności administracyjne. Simone wspierała mój pomysł założenia własnego studia, wspólnie z sześcioma innymi fotografikami. Wspierała, jeśli nie finansowo, to przynajmniej moralnie.

– Ojciec nie widzi opłacalności takiej inwestycji – poskarżyła się. – Uważam, że powinieneś zainwestować w to sam, Arne. Pokazać mu, na co cię stać. Z czasem na pewno włoży jakiś kapitał w ten projekt.

Na papierze pieniądze należały do niej, ale zarządzał nimi jej ojciec. Intercyza, kiedy się pobieraliśmy, była, rzecz jasna, jego decyzją. Zapewne przeczuł, że córka wyrośnie ze snującego mgliste wizje długowłosego fotografika „z ambicjami artystycznymi”.

Zainwestowałem więc w ten pomysł, rozgoryczony i zdecydowany udowodnić teściowi, jak bardzo się w stosunku do mnie pomylił. No i zaciągnąłem wielką pożyczkę w czasie, gdy banki dosłownie wciskały ci pieniądze, jeśli miałeś cokolwiek na kształt pomysłu na biznes. Sześć miesięcy zajęło mi udowodnienie, że ojciec Simone miał rację. Z reguły trudno jest wskazać palcem, kiedy dokładnie kobieta przestaje kochać. Z Simone było łatwo. Stało się to w chwili, gdy otworzyła drzwi, a stojący za nimi mężczyzna oznajmił, że jest komornikiem i przyszedł, aby zająć moje rzeczy. Potraktowała go z lodowatą uprzejmością, wypisała czek i udało nam się zatrzymać samochód. Tę samą lodowatą uprzejmość okazała, mówiąc mi, że mogę wziąć, co chcę. Zabrałem swoje ubrania, jeden komplet pościeli i osobisty dług na ponad milion koron.

Powinienem był zabrać ten stolik. Lubię go. Lubię te drobne rysy na blacie, wspomnienia naszych szalonych imprez, plamy z czasów, kiedy wbiłem sobie do głowy, że wszystko w salonie pomaluję na zielono. I tę jedną nogę, odrobinę skrzywioną od pierwszego i ostatniego razu, kiedy kochaliśmy się na tym stoliku.

Komisarz siedzi w fotelu naprzeciwko mnie, a przed sobą na blacie ma nietknięty notes.

– Czytałem, że znaleziono ją na tej kanapie – mówię, znów podnosząc filiżankę.

To oczywiście zbędna informacja. Wszystkie gazety pisały o tym na pierwszych stronach. Policja nie chciała wykluczyć, że z jej śmiercią może się wiązać jakieś przestępstwo. A nazwisko Simone, rzecz jasna, działa na media jak magnes. Sekcja wykazała, że przyczyną śmierci był cyjanek.

Simone zaczęła kiedyś uczyć się w szkole jubilerskiej z myślą o przejęciu sieci sklepów ojca, lecz, jak często bywało w jej wypadku, prędko jej się to znudziło. W piwnicy wciąż stały butelki z cyjankiem, które przemyciła do domu z warsztatu. Dla dreszczyku emocji, jak twierdziła. Ponieważ jednak żadne ślady nie wykazały, aby trucizna pochodziła z jej własnych butelek, nie wiadomo było też, w jaki sposób ją zażyła, policja nie chciała na razie przyjąć wersji samobójstwa.

– Wiem, co myślicie, panie komisarzu.

Czuję, jak sprężyny pod obiciem kanapy uciskają mnie w uda. Stara rokokowa kanapa, w jej stylu. Czy ten jej nowy, architekt, kochał się z nią na tej kanapie? Wprowadził się tu zaledwie kilka tygodni po mojej wyprowadzce.

Przypuszczam, że posuwał ją na tej kanapie, kiedy jeszcze tu mieszkałem. Policjant nie każe tłumaczyć, o co mi chodziło, gdy powiedziałem, że wiem, co myślą, ale ciągnę sam z siebie:

– Myślicie, że nie była osobą o skłonnościach samobójczych. I macie całkowitą rację. Proszę nie pytać, skąd to wiem, ale wiem, że została zamordowana.

Nie wydaje się, żeby moja wypowiedź wywarła szczególne wrażenie.

– Wiem też, że to na mnie kierują się podejrzenia, ponieważ jestem odrzuconym małżonkiem. Mam motyw, mogłem ją odwiedzić, wiedziałem, gdzie przechowywała truciznę, mogłem dolać jej do kawy i wyjść. Pewnie dlatego byliście u mnie w domu, chcieliście sprawdzić, czy coś z moich ubrań pasuje do włókienek znalezionych tu, w domu Simone.

Policjant nie odpowiada. Wzdycham.

– Ale ponieważ ani włókienka, ani ślady butów, ani odciski palców nie odpowiadają moim, nie macie żadnych konkretnych dowodów. Jakaś bystra głowa wymyśliła więc, że ściągniecie mnie tu, do tej willi, żeby sprawdzić, jak sobie radzę z powrotem na miejsce zbrodni. Taka mała wojna psychologiczna. Mam rację?

Ciągle brak odpowiedzi.

– Powód, dla którego nic takiego nie znaleźliście, jest całkiem prosty. Nie było mnie tutaj, panie komisarzu. W każdym razie w ciągu ostatniego roku. A pokojówka potrafi starannie używać odkurzacza.

Odstawiam filiżankę z kawą i sięgam do miseczki po cukierek czekoladowy. Kokosowy. Nie należy do moich ulubionych, ale może być.

– To niemal smutne, panie komisarzu, że wszystkie ślady po człowieku dają się tak szybko i łatwo usunąć. Jakby nigdy nie istniał.

Cukierek obraca się cztery razy, kiedy pociągam za jego końce. Zdejmuję sreberko, składam je czterokrotnie, paznokciem przeciągam wzdłuż brzegów złożenia i taką kostkę odkładam na stół. Potem zamykam oczy i wsuwam cukierek do ust. Komunia. Odpuszczenie grzechów.

Simone uwielbiała czekoladę. Zwłaszcza mieszankę czekoladową Twist. Do naszych stałych zwyczajów należało kupowanie dużej torebki twistów w każdą sobotę, kiedy robiłem zakupy w supermarkecie Kiwi. Było to coś w rodzaju kotwicy w życiu zbudowanym na nadarzających się okazjach, dziwnych pomysłach, jednej czy drugiej wspólnej kolacji i budzeniu się z reguły w tym samym łóżku. Tłumaczyliśmy się tym, że każde z nas ma swoją pracę, a ja uważałem, że wszystko się zmieni, kiedy będziemy mieć dziecko, które nas połączy. Dziecko. Pamiętam, jak bardzo była wzburzona, kiedy wspomniałem o tym pierwszy raz. Znów otworzyłem oczy.

– Simone i ja byliśmy idealną twistującą parą.

Mówiąc to, już czekam, aż komisarz uniesie brew i spojrzy na mnie pytająco.

– Nie mam na myśli tańca, tylko cukierki. – Pokazuję palcem.

Policjant najwyraźniej nie ma poczucia humoru.

– Lubię lukrecję i nugat, a nienawidzę kremu bananowego – kontynuuję. – Na szczęście ona go uwielbiała. To ten cukierek w żółto-zielonym papierku, wie pan. No tak, pan przecież... Jeśli mieliśmy gości, musiałem wybierać te bananowe, zanim wystawiłem miseczkę na stół, żeby następnego dnia mogła je zjeść sama.

Zamierzałem wtrącić tu cichy śmiech, tymczasem ta niewinna anegdota wywołuje we mnie całą lawinę uczuć. Coś mi rośnie w gardle, nie zamierzam nic mówić, ale słyszę własny udręczony szept:

– My się kochaliśmy, komisarzu. Nawet bardziej niż kochaliśmy. Byliśmy dla siebie powietrzem, którym oddychaliśmy, utrzymywaliśmy się nawzajem przy życiu, rozumie pan? Nie, dlaczego miałby pan to rozumieć.

Prawie się teraz rozzłościłem. Wylewam z siebie najskrytsze myśli, walcząc z płaczem, a ten policjant siedzi z kamienną twarzą. Mógłby przynajmniej współczująco pokiwać głową albo udać, że coś notuje.

– Zanim Simone mnie poznała, wiodła życie pozbawione sensu. Była bliska upadku na dno. Na zewnątrz wszystko wyglądało ładnie: uroda, pieniądze i tak zwani przyjaciele. Ale żadnej treści, żadnego kierunku, rozumie pan? Nazywam to terrorem rzeczy. Rzeczy można stracić, a im więcej człowiek ma, tym bardziej się boi. Ona po prostu o mało nie utonęła w nadmiarze. Nie miała jak oddychać. Ja przyniosłem jej przestrzeń. I powietrze.

Milknę. Twarz policjanta zaczęła się przede mną rozpływać.

– Powietrze. Przeciwieństwo cyjanku, komisarzu. Cyjanek paraliżuje komórki narządów oddechowych, człowiek nie daje rady oddychać i w ciągu kilku sekund się dusi. Ale to pan chyba wie?

Tak było lepiej. Trzeba mówić o czymś innym. Przełykam ślinę, biorę się w garść i ciągnę:

– Nie wiem, jak poznała tego architekta, Henrika Bakkego. Cały czas twierdziła, że było to już po rozstaniu ze mną, i początkowo jej wierzyłem. Ale przyjaciele wytłumaczyli mi, jaki byłem naiwny. Mówili, że gość wprowadził się niemal od razu. Zanim jeszcze łóżko z mojej strony wystygło, jak wyraził się jeden z kolegów. A jednak, panie komisarzu, i może zabrzmi to dziwnie, znajduję pewną pociechę w okoliczności, że to uczucia do innego zniszczyły nasz związek. Że Simone i mnie nie łączyło uczucie z rodzaju tych, które wypalają się same z siebie, lecz że to miłość zwyciężyła miłość.

Zerkam na policjanta, ale odwracam wzrok, gdy napotykam jego oczy. Zwykle jestem bardzo ostrożny w mówieniu o uczuciach, zwłaszcza własnych, ale coś się we mnie poruszyło i nie potrafię tego zatrzymać. Może nie chcę.

– Wydaje mi się, że jestem normalnie zazdrosnym facetem. Simone może nie była klasyczną pięknością, ale miała w sobie pewną zwierzęcość, która czyniła ją piękną w niebezpieczny sposób. Kiedy na kogoś patrzyła, potrafiła sprawić, że czuł się jak złota rybka, która została sama w domu z kotem. Mimo to mężczyźni krążyli wokół niej jak ptaki pragnące czyścić zęby krokodyla. Zawracała im w głowach, była... Sam pan ją widział. Mój czarny anioł śmierci, tak ją zwykle nazywałem. Żartowałem, że doprowadzi mnie do zguby, że jeden z jej fanatycznych wielbicieli zadba o usunięcie mnie z tego świata. W głębi ducha bałem się jednak tego mniej, niż że ona któregoś dnia ulegnie któremuś z tych natrętnych zalotników. Jestem, jak już mówiłem, normalnie zazdrosnym facetem.

Policjant zapadł się głębiej w fotelu. Może nic dziwnego, bo na razie nie powiedziałem niczego ciekawego dla śledztwa. Ale nie dawał też żadnego znaku, że chce mnie powstrzymać.

– Mimo to nigdy nie byłem zazdrosny o Henrika Bakkego. Czy to nie dziwne? W każdym razie nie w taki sposób, abym go nienawidził czy miał coś przeciwko niemu. Wydaje mi się, że postrzegałem go tylko jako faceta, który tak samo jak ja kocha Simone ponad wszystko na ziemi. Traktowałem go raczej jak kogoś, kto jedzie na tym samym wózku, niż jak konkurenta.

Dotykam językiem zębów trzonowych, do których przykleił się kokos, i odnoszę dość nieprzyjemne wrażenie. Milczenie komisarza dosłownie huczy w pokoju.

– Okej. To nie była do końca prawda. Byłem zazdrosny o Henrika Bakkego. Przynajmniej kiedy zobaczyłem go pierwszy raz. Proszę pozwolić, że wyjaśnię. Któregoś dnia zadzwonił do mnie do biura i poprosił o spotkanie, żeby przekazać jakieś papiery od Simone. Zrozumiałem, że to dokumenty rozwodowe. I chociaż to oczywiście niesłychane, że wykorzystała swojego nowego kochanka do ich przekazania, to byłem

ciekaw, kim jest ten mężczyzna, i dlatego zgodziłem się zobaczyć z nim w restauracji. Zakładam, że był równie ciekaw mnie. W każdym razie okazał się bardzo miłym człowiekiem, uprzejmym, ale bez cienia służalczości, inteligentnym, ale nie głośnym, i umiejącym z humorem podejść do tej dość dziwacznej sytuacji. Wypiliśmy parę piw, a kiedy po pewnym czasie zaczął mówić o Simone, szybko zrozumiałem, że ma z nią dokładnie takie same problemy jak ja. Ona była z gatunku kotów, przychodziła i wychodziła, jak chciała, była rozpieszczona i marudna, a lojalność, jeśli wolno mi tak powiedzieć, nie należała do jej najmocniejszych stron. Skarżył się na wszystkich jej przyjaciół mężczyzn, z którymi przestawała, i zastanawiał się, dlaczego nie może mieć przyjaciółek jak inne kobiety. Opowiadał o nocach, kiedy wracała do domu, gdy on już był w łóżku, oszołomiona alkoholem i wszystkimi nowymi niezwykle interesującymi ludźmi, których poznała i o których z podziwem opowiadała. Przy okazji spytał, czy spotkałem się z nią po swojej wyprowadzce, czemu z uśmiechem musiałem zaprzeczyć. Z uśmiechem, ponieważ uświadomiłem sobie, że on prawdopodobnie jest bardziej zazdrosny o mnie niż ja o niego. Czy to nie paradoks, komisarzu?

Komisarz otwiera usta, lecz najwyraźniej zmienia zdanie i zamiera z opuszczoną żuchwą. Wygląda to idiotycznie. Właściwie postanowiłem nie mówić zbyt wiele. Ale to dziwne, jak milczenie drugiej osoby potrafi wpłynąć na człowieka. Początkowo odbierałem to milczenie jako groźne, teraz jednak czuję, że nie jest to mówiąca cisza. Nie żeby komisarz sprawiał wrażenie szalenie zainteresowanego czy też zasłuchanego. To bardziej neutralna nicość. Brak rozmowy, pustka, która działa jak próżnia chłonąca moje słowa.

– Zamówiliśmy jeszcze po piwie i nieźle się uśmialiśmy, kiedy zaczęliśmy porównywać swoje zwyczaje. Na przykład to, że ona zawsze po zamówieniu czegoś do jedzenia rozmyślała się i trzeba było przywoływać kelnera, żeby zmienić zamówienie. Albo że zawsze po zgaszeniu światła i powiedzeniu „dobranoc” musiała wstawać do toalety. No i oczywiście te sobotnie zakupy i katastrofa, jeśli zapomniał kupić twistów. Dlatego zresztą

wcale się nie zdziwiłem, kiedy znów spotkałem Bakkego w Kiwi w pewne sobotnie przedpołudnie ze dwa tygodnie później. Obaj się śmialiśmy, gdy znacząco popatrzyłem na torebkę z twistami, którą miał w wózku. Spytał zresztą o te papiery rozwodowe, powiedział, że adwokat Simone na nie czeka. Wyjaśniłem, że miałem dużo rzeczy do załatwienia, ale że zajmę się nimi w następnym tygodniu. Może trochę się zirytowałem tym, że o nich wspomniał. No bo po co taki pośpiech? Zajął moje miejsce w jej łóżku i na początek tyle powinno wystarczyć. Można było odnieść wrażenie, że nie może się doczekać, kiedy się z nią ożeni. I z jej milionami. Spytałem go wprost, czy mają zamiar się pobrać. Był bardzo zaskoczony, więc powtórzyłem pytanie. Uśmiechnął się blado i pokręcił głową. A ja wtedy zrozumiałem.

Rozciągam w palcach papierek od cukierka lukrecjowego. Napisane jest na nim *Lakris-lakrits-lakrids*. Po norwesku, duńsku i szwedzku?

W każdym razie łatwo to zrozumieć. Dobrze, że sąsiedzi mówią prawie tym samym językiem.

– Bakke miał coś w oczach, ból, który rozpoznałem z własnego odbicia w lustrze. Był na wylocie. Simone miała go już dość. Znudził się jej. Rozstanie pozostawało jedynie kwestią czasu i on o tym wiedział, już czuł gorycz porażki. Badał pan to, komisarzu? Pytał pan jej przyjaciółki, czy miała takie plany? Powinien pan to zrobić, bo on przecież ma motyw. *Crime passionnel*, czy nie tak to nazywacie?

Czyżbym dostrzegał uśmiech pojawiający się na ustach komisarza? Nie odpowiada. Oczywiście, przecież obowiązuje go tajemnica śledztwa. A jednak myśl o tym, że Henrik Bakke jest podejrzany, sprawia, że mimowolnie i ja muszę się uśmiechnąć. Nie chce mi się nawet tego ukrywać. Uśmiechamy się obaj.

– To prawdziwy paradoks, prawda? Nie zdążyłem przesłać tych papierów rozwodowych, więc w chwili śmierci Simone wciąż byliśmy małżeństwem. Dzięki temu dziedziczę po niej wszystko, komisarzu. Zatem jeśli Henrik Bakke naprawdę ją zabił, czy będzie to oznaczać, że człowiek, który

odebrał mi miłość mego życia, uczynił ze mnie milionera? Mnie. Nazywam to ironią losu.

Mój śmiech odbija się od ścian pokrytych jedwabną tapetą i od dębowego parkietu. Odrobinę przesadzam, uderzam się w uda i odchylam głowę. Widzę oczy komisarza. Są zimne jak oczy rekina i przygważdżają mnie do oparcia kanapy. Mój śmiech gwałtownie się urywa. Czyżby komisarz zrozumiał? Wybieram z mieszanki karmelek Daim. Już go otwieram, ale zmieniam zdanie i zamiast tego sięgam po nugatowy cukierek Bali. Daima z powrotem zawijam w papierek. Muszę pomyśleć. Nie, nie muszę. Wystarczy mi spojrzenie rzucone na komisarza.

– W twistach fajne jest ich opakowanie – mówię. – To, że można się rozmyślić. Można z powrotem zapakować cukierek tak, aby nikt nie spostrzegł, że był już otwierany. Z innymi rzeczami tak nie jest. Na przykład z przyznaniem się do winy. Jeśli raz się je rozwinie, to za późno na wszystko inne.

Komisarz kiwa głową. Ale bardziej przypomina to ukłon.

– Okej – oznajmiam. – Dosyć przedstawienia.

Mówię to tak, jakbym podejmował decyzję tu i teraz, co oczywiście nie jest prawdą. Już od kilku dobrych minut czekam na właściwy moment. Ten moment właśnie nadszedł.

– Znaleźliście w piwnicy buteleczki z roztworem cyjanku, prawda, komisarzu? – Czekolada roztapia mi się na języku, a twardsze wnętrze cukierka naciska podniebienie. – Jednej brakowało. Zabrałem ją ze sobą, kiedy zostałem wyrzucony. Nie bardzo wiem po co. Byłem przygnębiony, może sam chciałem ją wypić? Z cyjanku powstaje kwas pruski, ale to pewnie pan wie?

Moje palce grzebią w miseczce z cukierkami, znajdują ten z kremem bananowym, ale odruchowo go odkładają. Dawne nawyki.

– Parę dni po spotkaniu Bakkego w Kiwi kupiłem torebkę twistów. W aptece zaopatrzyłem się w jednorazową strzykawkę, którą po powrocie do domu napełniłem cyjankiem. Potem otworzyłem torebkę z twistami, wyjąłem te z kremem bananowym, delikatnie rozwinąłem je z papierka,

wstrzyknąłem truciznę, zawinąłem je z powrotem i włożyłem do torebki. Reszta była prościuteńka. W następną sobotę czekałem przed Kiwi, aż Bakke zajedzie porsche należącym do Simone. Wemknąłem się przed nim z torebką cukierków pod płaszczem, umieściłem ją z samego przodu na półce z twistami i zza regału sprawdzałem, czy bierze właściwą.

Komisarz siedzi z pochyloną głową. Jakby to on przyznawał się do śmiertelnego otrucia, a nie ja.

– Czytałem, że kiedy Henrik Bakke ją znalazł, w pierwszej chwili pomyślał, że zasnęła. Szkoda, że nie było go przy jej śmierci. Mógłby się czegoś z tego nauczyć. Obserwowanie człowieka podczas przechodzenia od życia do śmierci musi być fascynujące, nie sądzi pan?

Komisarz ma taką minę, jakby przygotowywał sobie odpowiedź, bardzo długą i trudną. Wymagającą uprzedniego gruntownego przemyślenia. A ja kontynuuję:

– Liczyłem, że natychmiast po przeprowadzeniu sekcji Simone aresztujecie Henrika Bakkego. Sądziłem, iż stwierdzenie, że cyjanek był w cukierkach, które on przyniósł do domu, to prosta sprawa.

Nachylam się nad stolikiem.

– Ale wy nie potrafiliście tego zrobić. Nie umieliście powiązać trucizny z resztkami czekolady znalezionymi w jej żołądku, ponieważ zdążyła się rozpuścić. Zacząłem się bać, że Henrik Bakke się z tego wywinie.

Dopijam kawę. Filiżanka komisarza wciąż stoi nietknięta.

– Ale patolog to zrozumie, kiedy na stół trafią kolejne zwłoki, nie sądzi pan? Domyśli się, że narzędzie zbrodni cały czas stało przed waszym nosem.

Pokazuję na miseczkę z cukierkami czekoladowymi i rzucam szeroki uśmiech. Żadnej reakcji.

– Jeszcze jednego twista, zanim podniosę alarm, komisarzu?

W ciszy słyszę lekki szelest zgniecionego papierka po czekoladowym cukierku z kremem bananowym; papierek powoli sam zaczyna się rozwijać

jak żółto-zielona róża na stoliku przed komisarzem. Na tym ślicznym stoliku.

ODD

Odd Rimmen stał na prawym – patrząc z sali – skrzydle sceny.

Starał się oddychać normalnie.

Ileż to razy stał tak, bojąc się wyjść przed tłum i słuchając, jak osoba, która miała przeprowadzać z nim wywiad, podkręca oczekiwania. Tego wieczoru musiały być szczególnie wielkie, skoro bilety kosztowały dwadzieścia pięć euro, więcej niż którakolwiek z jego cienkich książek. Z ewentualnym wyjątkiem egzemplarzy pierwszego angielskiego wydania jego debiutu. Słyszał, że są już nie do znalezienia w antykwariatach, a w sieci chodzą po trzysta funtów.

Czy to dlatego z taką trudnością oddychał? Bał się, że jako on sam, jako żywy, rzeczywisty Odd Rimmen nie zdoła sprostać swojej sławie, nie będzie potrafił jej sprostać, przecież zrobili z niego kogoś w rodzaju supermana, intelektualisty – wizjonera, który nie tylko analizuje kondycję człowieka, lecz również przewiduje społeczno-kulturalne trendy i diagnozuje problemy nowoczesnego mężczyzny. Czy oni nie rozumieli, że on po prostu z m y ś l a ?

No pewnie, oczywiście, myśli przekazywane przez pisarzy zawsze miewały podteksty, które sami twórcy niekoniecznie musieli rozumieć lub dostrzegać, i dotyczyło to z pewnością również tych pisarzy, których osobiście podziwiał: Camusa, Saramago, nawet Sartre’a podejrzewał o niepełne przebadanie sondą własnych głębi i większe zainteresowanie zewnętrznym seksapilem swoich sformułowań.

Gładka, pozbawiona uprzedzeń powierzchnia kartki czy ekranu komputera dawała mu możliwość ucieczki – mógł być Oddem Rimmenem, człowiekiem, którego recenzentka „The Boston Globe” ochrzciła „Odd Dreamin’”, a to przezwisko do niego przylgnęło. Ale w spotkaniu twarzą w twarz był jedynie Oddem, facetem, który tylko czekał, aż zostanie przejrzany na wskroś i odkryty jako średnio inteligentny mężczyzna z wykraczającym zaledwie nieco ponad średnią wyczuciem języka i dobrze

poniżej średniej samokrytycznym opanowaniem i kontrolą impulsów. Pomyślał, iż właśnie to ostatnie – brak kontroli nad impulsami – sprawiało, że bez żadnych zahamowań obnażał swoje życie uczuciowe przed tysiącami, ba, setkami tysięcy (nie milionami) czytelników. Bo chociaż kartka czy ekran zapewniały możliwości ucieczki, okazję do rozmyślenia się i zmiany, nigdy tego nie robił, jeśli widział, że to, co napisał, jest dobre. Powołanie pisarskie miało pierwszeństwo przed jego osobistym dobrostanem. Umiał sprzeciwić się swojemu słabemu charakterowi i wyjść poza własną strefę komfortu, dopóki odbywało się to na kartce, w wyobraźni, w marzeniach i w tworzeniu, które bez względu na temat i stopień intymności stanowiło osobną strefę komfortu, bezpiecznie odgrodzoną od życia na zewnątrz. Potrafił pisać cokolwiek i mówić sobie, że pisze do szuflady, że nigdy nie zostanie to opublikowane. A potem, gdy Sophie, jego redaktorka, czytała to i odpowiednio masowała jego pisarskie ego, aż zaczynał wierzyć w jej twierdzenie, że pozbawienie czytelników takiego tekstu byłoby literackim przestępstwem, pozostawało mu jedynie zamknąć oczy, trząść się, pić w samotności i czekać, aż stanie się to, co się miało stać.

Inaczej z wywiadem na scenie.

Głos Esther Abbot dotarł do niego ze sceny niczym odległy grzmot nadciągającej burzy. Stała przy mównicy. Za nią ustawiono fotele, na których mieli siedzieć. Tak jakby scenografia przypominająca zwykły salon mogła go bardziej rozluźnić. To jak krzesło elektryczne ustawione na ukwieconej łące. Niech ich szlag trafi.

– Wskazuje nam, czytelnikom, nowy punkt, z którego możemy obserwować samych siebie, życie nasze i naszych najbliższych oraz otaczający nas świat – mówił głos.

Odd Rimmen ledwie mógł rozróżnić angielskie słowa. Wolał wywiady po angielsku niż w ojczystym języku i przesadzał ze swoim kiepskim akcentem, aby publiczność myślała, że ma kłopoty z formułowaniem myśli ze względu na obcy język, a nie że również w ojczystej mowie jest

niezdarą, gubiącym się w przemyśleniach i plączącym w najprostszych zdaniach, kiedy ma się wypowiadać ustnie.

– To jeden z najbystrzejszych obserwatorów naszych czasów i opisuje je w sposób bezkompromisowy, zarówno jeśli chodzi o jednostkę, jak i społeczeństwo.

Co za bzdura, pomyślał Odd Rimmen, wycierając dłonie o uda w dżinsach G-Star. Był pisarzem, który dokonał komercyjnego przełomu wyłącznie dlatego, iż opisywał fantazje seksualne do tego stopnia na granicy, że określano je jako kontrowersyjne i odważne, lecz nie na tyle na granicy, by nie mogły być czytane przez wszystkich, nie budząc zaszokowania, a jedynie stanowiąc przyjemną rozrywkę. Książki spełniały również funkcję terapeutyczną dla tych z ewentualnym poczuciem wstydu, że mają takie same myśli jak autor. Pozostała treść jechała na grzbiecie tych opisów seksu, co z czasem zrozumiał. I Odd Rimmen wiedział – tak jak i jego redaktorka, chociaż nigdy o tym nie rozmawiali – że wariacje na kanwie tych fantazji seksualnych ciągnie w kolejnych książkach, chociaż pod względem tematycznym stanowiły one elementy obce, były jak długie, odgrywane w niewłaściwym miejscu sola gitarowe, niemające żadnego innego znaczenia oprócz tego, że publiczność na nie czekała, wręcz ich od niego żądała. To przekroczenie granic stało się tak rutynowe, że powinno wywoływać raczej ziewnięcie niż zaparcie tchu, było ćwiczeniem, które niemal przyprawiało go o mdłości, lecz tłumaczył je sobie tym, że to właśnie jest ten koń potrzebny reszcie tekstu, który jest w stanie ponieść jego prawdziwe przesłanie do większego kręgu czytelników, niż miałby w innej sytuacji. Ale się pomylił. Sprzedał duszę i zaszkodziło mu to jako artyście. Teraz należało położyć temu kres.

W powieści, nad którą obecnie pracował i której jeszcze nie pokazał redaktorce, wypielił wszystkie te elementy śmierdzące komercją i trzymał się swojej artystycznej, marzycielskiej wizji, tego, co prawdziwe. Co bolesne. Koniec kompromisów.

Mimo to stał teraz tutaj i już za kilka sekund miał zostać wezwany na scenę wypełnionego po brzegi Charles Dickens Theatre przy ogłuszającym

huku braw publiczności, która zanim jeszcze otworzył usta, już zdecydowała, że go kocha, tak jak kochała jego książki, jakby byli jednym i tym samym, jakby jego twórczość, jego kłamstwa już dawno powiedziały im to, co chcieli o nim wiedzieć.

Najgorsze, że on tego potrzebował. Tak, potrzebował ich słabo uzasadnionego podziwu i bezwarunkowej miłości. Uzależnił się od niej, bo to, co dostrzegał w ich oczach, ten skradziony towar, który ze sobą zabierał, był jak heroina. Odd wiedział, że to go niszczy, korumpuje jako artystę, lecz mimo wszystko musiał to mieć.

– ...przetłumaczony na czterdzieści języków, czytany na całym świecie, bez względu na bariery kulturowe...

Charles Dickens musiał być tak samo uzależniony od heroiny. Nie tylko publikował wiele swoich powieści w odcinkach, uważnie słuchając głosu czytelników przed napisaniem kolejnego rozdziału, lecz również jeździł na tournée, na których czytał fragmenty własnych książek i przedstawiał je nie z zawstydzonym dystansem do własnego tekstu, jak przystało pisarzowi intelektualiście, z czarującym niedopowiedzeniem pokornego, lecz z bezwstydnym zaangażowaniem, w którym obnażał nie tylko swoje ambicje aktorskie i ewentualne zdolności, ale również żarłoczną chęć uwiedzenia mas, bez względu na ich pochodzenie i intelekt. Czy Charles Dickens – ten działacz społeczny i obrońca ubogich – nie był równie chciwy na pieniądze i status społeczny jak niektórzy z jego mniej sympatycznych bohaterów? W każdym razie nie była to ostatnia rzecz, jaką Odd Rimmen miał przeciwko Dickensowi. Przede wszystkim chodziło mu o to, że Dickens występował ze swoją sztuką. Występował w najgorszym rozumieniu tego słowa. Jak skrzyżowanie handlarza, krzykiem reklamującego swój towar na rynku, z oswojonym niedźwiedziem cyrkowym, którego pogromca trzyma na łańcuchu, aby się groźnie prezentował, chociaż w rzeczywistości miś pozbawiony jest jąder, pazurów i zębów. Dickens dawał swojej publiczności to, co ta chciała otrzymać, a jego twórczość zawierała krytykę społeczną, ponieważ krytyki społecznej oczekiwały tam i wtedy masy.

Czy twórczość Charlesa Dickensa byłaby lepsza – powinno się może powiedzieć: „jeszcze lepsza” – gdyby trzymał się wąskiej ścieżki pisarstwa?

Odd Rimmen po przeczytaniu *Davida Copperfielda* pomyślał sobie, że sam potrafiłby napisać to lepiej. Niewiele lepiej, ale lepiej. I w pewnym momencie było to prawdą, nie miał co do tego wątpliwości. Ale czy wciąż by to potrafił, czy też jego pióro, jego zęby i pazury w wyniku tego cyrku, któremu się poddał, już straciły ową ostrość niezbędną do stworzenia prawdziwej sztuki dla wieczności? A jeżeli tak się stało, to czy istniała jakaś droga powrotu?

Tak, mówił Odd do siebie. Bo ta nowa powieść, którą pisał, jest właśnie tym: powrotną drogą, prawda?

A jednak stał tu i jedynie sekundy dzieliły go od wejścia na scenę, od pławienia się w pełnych podziwu spojrzeniach i blasku reflektorów, od reagowania na oklaski wyuczonymi oczywistościami – krótko mówiąc, od wyczekiwanej porcji narkotyku.

– Panie i panowie, czekaliście na niego, a oto i on...

Po prostu to zrób. Oprócz tego, że to slogan wszech czasów, nadający się do reklamowania butów do biegania czy jakiegokolwiek innego produktu, była to jego stała odpowiedź, kiedy młodzi ludzie pytali, jak powinni postępować, jeśli chcą pisać. Mówił, że nie ma żadnego powodu, aby to odkładać, bo nic nie trzeba przygotowywać, wystarczy przyłożyć pióro do papieru. I to nie metaforycznie, lecz dosłownie. Mówił, że mają zacząć pisać już dziś wieczorem, pisać cokolwiek, byle już dzisiaj.

Podobnie było z Aurorą, gdy wreszcie udało mu się ją opuścić po niekończących się rundach dyskusji, łez i powtórnych powitań, podczas których cofał się do startu. Po prostu trzeba to było zrobić, fizycznie wyjść i zamknąć za sobą drzwi, żeby już nigdy więcej nie wrócić. Takie proste i takie trudne. Jeśli jesteś uzależniony, to nie możesz zmniejszyć dawki, nie możesz zażywać trochę heroiny, Odd widział, jak próbuje tego jego rodzony brat, z fatalnym skutkiem. Istniało tylko jedno wyjście i było nim *cold turkey*, zupełna odstawka. Dziś wieczorem. Teraz. Bo jutro nie będzie

lepiej ani łatwiej, tylko trudniej. Zapadniesz się w gówno jeszcze ciut głębiej, ale skoro pozwoliłeś sobie odłożyć sprawy na jeden dzień, to dlaczego nie odłożyć ich na kolejny?

Z boku sceny Odd patrzył w oślepiające światło. Nie widział publiczności, lecz jedynie czarną ścianę. Może ludzi w ogóle tam nie było, może nie istnieli? A może on też w ogóle nie istniał?

W tym momencie pojawiła się ta jedna jedyna przynosząca ulgę i poczucie swobody myśl. Koń. Stanął przed nim, wystarczyło wsunąć stopę w strzemię i wskoczyć na grzbiet. Po prostu to zrobić. Innym wyjściem było tego nie robić. Istniały bowiem tylko te dwie alternatywy, a właściwie jedna, jeśli miał prawidłowo się wyrażać. A tak chciał wszystko robić od tej pory. Prawidłowo. Prawdziwie. Bezkompromisowo.

Odd Rimmen odwrócił się i wyszedł. Zdjął opaskę z mikrofonem i nadajnikiem, podał ją technikowi, który popatrzył na niego zbaraniały, kiedy Odd go mijał. Potem zszedł po schodach do garderoby, w której razem z przeprowadzającą wywiad Esther Abbot i marketingowcem z wydawnictwa omówili wcześniej niektóre z pytań. Teraz pomieszczenie było puste, a jedynym dźwiękiem, jaki dochodził, był głos Esther z góry, pozbawione słów głuche buczenie, które niosło się po suficie. Chwycił kurtkę wiszącą na krześle, wziął jabłko z patery z owocami i ruszył w stronę wyjścia dla artystów. Pchnął drzwi i zaciągnął się londyńskim powietrzem ciasnego zaułka, pachnącym spalinami, rozgrzanym metalem i swądem z wywietrznika restauracji. Odd Rimmen nigdy nie czuł powietrza, którym swobodniej się oddychało.

Odd Rimmen nie miał dokąd iść.

Odd Rimmen mógł iść wszędzie.

Można powiedzieć, że zaczęło się od tego, że Odd Rimmen opuścił Charles Dickens Theatre zaledwie na sekundy przed tym, jak miał stanąć, czy może raczej usiąść, na scenie i mówić o swojej ostatniej książce, *The Hill*.

Można powiedzieć, że zaczęło się od tego, że „The Guardian” napisał o tym zdarzeniu, nazywając to oszukaniem publiczności, która zapłaciła za

bilety, organizatora, czyli Camden Literary Festival, oraz Esther Abbot, młodej dziennikarki, która przygotowała wywiad i cieszyła się, że go przeprowadzi. Albo można powiedzieć, że zaczęło się od tego, że „The New Yorker” skontaktował się z wydawnictwem Rimmena, prosząc o wywiad, ale został poinformowany, że niestety Odd Rimmen nie udziela już wywiadów, a ci z „The New Yorker” poprosili wtedy o jego numer telefonu, bo może jednak dałby się przekonać, w odpowiedzi zaś usłyszeli, że on już nie ma telefonu, ba, że wydawnictwo, prawdę mówiąc, nie wie, gdzie jest Rimmen, bo od chwili, gdy wyszedł z Charles Dickens Theatre tamtego wieczoru, nikt nie miał od niego żadnych wiadomości.

Była to jedynie częściowa prawda, ale „The New Yorker” napisał o Oddzie Rimmenie artykuł *in absentia*, w którym inni autorzy, krytycy literatury i osobistości ze świata kultury wypowiadali się o pisarzu w ogóle, a o *The Hill* w szczególe.

W miejscu, w którym znajdował się Odd Rimmen – a mianowicie w letnim domu swoich rodziców we Francji – mógł on jedynie zdumieć się wszystkimi tymi znanymi nazwiskami, które nie tylko, jak się okazało, nagle go czytały, lecz również dawały wyraz temu, że znają go osobiście. To, że ci ludzie kłamliwie przyznają się do znajomości z jego twórczością, aby zaistnieć w prestiżowym „The New Yorker”, może nie było takie dziwne, zresztą w ciągu paru dni przed udzieleniem wypowiedzi mogli oczywiście przekartkować kilka książek albo przejrzeć streszczenia zamieszczane na różnych stronach internetowych przeznaczonych dla studentów. Bardziej zaskakiwało, że wypowiadali się o jego „enigmatycznej osobowości” i „zupełnie wyjątkowej charyzmie”, ponieważ sam pamiętał, że ledwie się z nimi zetknął przy okazji obowiązków zawodowych – na festiwalach, targach książki, podczas odbierania nagród – i wymieniał grzecznościowe formułki w branży, w której grzeczność graniczy z paranoją. (Odd Rimmen miał teorię, że pisarze boją się śmiertelnie urazić innych pisarzy, ponieważ wiedzą lepiej niż ktokolwiek inny, że wrażliwa dusza uzbrojona w pióro jest jak dziecko z karabinem Uzi w ręku).

Ale złożoną samemu sobie obietnicą ascezy, czystości i rezygnacji ze wszystkiego, co mogło zostać uznane za komercję (poprawka: co mogło być komercją), szwindel intelektualny czy samouwielbienie, Odd Rimmen odciął sobie możliwość korygowania czytelników „The New Yorker” odbierających go jako kogoś w rodzaju kultowego bohatera literackiego.

Bez względu na to, od czego się zaczęło, w każdym razie dalej trwało. I właśnie to przekazała mu jego redaktorka, kiedy zadzwonił do wydawnictwa z budki telefonicznej w miasteczku.

– Coś się wydarzyło, Odd. I nie daje się zatrzymać, stale rośnie.

Sophie Hall miała na myśli nie tylko dane dotyczące sprzedaży, lecz również liczbę zapytań o udzielenie wywiadu, zaproszenia na festiwale, gorące prośby zagranicznych wydawnictw o jego przyjazd w związku z promowaniem *The Hill*.

– To kompletne szaleństwo – dodała. – Po tym artykule w „The New Yorker”.

– To krótki błysk – stwierdził. – Jeden artykuł w czasopiśmie nie zmienia świata.

– Odizolowałeś się. Nie dociera do ciebie, co się dzieje. Wszyscy o tobie mówią, Odd. Wszyscy.

– Tak? A co mówią?

– Że jesteś... – Zaśmiała się. – Że jesteś trochę szalony.

– Szalony? *In a good way?*

– *In a very good way.*

Dobrze wiedział, co Sophie ma na myśli, rozmawiali o tym już wcześniej. O tym, że fascynują nas ci pisarze, którzy przedstawiają rozpoznawalny świat, lecz mimo to widziany przez okulary jedynie trochę różniące się od naszych własnych. Czy raczej ich, pomyślał Odd Rimmen, ponieważ redaktorka chciała mu przekazać, że oto on sam podskoczył do ligi widzących inaczej, do ligi intelektualnych ekscentryków. Ale czy do niej należał? Czy zawsze tak było? Czy był wyłącznie blefem, konwencjonalnym pozerem udającym dziwaka dla efektu? Gdy teraz

słuchał, jak redaktorka rozwodzi się nad zainteresowaniem Oddem Rimmenem, czy nie wyczuwał także większego szacunku w jej głosie, jakby również ona, towarzysząca mu w pracy tak blisko, można powiedzieć, od zdania do zdania, uległa wpływowi tej nagłej zmiany nastroju wywołanej jednym jedynym wydarzeniem: tym, że działając niemalże pod wpływem impulsu, wycofał się ze sceny na chwilę przed mającym się odbyć wywiadem. Powiedziała teraz, że ponownie przeczytała *The Hill* i uderzyło ją to, jak dobra właściwie jest ta książka, nad którą razem pracowali. Chociaż Odd Rimmen podejrzewał ją jedynie o przeczytanie książki w nowym świetle, a mianowicie w świetle pochwał innych, to jednak tego nie skomentował.

– O co chodzi, Sophie? – spytał, gdy nabierała tchu.

– Skontaktowali się z nami Warner Brothers – powiedziała. – Chcą kupić prawa do *The Hill*.

– Naprawdę?

– Chcieliby prosić o reżyserowanie Terrence’a Malicka albo Paula Thomasa Andersona.

– Chcieliby?

– Zastanawiają się, czy byłbyś *happy* z któregoś z nich.

Czy będę *happy* z Malicka albo Andersona, pomyślał Odd Rimmen. *Cienka czerwona linia*. *Magnolia*. Dwaj reżyserzy z najwyższej półki, którym udało się to, co prawie niemożliwe: zachęcić masy do obejrzenia filmu artystycznego.

– I co ty na to? – Głos Sophie nabrał piskliwości czternastolatki, jakby sama nie potrafiła uwierzyć we własne słowa.

– Byłbym był bardzo *happy* – odpowiedział.

– Świetnie, wobec tego dzwonię do Warner Brothers i... – Urwała.

Ten dziwny tryb. „Byłbym był”. Tryb warunkowy. Coś, co byłoby się wydarzyło, gdyby zostały spełnione pewne warunki. A teraz Sophie pewnie zastanawiała się, o jakie warunki może chodzić. Więc jej to powiedział:

– Gdybym chciał sprzedać prawa do filmu.

– A... nie chcesz? – Piskliwość zniknęła. Teraz Sophie mówiła tonem osoby, która z całą pewnością nie wierzy w to, co mówi.

– *The Hill* podoba mi się taka, jaka jest. Jako książka. Sama powiedziałaś, że okazała się właściwie dobra. – Nie wiedział, czy wychwyciła ironię w tym ostatnim stwierdzeniu. Normalnie tak by się stało. Sophie miała wyczulone ucho, ale akurat w tej chwili była tak podniecona wszystkim, co się działo, że nie miał takiej pewności.

– Dobrze to sobie przemyślałeś, Odd?

– Owszem – odparł. Właśnie to było takie dziwne. O tym, że jedna z największych wytwórni filmowych na świecie zamierza poprosić dwóch należących do najlepszych na świecie reżyserów o zrobienie filmu na podstawie *The Hill*, co oznaczało wystrzelenie jego twórczości w kosmos jak rakietę, która pociągnie za sobą nie tylko tę książkę, lecz każdą książkę opatrzoną nazwiskiem Odda Rimmena, zarówno wcześniejszą, jak i następną, dowiedział się niespełna minutę temu. Ale on już wcześniej przemyślał sobie otrzymanie fantastycznej oferty filmowej. Może raczej powinno się powiedzieć, że śnił o tym na jawie. Bo oprócz wspomnianych scen seksu w powieściach Odda Rimmena nie znajdowało się nic filmowego, raczej przeciwnie, były w przeważającej mierze monologami wewnętrznymi bez zbyt wielu zewnętrznych wydarzeń czy konwencjonalnej struktury dramaturgicznej. A jednak on to sobie przemyślał. Oczywiście tylko hipotetycznie, w ramach eksperymentu myślowego, podczas którego, wpatrzony w Zatokę Biskajską, stawiał jedne argumenty naprzeciw drugim. Charles Dickens nie tylko z radosnym krzykiem by się na to zgodził, ten klaun nalegałby jeszcze na możliwość zagrania przynajmniej jednej z głównych ról.

Poprzedni Odd Rimmen (ten sprzed Charles Dickens Theatre) również by się zgodził, chociaż z niesmakiem w ustach. Broniłby się tym, że w świecie idealnym odrzuciłby propozycję, by zachować książkę niezbrukaną, chronioną, zastrzeżoną dla cierpliwego czytelnika, który nie akceptuje uproszczeń i będzie chłonął każde zdanie w swoim własnym tempie, determinowanym przez ruchomość gałek ocznych, przez

dojrzewanie kontemplacji. Jednak w świecie, którym rządzą pieniądze i bezmyślna rozrywka, nie mógł odrzucić takiej uwagi, jaką proponowano tego rodzaju książkom (poważnej literaturze), ponieważ czuje się zobowiązany do głoszenia (literackiego) słowa nie tylko w imieniu swoim, lecz również wszystkich, którzy usiłują coś przekazać swoim pisarstwem.

Tak, właśnie tak by powiedział i w tajemnicy napawał się wrzawą wokół filmu, książki i własnego, jak twierdził, dylematu.

Ale nowy Odd Rimmen nie akceptował tego rodzaju hipokryzji. A ponieważ starannie to sobie przemyślał i rzeczywistość nie wydała mu się zanadto różna od snów na jawie, sprecyzował to swojej niedowierzającej pani redaktor:

– Przemyślałem to, Sophie, i nie, *The Hill* nie zostanie okrojona do dwugodzinnego scenariusza.

– Ale ona przecież w ogóle jest bardzo krótka. Widziałeś *To nie jest kraj dla starych ludzi*?

Oczywiście, że Odd Rimmen widział ten film, i oczywiście, że ona go teraz wyciągnęła. Sophie wiedziała, że Odd uwielbia Cormaca McCarthy’ego. Wiedziała, że on wie, iż bracia Coen zdołali sfilmować tę krótką powieść, że zrobili to jeden do jednego, jak w żadnym innym filmie, jaki widział. Sophie wiedziała też, że Odd Rimmen także wie, jakie ten film miał znaczenie dla popularności literatury już wcześniej kultowego pisarza. Przy czym jego uznanie w kręgach bardziej elitarnych literacko przynajmniej pozornie nie poniosło (zbyt dużej) szkody.

– Cormac napisał ją początkowo jako scenariusz filmowy – powiedział. – Bracia Coen sami mówili, że przy pracy nad scenariuszem jeden z nich trzymał książkę, a drugi z niej przepisywał. Z *The Hill* tak się nie da. Poza tym jestem w samym środku pracy nad nową książką, więc teraz muszę już kończyć i siadać do pisania.

– Co? Odd, nie...

Odd Rimmen stał w kolejce do paryskiego Luwru, kiedy zobaczył, jak ona wychodzi. Esther Abbot wyglądała tak, jakby miała ochotę udawać, że go

nie widzi, lecz zapewne wiedziała, że jej zaskoczona mina ją zdradziła.

– A więc znów się spotykamy – rzuciła. Szła pod rękę z mężczyzną, którego przyciągnęła do siebie bliżej, jakby widok Odda Rimmena stanowił przypomnienie o tym, że mężczyźni mogą w każdej chwili zniknąć, jeśli nie będzie się ich bacznie pilnować.

– Przepraszam – odezwał się Odd Rimmen. – Nigdy nie udało mi się przeprosić.

– Nie udało się? Coś albo ktoś panu przeszkodził?

– Nie, właściwie nie. Przepraszam.

– Może powinien pan to powiedzieć wszystkim, którzy wtedy przyszli.

– Ma pani absolutną rację.

Uznał, że Esther Abbot dobrze wygląda. Lepiej niż zapamiętał ją z teatru. Doszedł do wniosku, że wtedy być może za bardzo koncentrowała się na czekającym ją zadaniu. Zbyt mu się przypochlebiała, aby mogła obudzić w nim instynkt podboju, podobnie jak zwierzyna udająca padlinę sprawia, że drapieżnik traci zainteresowanie. Ale teraz, kiedy tu stała, opalona, lekko rozgoryczona, z wiatrem we włosach i z mężczyzną pod pachą, wyglądała po prostu atrakcyjnie. Na tyle atrakcyjnie, że Rimmen poczuł zdumienie, gdy uświadomił sobie, że na jego widok to ona odruchowo przyciągnęła do siebie mężczyznę, z którym była. Właściwie powinno raczej być odwrotnie, to mężczyzna powinien dyskretnie zaznaczyć swój rewir w spotkaniu z innym samcem w swoim wieku, w dodatku po artykule w „The New Yorker” posiadającym przypuszczalnie wyższy status społeczny.

– Czy mógłbym zaprosić was na kieliszek wina, aby udowodnić, że naprawdę tak myślę? – Odd Rimmen spojrzał pytająco na mężczyznę, który wyglądał na zagubionego, jakby usiłował sformułować uprzejmą odmowę, ale Esther Abbot stwierdziła, że to miło z jego strony.

Mężczyzna skrzywił się, jakby nadepnął na pinezkę w bucie.

– Może innym razem – powiedział. – Pan przecież dopiero wchodzi, a Luwr jest duży.

Odd Rimmen przyjrzał się tej niepasującej do siebie parze. Ona jasnowłosa, lekka, ze słońcem w oczach, on mroczny i ciężki, jak niż baryczny. Jakim sposobem tak atrakcyjna kobieta mogła się zainteresować kimś tak bardzo pozbawionym wdzięku? Czyżby nie znała własnej wartości? Owszem, znała ją, widział to, i przyszło mu do głowy, że Esther przyciągnęła swojego partnera/męża/kochanka bliżej, aby pokazać mu, że nie musi traktować tego Rimmena jako zagrożenia. A dlaczego ten jej mężczyzna potrzebował takiego zapewnienia? Czyżby miała za sobą jakąś historię? Była rozwiązła albo niewierna? A może o nim rozmawiali, o tym pisarzu, któremu nie można zaufać? Czy Esther w jakiś sposób przekazała towarzyszącemu jej mężczyźnie sygnały, z powodu których bał się konkurować z Oddem Rimmenem? Czy to była przyczyna tej mieszanki nienawiści i lęku, którą, jak mu się wydawało, dostrzega w oczach tamtego?

– Często bywam w Luwrze i większość rzeczy już widziałem – stwierdził Odd, odpowiadając na jego spojrzenie z pełnym życzliwości spokojem. – Chodźcie, znam miejsce, gdzie serwują dobrego burgunda.

– Świetnie – ucieszyła się Esther.

Znaleźli restaurację i Esther jeszcze przed pierwszym kieliszkiem zaczęła zadawać pytania, pochodzące, jak przypuszczał Odd, z tamtego wywiadu, którego nie udało jej się przeprowadzić. Skąd Odd czerpie inspirację? Do jakiego stopnia jego główni bohaterowie bazują na nim samym? Czy opisy seksu są zbudowane na własnych doświadczeniach, czy na fantazjach? Przy tym ostatnim pytaniu Odd dostrzegł drgnienie na twarzy mężczyzny (Ryana, powiedział, że pracuje w ambasadzie w Paryżu). Odd odpowiadał, nie starając się zaimponować ani rozbawiać, jak to miał w zwyczaju (często z sukcesem), gdy „występował”. Gdy dawniej występował. Z czasem jednak udało mu się tak pokierować rozmową, by zeszła na Esther i Ryana.

Ryan sprawiał wrażenie, jakby zależało mu na tym, by nie wyjawić, na czym polega jego praca w ambasadzie; dawał tym samym do zrozumienia, że to coś ważnego i tajemniczego. Wolał raczej mówić o tym, jak na międzynarodowe techniki negocjacji wpłynęły badania psychologa Daniela

Kahnemana nad primingiem, o tym, że prostymi środkami można zaszczepić myśl lub ideę w umyśle strony przeciwnej w taki sposób, by nie zdawała ona sobie z tego sprawy. Na przykład jeśli najpierw pokaże się grupie osób plakat z literami E A T, a następnie S O _ P i poprosi o wpisanie brakującej litery, to o wiele więcej z nich napisze SOUP niż SOAP – w porównaniu z inną grupą, której nie pokazano wcześniej plakatu z E A T.

Odd zakonotował sobie, że Ryan w istocie stara się być interesujący, ponieważ jednak popularna psychologia, jaką z siebie wyrzucał, zdążyła już dotrzeć do większości ludzi, Odd zwracał się raczej do Esther. Powiedziała mu, że mieszka w Londynie, gdzie wciąż pracuje jako dziennikarka freelancerka zajmująca się kulturą, lecz ona i Ryan dojeżdżają, aby móc się widywać „najczęściej, jak tylko się da”. Odd zauważył, że to ostatnie stwierdzenie było przeznaczone raczej dla uszu Ryana niż jego, z podtekstem brzmiącym mniej więcej: „Słyszysz, Ryan? Przedstawiam nasz związek tak, jakbyśmy wciąż przeżywali namiętny romans i gorąco pragnęli spędzać jeszcze więcej czasu razem. Zadowolony jesteś, ty cholerny nudziarzu, któremu zależy tylko i wyłącznie na pozorach?”.

Odd pomyślał, że oto odzywa się w nim Odd Dreamin’. Ale może nie całkiem się mylił.

– Dlaczego usunąłeś się ze świata? – spytała Esther, gdy kelner nalewał już po trzecim kieliszku.

– Wcale się nie usunąłem. Piszę więcej niż kiedykolwiek. I mam nadzieję, że lepiej.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Wzruszył ramionami.

– Wszystko, co mam do powiedzenia, jest w książkach. Reszta to plewy, odrywające uwagę od tego, co ważne. Jestem marnym smutnym klaunem, a eksponowanie mnie jako osoby w żaden sposób nie służy moim książkom.

– Wygląda na to, że jest przeciwnie – stwierdziła Esther, unosząc kieliszek. – Wydaje się, że im mniej cię widać, tym więcej się o tobie mówi.

– Mam nadzieję, że chodzi ci o moje książki.

– Nie, o ciebie. – Jej spojrzenie zatrzymało się na nim trochę zbyt długo. – A w konsekwencji również o twoje książki. Z kultowego pisarza niszowego stajesz się kultowym pisarzem mainstreamowym.

Odd Rimmen rozsmakowywał się w winie. I w tej charakterystyce. Cmoknął. No cóż. Już teraz czuł, że pragnie więcej. Więcej wszystkiego.

Kiedy Ryan wstał i wyszedł do toalety, Odd nachylił się i położył rękę na dłoni Esther.

– Trochę się w tobie zakochałem – powiedział.

– Wiem – odparła, a on pomyślał, że przecież nie może tego wiedzieć, bo to się stało właśnie teraz. Czy też może – w przeciwieństwie do niej – po prostu teraz to zrozumiał?

– A jeśli to tylko sprawa wina? – spytał. – Albo tego, że przez Ryana jesteś nieosiągalna?

– A czy to ma jakieś znaczenie? – odpowiedziała. – Albo to, że jesteś samotny, lub że ja urodziłam się z symetrycznymi rysami twarzy? Nasze zauroczenia miewają bardzo banalne powody, co wcale nie sprawia, że są mniej cudowne, prawda?

– Być może. A czy ty zakochałaś się we mnie?

– Dlaczego miałabym się zakochiwać?

– Bo jestem słynnym pisarzem. Czy to nie dość banalne?

– Jesteś prawie słynnym pisarzem, Odd. Nie jesteś bogaty. Zostawiłeś mnie, kiedy potrzebowałam cię najbardziej. I mam wrażenie, że gotów byłbyś zrobić to jeszcze raz, gdyby nadarzyła ci się taka okazja.

– Więc jednak jesteś we mnie zakochana?

– Kochałam się w tobie na długo, zanim poznałam cię osobiście.

Oboje sięgnęli po kieliszki i wypili, nawet na moment nie odrywając od siebie oczu.

– To zupełnie nieprawdopodobne! – Sophie niemal krzyczała do telefonu. – Stephen Colbert!

– To coś wielkiego? – Odd Rimmen odchylił się, a rozchwiane drewniane krzesło groźnie zatrzeszczało. Wyjrzał na stare jabłonie. Jego matka twierdziła, że pamięta, jak owocowały. Powietrze tchnęło dzikim, zaniedbanym ogrodem i morzem, którego zapach przynosiły przyjemnie chłodzące atlantyckie wiatry z Zatoki Biskajskiej.

– Wielkiego? – jęknęła redaktorka Odda Rimmena. – Przecież on wyprzedził Jimmy'ego Fallona! Odd, jesteś zaproszony do najsłynniejszego na świecie talk-show!

– Z powodu...?

– Z powodu filmu na podstawie *The Hill*.

– Nie rozumiem. Przecież podziękowałem za film.

– Właśnie dlatego! Wszyscy o tym piszą. Zajrzyj na media społecznościowe, Odd. To jednogłośny hołd dla twojej niezależności. Facet siedzi w rozpadającym się domu we Francji, pisze książkę o niczym, która się nie sprzeda, i w imię sztuki pisarskiej odrzuca propozycję wzbogacenia się i zyskania światowej sławy. Akurat w tej chwili jesteś najbardziej *cool* pisarzem, rozumiesz?

– Nie – skłamał Odd Rimmen. Bo oczywiście miał świadomość, że bezkompromisowe i, jak się wydaje, purytańskie decyzje, które podjął tamtego wieczoru w Charles Dickens Theatre, niekoniecznie muszą, ale w dużym stopniu mogą poskutkować tym, co się teraz stało. – Pozwól mi się nad tym zastanowić.

– Nagranie jest w przyszłym tygodniu. Ale odpowiedź muszą dostać w ciągu dzisiejszego dnia. Już zabukowałam bilet na samolot do Nowego Jorku.

– Odezwę się.

– Świetnie. A tak w ogóle to po głosie poznaję, że jesteś szczęśliwy, Odd.

Zapadła chwila milczenia, podczas której Odd zastanawiał się przez moment, czy Sophie rzeczywiście odkryła, co czuł. Triumf. Nie, nie triumf, bo to by oznaczało, że miał jakiś cel, ku któremu świadomie zmierzał. A jedyną rzeczą, ku której zmierzał, było takie urządzenie się, aby mógł

pisać prawdę, nie zważając na nic ani na nikogo. A już na pewno na swoją tak zwaną popularność. A jednak. Właśnie przeczytał artykuł neuroendokrynologa Roberta Sapolsky'ego o tym, jak ośrodki nagrody w mózgu pozostającego na odwyku alkoholika można pobudzić samym tylko przejściem ulicą, przy której znajdował się kiedyś jego ulubiony bar, i chociaż alkoholik nie ma zamiaru pić, to wyuczone oczekiwanie z czasów, kiedy pił, doprowadzi do uwolnienia dopaminy. Czy właśnie to działo się z nim teraz? Czy sama możliwość skupienia na własnej osobie uwagi całego świata sprawiła, że podniosły mu się włoski na karku? Nie miał co do tego pewności, lecz może to panika na myśl o tym, że trafi na dawne manowce, kazała mu mocniej ścisnąć słuchawkę w ręku i krótko, ostro powiedzieć „nie".

– Nie? – powtórzyła Sophie z lekkim zmieszaniem w głosie i Odd zrozumiał, iż uznała, że to odpowiedź na jej stwierdzenie o jego szczęściu.

– Nie, nie wezmę udziału w tym talk-show – doprecyzował.

– Ale... twoja książka, Odd. Naprawdę, to fantastyczna możliwość pokazania światu, że istnieje. Że istnieje prawdziwa literatura.

– Ale złamałbym zasadę milczenia. Zdradziłbym tych, którzy, jak mówisz, czczą moją niezależność. Znów stałbym się klaunem. – Zauważył, że użył trybu warunkowego.

– Przede wszystkim nie ma kogo zdradzać, Odd. Tylko ty sam jesteś uzależniony od swojego milczenia. A jeśli chodzi o klauna, to przemawia przez ciebie próżność, a nie człowiek, który traktuje literaturę jako powołanie.

W głosie redaktorki zabrzmiała ostrość, jakiej Odd Rimmen nigdy wcześniej nie słyszał. Jakby czara goryczy się przepełniała. Jakby już się przepełniła. Sophie zwyczajnie nie wierzyła w jego szczerość. Nie wierzyła, że przy swoim antydickensowskim nastawieniu stał się takim samym Charlesem Dickensem jak sam Dickens, jeśli nie bardziej. Czy tak właśnie było? Czy po prostu odgrywał trzymającego się zasad artystę? No cóż, i tak, i nie. Płat czołowy mózgu odpowiadający według Sapolsky'ego za to, co przemyślane, był zapewne szczery. Ale co z jądrem półleżącym,

ośrodkiem przyjemności domagającym się zadowolenia i natychmiastowej nagrody? Jeśli to anioł i diabeł, siedzący mu na ramionach i szepczący swoje do ucha, to niełatwo było stwierdzić, którego z nich słuchał, kto jest jego prawdziwym panem i mistrzem. Odd Rimmen mógł powiedzieć z całą pewnością jedynie to, że był szczery tamtego wieczoru, kiedy wychodził z teatru. Ale czy nie wydarzyło się coś, gdy odkrył, że jego niewzruszony opór na eksponowanie się doprowadził właśnie do czegoś przeciwnego, że był jak ksiądz, który przez złożoną przysięgę celibatu paradoksalnie stał się symbolem seksu i któremu w tajemnicy – nawet dla niego samego – się to podobało?

– Odd – powiedziała Sophie. – Musisz iść ku światłu. Słyszysz? Ku światłu, nie ku ciemności.

Odd chrząknął.

– Mam do napisania książkę. Tak im powiedz, Sophie. I rzeczywiście, masz rację, jestem szczęśliwy.

Rozłączył się. Poczuł ciepłą dłoń opadającą na jego kark.

– Jestem z ciebie taka dumna – oświadczyła Esther, siedząca obok niego na leżaku.

– Naprawdę? – Odd się odwrócił i ją pocałował.

– W czasach, kiedy wszyscy uganiają się za kliknięciami i lajkami? *You bet*. – Wyciągnęła ręce do góry i ziewnęła miękko jak kot. – Pojedziemy na kolację do miasta czy sami zrobimy coś do jedzenia?

Odd zadawał sobie pytanie, od kogo wyciekła wiadomość, że odmówił sprzedaży praw do sfilmowania *The Hill*. Czy źródłem przecieku była Sophie, czy też może pośrednio on sam, bo przecież wspomniał o tym kilku osobom, które mogły to roznieść dalej?

Kiedy kładli się wieczorem, myślał o tym, co Sophie powiedziała o podążaniu ku światłu. Czy nie takie słowa kierowano do umierających, czy nie miały znaczyć, że kiedy przejdą na drugą stronę, to ujrzą intensywne światło, ku któremu muszą skierować kroki? Jak ćmy lecące do

lampy, by wkrótce spalić sobie o nią skrzydła, pomyślał Odd. Ale zadał sobie też inne pytanie: Czy Sophie chodziło o to, że on umiera jako pisarz?

***

Nadeszła jesień, a wraz z nią zwiędła również twórczość Odda Rimmena.

O niemocy twórczej słyszał z ust innych pisarzy, ale osobiście nigdy do końca w nią nie wierzył. W każdym razie jeśli chodziło o niego samego. Przecież zasłużył na miano Odd Dreamin', był kurą znoszącą złote jaja w postaci historii bez względu na to, czy tego chciał, czy nie. Liczył więc, że niemoc twórcza minie sama, i korzystał z okazji do spędzania więcej czasu z Esther. Chodzili na długie spacery, dyskutowali o literaturze i o filmie, parę razy pojechali też starym mercedesem Odda do Paryża zwiedzać Luwr.

Ale mijały tygodnie, a on wciąż nie mógł pisać, głowę miał pustą. To znaczy wypełnioną takimi rzeczami, z których nie rodzi się dobra literatura. Dobrym seksem, dobrym jedzeniem, dobrym piciem, dobrymi rozmowami, prawdziwą bliskością. Pojawiło się podejrzenie, czy to aby nie z winy całego tego szczęścia. Czyżby stracił przez nie rozpacz, desperacką odwagę, zapędzającą go w mroczne zakamarki, z których składał raporty? Ale gorsze od euforii szczęścia było działające jak środek uspokajający poczucie bezpieczeństwa, codzienna świadomość, że nic już nie ryzykuje, dopóki Esther i on są razem.

Mieli już za sobą pierwsze kłótnie. Dotyczyły jej sposobu zajmowania się domem, tego, gdzie co ma leżeć, drobnostek, rzeczy, którymi do tej pory nigdy się nie przejmował. Wystarczyły jednak, aby spakowała torbę i oświadczyła, że spędzi kilka dni u rodziców w Londynie.

Odd uznał, że to dobrze. Będzie miał okazję sprawdzić, czy Odd Dreamin' znów zacznie działać.

W niedzielę przed południem przeniósł się ze swojej pracowni do stołu ogrodowego pod martwymi jabłoniami z widokiem na stół stojący

w salonie. Ale to nie pomogło. Wszystko jedno, jak się starał, nie potrafił napisać nic więcej oprócz paru bezsensownych zdań.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Esther i nie powiedzieć jej, że ją kocha, ale zrezygnował. Zamiast tego zadał sobie pytanie, czy byłby skłonny zamienić szczęście z Esther na odzyskanie zdolności do pisania. Odpowiedź raczej go nie zaskoczyła, może jedynie to, że pojawiła się tak szybko i była tak zdecydowana. Owszem, dokonałby takiej zamiany.

Kochał Esther, a akurat w tej chwili pisania nienawidził. Ale bez Esther mógł żyć. Bez pisania natomiast umarłby, zwiądł, zgnił.

Otworzyły się drzwi.

To Esther musiała zmienić zdanie i przyjechać wczesnym pociągiem.

Chwilę później poznał jednak po krokach, że to nie może być ona.

W drzwiach do salonu zatrzymała się jakaś postać. Wysoka, w rozpiętym płaszczu, spod którego widać było garnitur. Ciemne włosy ze spoconą grzywką lepiącą się do czoła. Zdyszana.

– Zabrałeś mi ją – odezwał się Ryan zachrypniętym drżącym głosem. Wszedł do środka i uniósł prawą rękę.

Odd zobaczył, że tamten trzyma w niej pistolet.

– I dlatego chcesz mnie zabić? – spytał. Z pewnym zaskoczeniem słuchał rzeczowości w swoim głosie, ale w zasadzie powiedział tylko to, co myślał. Był bardziej ciekawy niż mocno wystraszony.

– Nie – odparł Ryan i odwracając pistolet w dłoni, podał go Oddowi. – Chcę, żebyś zrobił to sam.

Odd, ciągle siedząc, wziął broń i spojrzał na nią. W czarnej stali lufy wygrawerowano długie rzędy cyfr, które skojarzyły mu się z numerami telefonu. A teraz, kiedy był już bezpieczny, poczuł coś jeszcze dziwniejszego. Łagodne rozczarowanie, że zagrożenie minęło tak szybko, jak się pojawiło.

– W taki sposób? – spytał, przystawiając lufę do skroni.

– Właśnie w taki – potwierdził Ryan. Głos wciąż miał niepewny, a wzrok zamglony; Oddowi przyszło do głowy, że mógł być pod wpływem jakichś

środków chemicznych.

– Wiesz, że jej nie odzyskasz, nawet jeśli mnie już nie będzie? – spytał Odd.

– Wiem.

– Więc po co mnie usuwać? To nielogiczne.

– Nalegam, żebyś odebrał sobie życie, słyszysz?

– A jeśli odmówię?

– To będziesz musiał zabić mnie. – Głos Ryana był już nie tylko zachrypnięty, ale i zduszony od płaczu.

Odd wolno pokiwał głową.

– A więc jeden z nas ma odejść. Czy to znaczy, że nie dajesz rady żyć w świecie, w którym ja istnieję?

– Zastrzel któregoś z nas, żeby mieć to już za sobą.

– Albo chcesz, żebym cię zabił i żeby Esther to odkryła, opuściła mnie i śniła o tobie, o tym, którego nie będzie mogła już odzyskać.

– Zamknij się i zrób to wreszcie!

– A jeśli dalej będę odmawiał?

– Wtedy ja cię zabiję. – Ryan wsunął rękę pod połę płaszcza i wyjął drugi czarny pistolet. Dziwnie matowy. Odd usłyszał trzaśnięcie plastiku, Ryan tak mocno ścisnął rękojeść i wycelował w Odda, który także uniósł trzymany w ręku pistolet i nacisnął spust.

Poszło to szybko. Bardzo szybko. Tak szybko, że obrońca Odda Rimmena byłby w stanie (tryb warunkowy) przekonać ławę przysięgłych, że czas na reakcję miało jedynie szybsze ciało migdałowate mózgu ze swoim „walcz, uciekaj lub znieruchomiej”. Że płat czołowy, ten, który mówi: „Hej, zaczekaj chwilę i jeszcze to przemyśl”, w ogóle nie zdążył się uruchomić.

Odd Rimmen wstał z krzesła i spojrzał na leżącego na podłodze Ryana, na byłego kochanka Esther, na żywego wcześniej człowieka. Na dziurę po kuli z prawej strony jego czoła. I na leżący obok niego pistolet zabawkę.

Nachylił się i go podniósł. Pistolet prawie nic nie ważył, a rękojeść była pęknięta.

Zdołałby to wytłumaczyć ławie przysięgłych. Ale czyby mu uwierzono, że zmarły wręczył mu własny prawdziwy pistolet, a następnie celował w niego niegroźną popsutą zabawką? Może tak. Może nie. Zawód miłosny potrafi oczywiście doprowadzić człowieka do szaleństwa, ale zaufany pracownik brytyjskiej służby zagranicznej raczej nie miał w swojej historii nienormalnych zachowań czy problemów psychicznych. Nie, twierdzenie obrony o tym, że Ryan świadomie sprowokował swoje zabójstwo w ramach wyrafinowanej zemsty, byłoby zbyt naciągane dla przeciętnych szarych ludzi zasiadających w ławie przysięgłych.

Ale Oddowi przyszła do głowy jeszcze inna myśl: gdyby się zgłosił, byłaby to niezła bomba. Historia do tworzenia legend. Pisarz zabija rywala w dramacie miłosnym. Ale ten pomysł przynajmniej zdążył zostać opracowany przez płat czołowy, a tym samym oczywiście odrzucony.

Odd poszedł do drzwi wejściowych, wyjrzał i zobaczył nieznanego peugeota zaparkowanego za bramą. Dom najbliższych sąsiadów stał na tyle daleko, iż było mało prawdopodobne, aby usłyszeli strzał w salonie. Wrócił do zwłok, przeszukał kieszenie płaszcza i znalazł kluczyki do auta, telefon komórkowy, portfel, paszport i okulary przeciwsłoneczne.

Następne godziny poświęcił na zakopanie ciała Ryana w ogrodzie. Grób wykopał bezpośrednio pod największą jabłonią, tam gdzie zwykle stawiał stół, kiedy pracował lub gdy jedli z Esther na zewnątrz. Nie wybrał tego miejsca przez swoją skłonność do makabreski, tylko dlatego, że ta część ogrodu była już tak zdeptana, że nikogo nie zdziwiłby brak trawy. A z rzadka pojawiające się na działce psy trzymały się na ogół odleglejszych części ogrodu, nie ośmielały się podejść tak blisko domu.

Zaczął padać lekki deszcz, więc kiedy skończył kopać, ubranie miał mokre i brudne. Wziął prysznic, wrzucił łachy do pralki, umył podłogę w salonie i zaczekał, aż zapadnie zmrok.

Kiedy już dostatecznie się ściemniło, włożył płaszcz i ciemne okulary Ryana, własne rękawiczki i czarną czapkę, którą znalazł w jednej z szuflad

Esther. Do kieszeni płaszcza wcisnął cienką kurtkę przeciwdeszczową i wyszedł.

Był w dziwnie dobrym humorze, kiedy jechał peugeotem Ryana sześć kilometrów na klify koło Vellet. W ciągu dnia, a zwłaszcza w weekendy często bywali tu ludzie, ale po zapadnięciu ciemności rzadko ktoś się zjawiał. W czasie deszczu Odd nigdy nie widział tu nikogo. Zostawił samochód na parkingu i przeszedł sto metrów do punktu widokowego. Zatrzymał się na samej krawędzi urwiska i spojrzał w dół na fale zbijające się w białą pianę. Wyjął komórkę i rzucił ją poza klif. Patrzył, jak bezszelestnie znika w ciemności. Wyciągnął kurtkę przeciwdeszczową z kieszeni płaszcza i upewnił się, czy w drugiej są kluczyki, paszport i portfel, po czym złożył płaszcz i zostawił go na ziemi w dobrze widocznym miejscu, dociśnięty kamieniem, żeby nie zwiał go wiatr.

Potem w kurtce od deszczu ruszył w drogę do domu. Przez głowę przelatywały mu różne myśli. Czy w głębi duszy wiedział, że Ryan grozi mu zabawką, kiedy do niego strzelał? Jeśli tak, to dlaczego mimo wszystko nacisnął spust? Czy mózg zdążył przepracować inne rozwiązania? A co by było, gdyby nie strzelił? Jaki byłby następny ruch Ryana? Czy rzuciłby się na niego, więc Odd i tak musiałby go zastrzelić, ale wówczas nie mając wymówki w postaci zagrożenia życia?

Kiedy dotarł do domu, była już dziesiąta wieczorem. Nastawił kawę. Potem usiadł przy komputerze i zaczął pisać. Pisał. I pisał. Do tego świata wrócił dopiero po północy, kiedy otworzyły się drzwi.

– Cześć – rzuciła Esther tylko i dalej stała wyczekująco.

– Cześć. – Podszedł do kobiety, którą kochał, i pocałował ją.

– Ho, ho – powiedziała cicho, kładąc mu rękę na kroczu. – Naprawdę za mną tęskniłeś.

Policja nie kryła, że uważa zaginięcie Ryana Bloomberga za oczywiste samobójstwo. Wskazywały na to wszelkie okoliczności, a ponadto bliscy przyjaciele i rodzina Ryana twierdzili, że był bardzo przygnębiony, kiedy Esther go zostawiła, i mówił o myślach samobójczych. Teorię śmierci

z własnej ręki wzmocnił jeszcze fakt, że Ryan niedawno załatwił sobie pistolet Heckler & Koch oraz że na samobójstwo wybrał miejsce niedaleko domu, w którym Esther mieszkała ze swoim nowym partnerem Oddem Rimmenem.

Esther spędziła tamtą niedzielę w Londynie i do domu wróciła późno, ale Odd Rimmen był u siebie i mógł powiedzieć policji, że widział zaparkowanego na ulicy przed domem jakiegoś peugeota, w którym chyba siedział mężczyzna, przypuszczalnie na kogoś czekając. Zgadzało się to również z lokalizacją telefonu komórkowego Ryana, która wskazała policji, gdzie był i kiedy. Na podstawie sygnałów komórki odebranych przez miejscowe stacje bazowe widać było, jak Ryan – czy też jego telefon – wyruszyli na zachód z Paryża o świcie i przez kilka godzin przebywali w pobliżu domu Rimmena, zanim wychwycono ostatni sygnał w pobliżu klifu Vellet.

Dlatego aktywność policji w związku z zaginięciem Ryana ograniczyła się w dużej mierze do krótkich intensywnych poszukiwań i nikogo nie zdziwiło, zważywszy na siłę prądów morskich w tej okolicy, że nie odnaleziono ciała.

Po pewnym wahaniu Esther zdecydowała, że nie weźmie udziału w uroczystościach żałobnych w Londynie, gdyż w oczywisty sposób mogło to urazić tych spośród krewnych i przyjaciół Ryana, którzy uważali ją za winną jego śmierci. Powiadomiła o tym rodzinę Bloombergów i poinformowała, że przyjedzie na symboliczny grób Ryana później.

Odd Rimmen pisał z nowym żarem. Z nowym żarem też się kochał.

„Uczcijmy ten cudowny dzień kieliszkiem”, potrafił powiedzieć, gdy słońce kolejny raz zachodziło w czerwieniach, pomarańczach i fioletach. Schodził do piwnicy po zakurzoną butelkę wina jabłkowego. Zdarzało mu się wtedy stawać blisko niedużego zepsutego piecyka na drewno w najciemniejszym kącie, otwierać drzwiczki, wsuwać rękę do środka, dotykać zimnego metalu hecklera & kocha i koniuszkami palców gładzić cyfry na lufie.

*

– Jestem w ciąży – oznajmiła Esther.

Stała przy kuchennym oknie z jabłkiem w dłoni, wpatrzona w Zatokę Biskajską, gdzie dramatycznie szaroczarne niebo i białe grzywy fal zapowiadały kolejny zimowy sztorm.

Odd odłożył pióro. Pisał od samego rana. Przekroczył deadline już o kilka tygodni, ale najważniejsze, że znów pisał. I że pisał dobrze. Prawdę mówiąc, cholernie dobrze.

– Jesteś pewna?

– W zasadzie tak. – Dotknęła ręką brzucha, jakby już czuła, że rośnie. – Tak, najzupełniej.

– To przecież... – szukał słowa. I nagle poczuł się tak, jakby niemoc twórcza powróciła. Miał świadomość, że istnieje tylko jedno właściwe słowo. Sytuacje są jak śruby, pasuje do nich tylko jedna konkretna nakrętka i trzeba tak długo grzebać w szufladzie, aż się ją znajdzie. W ostatnich tygodniach słowa same napływały. Przedstawiały mu się, więc nie musiał ich szukać, ale naraz spowiła go kompletna ciemność. Czy właściwym słowem było „fantastycznie”? Nie, zachodzenie w ciążę to rzecz trywialna, coś, co udaje się większości zdrowych ludzi. „Świetnie”? To by zabrzmiało jak świadome niedopowiedzenie, ironiczne i dlatego po dwakroć kłamliwe. W ciągu tych dziewięciu miesięcy, jakie spędzili, mieszkając razem, tłumaczył jej, że praca to dla niego wszystko, że nic nie może stanąć jej na przeszkodzie, nawet ona, kobieta, którą kochał ponad wszystko (a raczej ponad wszystkie inne kobiety). „Katastrofa”? Nie. Wiedział, że ona chce mieć dziecko, i nawet jeśli to pragnienie nie zostało wypowiedziane, to jednak w domyśle ustalili, że nie spędzą całego życia razem, że w jakimś momencie będzie musiała poszukać kogoś, kto zostanie ojcem jej dziecka albo dzieci. Udało jej się to bez szukania, a była samodzielną kobietą, która znakomicie sobie poradzi w roli samotnej matki, więc nie „katastrofa”, a najwyżej „nie w porę”.

– To przecież... – powtórzył.

Czy podejrzewał, że zrobiła to celowo? Zrezygnowała ze środków antykoncepcyjnych, żeby wystawić go na taką próbę? A jeżeli tak, czy to zadziałało? Cholera, jasne, że tak. Odd Rimmen ku własnemu zaskoczeniu poczuł, że nawet jeśli się nie ucieszył, to przynajmniej ożywił. Dziecko.

– Co? – spytała wreszcie.

Najwyraźniej i w tym wypadku przekroczył deadline.

Wstał i podszedł do okna, przy którym stała. Objął ją, patrząc na ogród. Na wielką jabłoń, która po dwunastoletniej przerwie nagle znów wydała owoce. Kiedy zebrali wielkie czerwone jabłka i znieśli je do piwnicy, Esther spytała, jak to się mogło stać. Odparł, że korzenie najprawdopodobniej znalazły bogatsze pożywienie niż zazwyczaj. Widział po niej, że chciała spytać, co przez to rozumie, i szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, co by odpowiedział, gdyby to pytanie padło. Ale nie padło.

– Cud – dokończył Odd Rimmen. – Ciąża. Dziecko. To przecież cud.

*

Wieść o tym, że Odd Rimmen odmówił udziału w największym talk-show na świecie, krążyła już od pewnego czasu, lecz o tyle o ile potrafił to ocenić, nie wywołała takiego samego efektu jak artykuł w magazynie i odrzucenie projektu filmowego. Tak jakby sprawa Odda Rimmena Pustelnika już została opowiedziana i przetrawiona, a teraz to tylko ciąg dalszy.

A Odd w ogóle mógł to oceniać, ponieważ znów zaczął śledzić media społecznościowe i wiadomości. Tłumaczył sobie, że jako przyszły ojciec będzie musiał wyjść z odosobnienia, które sam sobie narzucił, *reconnect with the world*, jak mówił Esther.

Pojechał z nią do Londynu, gdzie zaproszono ją – a ona to zaproszenie przyjęła – do udziału w projekcie polegającym na przeprowadzaniu wywiadów z najważniejszymi kobiecymi głosami w dziedzinie literatury, filmu i muzyki. Zajmowali ciasne mieszkanie, a Odd tęsknił za Francją.

Codziennie po wyjściu Esther do pracy siadał przy laptopie i czytał, co pisano o nim w sieci. Początkowo był zaszokowany tak dużym zainteresowaniem, czy też raczej ilością czasu, jaką zdawali się mieć ludzie. Nie dość bowiem, że analizowali to, co napisał, rozkładając tekst na czynniki pierwsze, to zamieszczali też informacje o tym, gdzie i z kim był ostatnio widziany (potrafił stwierdzić, że w dziewięćdziesięciu procentach są to czyste wymysły), o jego sekretnych dzieciach, które miał z sekretnymi matkami, o narkotykach, jakie zażywa, o jego tożsamości seksualnej i o tym, którym ze swoich bohaterów jest naprawdę.

Musiał przyznać, że te wpisy sprawiały mu wielką przyjemność. Tak, nawet te, w których go wyzywano czy przyklejano mu łatkę aroganta i nieżyciowego pozera, sprawiały, że czuł się... Jakiego słowa użyć? Żywy? Nie. Istotny? Być może. Dostrzeżony? Tak, chyba o to chodziło. Musiał przyznać, że to banalne i niemal trochę deprymujące – okazał się taki prosty, tak bardzo pragnął tego, czym gardził u innych, nalegającym, irytującym krzykiem rozpieszczonego dziecka: „Patrz na mnie, patrz na mnie!”, kiedy nie było nic do oglądania z wyjątkiem silnego egocentryzmu.

Ale te refleksje i (powiemy tak?) samoświadomość oczywiście nie powstrzymywały go od dalszego szukania. Tłumaczył sobie, że już teraz musi wiedzieć, na czym stoi, jeśli chodzi o opinię publiczną, zanim jeszcze będzie promowana jego nowa książka. Była bowiem nie tylko jego najlepszym dziełem dotychczas, wiedział o tym od dawna, ale była po prostu – i to zrozumiał dopiero całkiem niedawno – arcydziełem. Jedyna napisana przez niego powieść, która mogła zachować się dla potomności jako rzecz posiadająca trwałą wartość. Problem polegał oczywiście na tym, że była również – właśnie jako arcydzieło – wymagająca. On musiał się nad nią namęczyć i czytelnik też będzie się musiał męczyć. Pisarz Odd Rimmen nie był ślepy ani głuchy na fakt, że wielka literatura potrafi być wyczerpująca, sam niemal się poddał przy *Ulissesie* Jamesa Joyce’a i *Infinite Jest* Davida Fostera Wallace’a. Ale teraz, gdy ten ostatni stał się jego ulubieńcem, wiedział, że musi robić to samo: podążać do celu, nie ustępując nawet o cal. Arcydzieło musi jednak także – aby stać się

arcydziełem – zostać zaprezentowane we właściwym kontekście. Tylko Bóg wie, ile arcydzieł przeszło światu koło nosa, odeszło w zapomnienie. Chociaż nie, nie w zapomnienie, bo one nigdy nie zostały odkryte, lecz zniknęły w lawinie setek czy tysięcy książek, jakie codziennie wydaje się na świecie. Aby więc wytworzyć sobie obraz własnego kontekstu, Odd Rimmen zaczął przeglądać chronologicznie materiały w mediach społecznościowych, zaczynając od tych sprzed wielu lat. Odnotował sobie, że liczba tweetów, odniesień do jego nazwiska i tytułów prasowych wykazuje w ostatnim roku tendencję spadkową oraz że ci, którzy piszą obecnie, to na ogół starzy wyjadacze. Niektórzy tak starzy, że sprawiają wrażenie wręcz przysypanych śniegiem.

Pozostały cztery miesiące do wydania książki (i pięć do terminu porodu), gdy na spotkaniu w wydawnictwie przy Vauxhall Bridge Road Odd Rimmen rozmawiał na temat promocji z Sophie i jej bardzo młodą koleżanką (Jane jakąś tam, Odd nie zapamiętał jej nazwiska).

– Zła wiadomość jest taka, że to trudna książka do wypromowania – oznajmiła Jane takim tonem, jakby wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Poprawiła przesadnie duże, zapewne modne okulary i uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając sporą część dziąseł.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Odd z nadzieją, że w jego głosie nie słychać takiej irytacji, jaką czuł.

– Po pierwsze, prawie niemożliwe jest opisanie w dwóch czy trzech zdaniach, o czym jest ta książka. Po drugie, trudno znaleźć specjalną grupę docelową, oprócz tych, którzy bardzo interesują się literaturą, i twoich dawnych czytelników, co właściwie oznacza jedno i to samo. Poza wszystkim to... – Wymieniła spojrzenia z Sophie. – ...dość mała, niszowa grupa.

Nabrała powietrza, a Odd Rimmen zrozumiał, że jest jeszcze jakieś po trzecie.

– Po trzecie, to bardzo ponura i pusta powieść.

– Pusta? – wyrwało się Oddowi, który z ponurością się zgodził.

– Dystopijna – podpowiedziała Sophie.

– I prawie bez ludzi – ciągnęła Jane. – W każdym razie bez takich, z którymi czytelnik może się identyfikować.

Odd Rimmen pojął, że kobiety porozumiały się już wcześniej, w każdym razie doceniał, że nie skarżyły się na to, iż w nowej książce (*Nothing*) nie ma scen erotycznych, które stały się jego znakiem rozpoznawczym. Wzruszył ramionami.

– Jest taka, jaka jest. *Take it or leave it.*

– No tak, ale mamy właśnie skupić się na tym, co zrobić, żeby ludzie zdecydowali się na *take it* – powiedziała Sophie.

Odd rozpoznawał już ten ostry ton.

– Natomiast dobra wiadomość jest taka – podjęła Jane – że mamy ciebie. To tobą interesują się media. Pytanie tylko, czy zechcesz pomóc swojej książce, uczestnicząc w promocji.

– Sophie jeszcze ci tego nie wyjaśniła? – spytał Odd Rimmen. – Że ja pomagam książce, nie uczestnicząc? Tak wygląda, bez względu na to, ile jest wart, mój... image. – Wypluł to słowo z całą pogardą, jaką potrafił z siebie wykrzesać. – Dział promocji chyba nie chce go zniszczyć i stracić przez to mocnych stron autora, prawda?

– Milczenie potrafi być efektowne – stwierdziła Jane. – Ale działa tylko przez pewien czas, zanim stanie się nudne i bezproduktywne. Pomyśl sobie, że milczenie zostało już zasiane, ale teraz przyszła pora zbiorów. Wszystkie gazety będą się przepychać w kolejce, żeby dostać wyłączność na pierwszy wywiad z człowiekiem, który przestał się odzywać.

Odd Rimmen smakował jej słowa. Coś w nich brzmiało dziwnie, jakby sobie zaprzeczało.

– Jeśli już mam się sprostytuować, to dlaczego któraś ma dostać wyłączność? – spytał. – Dlaczego nie działanie na pełny gaz? Wszędzie?

– Bo wtedy tytuły będą mniejsze – wyjaśniła Sophie cicho. Ona i ta Jane jakaś tam zdecydowanie już to sobie omówiły.

– A dlaczego nie talk-show? – podsunął.

Jane westchnęła.

– Bo wszyscy chcą wziąć udział w talk-show i bardzo, bardzo trudno się do czegoś takiego dostać, jeśli się nie jest gwiazdą filmową, mistrzem sportu czy celebrytą z reality show.

– Ale Stephen Colbert... – Teraz Oddowi nie chodziło już o ukrycie irytacji, tylko żałosności.

– To było możliwe wtedy – odparła Sophie. – Drzwi się otwierają, a potem zamykają, taki już jest ten świat.

Odd wyprostował się na krześle, zadarł podbródek i wbił w nią wzrok.

– Oczywiście rozumiesz, że pytam z czystej ciekawości, a nie dlatego, że zgodziłbym się znów odgrywać rolę klauna w mediach. Książka wkrótce przemówi sama za siebie.

– Nie możesz zjeść ciastka i go mieć – stwierdziła Jane. – Nie możesz być zarówno ikoną hipsterów, jak i być czytany przez masy. Zanim określimy budżet reklamowy dla tej książki, musimy wiedzieć, co jest dla ciebie najważniejsze.

Odd Rimmen wolno, jakby niechętnie obrócił głowę w jej stronę.

– Aha, i jeszcze jedno – ciągnęła Jane. – *Nothing* to słaby tytuł. Nikt nie kupi książki o niczym. Ciągle jest czas, żeby go zmienić. Dział promocji proponuje *Loneliness*. To wciąż ponury tytuł, ale przynajmniej coś, z czym czytelnik może się utożsamić.

Odd Rimmen znów spojrzał na Sophie. Wyraz jej twarzy zdawał się mówić, że cierpi wraz z nim, lecz że Jane również ma rację.

– Książka zachowa swój tytuł – oświadczył, wstając. Tłumiona wściekłość wprawiła głos w drżenie, przez co jeszcze bardziej się rozzłościł i postanowił ryknąć, żeby to drżenie wyeliminować: – Ten tytuł mówi też, ile zamierzam z siebie dać w tym cholernym skomercjalizowanym cyrku mediów! Pieprzyć ich! I pieprzyć...

Nie dokończył, tylko wymaszerował z pokoju i zszedł po schodach, ponieważ czekanie na nienadjeżdżającą windę zepsułoby efekt jego wyjścia. Minął recepcję i wyszedł na Vauxhall Bridge Road, gdzie

oczywiście padał deszcz. Cholerne zasrane wydawnictwo. Cholerne zasrane miasto. Cholerne zasrane życie.

Przeszedł na drugą stronę ulicy na zielonym świetle.

Zasrane życie?

Miał wydać najlepszą książkę, jaką napisał, miał zostać ojcem, miał kobietę, która go kochała (może nie wyrażała tego w równie ewidentny sposób, jak w pierwszym okresie ich wspólnego życia, ale wszyscy wiedzą, jakie dziwne wahania nastroju i chętki potrafi przynieść chaos hormonów u ciężarnej). I miał najlepszą pracę, jaką może mieć człowiek: przekazywać to, co uważa za ważne, i być słuchanym, widzianym i czytanym, do diabła!

No ale właśnie to chcieli mu teraz odebrać. Odebrać jedyne, co miał w życiu. Bo to była jedyna rzecz. Mógł udawać, że wszystko inne coś znaczy, Esther, dziecko, ich wspólne życie. Oczywiście to wszystko miało jakieś znaczenie, ale po prostu nie wystarczało. Nie wystarczało naprawdę. Musiał mieć wszystko! Zjeść ciastko i mieć ciastko, wędkę i rybę. Musiał więc uśmiercić natychmiast to zasrane życie!

Odd Rimmen gwałtownie przystanął. Stał tak, aż światło zmieniło się na czerwone, a samochody po obu stronach zaczęły głośno warczeć niczym drapieżniki gotowe do ataku.

A jemu przyszło do głowy, że wszystko mogłoby się skończyć tutaj, ot, tak. To nie byłby zły koniec opowieści. Żyjący przed nim wielcy autorzy wielkich powieści wybierali taki właśnie koniec. David Foster Wallace, Édouard Levé, Ernest Hemingway. Virginia Woolf, Richard Brautigan, Sylvia Plath. Lista była długa. Z mocnymi nazwiskami. Śmierć się sprzedaje. Gore Vidal określił śmierć kolegi po fachu Trumana Capote jako *wise career move*, ale samobójstwo sprzedaje się jeszcze lepiej. Kto by wciąż ściągał z sieci muzykę Nicka Drake’a i Kurta Cobaina, gdyby nie zginęli z własnej ręki? I czy nie myślał o tym już wcześniej? Czy taki pomysł nie przeleciał mu przez głowę, kiedy Ryan Bloomberg kazał mu zastrzelić albo siebie, albo jego? Gdyby książka była wtedy gotowa...

Odd Rimmen zrobił krok na ulicę.

Zdążył usłyszeć krótki okrzyk osoby, która wcześniej stała obok niego na chodniku, nim zagłuszył go ryk silników. Widział ścianę samochodów nadciągającą w jego stronę. Owszem, pomyślał, ale nie tutaj, nie w taki sposób, nie w banalnym wypadku drogowym, który można przypisać zbiegowi okoliczności.

Ciało migdałowate zdecydowało się na ucieczkę i Odd ledwie zdążył dopaść krawędzi chodnika po drugiej stronie, nim zaczęły go mijać samochody. Nie zatrzymał się, dalej biegł, przemykał między ludźmi albo popychał ich na zatłoczonych londyńskich chodnikach. Rzucano za nim angielskie przekleństwa, odpowiadał francuskimi obelgami, lepszymi i mocniejszymi. Przecinał ulice i mijał mosty, pokonywał place i wspinał się po schodach. Gdy po godzinnym biegu otworzył kluczem drzwi do ciasnego wilgotnego mieszkania, całe ubranie, łącznie z kurtką, miał przesiąknięte potem.

Usiadł przy kuchennym stole, wziął papier i pióro i napisał list pożegnalny.

Zajęło mu to zaledwie parę minut. Była to przemowa, którą wygłaszał przed samym sobą już tyle razy, że nie potrzebował żadnego czasu do namysłu, żadnej redakcji. Poza tym jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wróciła mu teraz iskra. Ta, którą stracił, gdy w jego życie weszła Esther. Którą odzyskał, gdy zabił Ryana, i którą znów częściowo stracił, kiedy Esther zaszła w ciążę. Kładąc list samobójczy na kuchennym stole, uświadomił sobie, że to być może jedyna w pełni idealna rzecz, jaką kiedykolwiek napisał.

Odd Rimmen spakował niedużą torbę i taksówką pojechał na dworzec St. Pancras, skąd co godzinę odjeżdżał szybki pociąg do Paryża.

Dom czekał na niego ciemny i milczący.

Otworzył kluczem drzwi.

W środku było cicho jak w kościele.

Poszedł na górę, rozebrał się i wziął prysznic. Potem przypomniał sobie zwłoki Ryana na podłodze w salonie, więc poszedł do toalety. Nie chciał,

żeby znaleziono go w spodniach pełnych odchodów. Następnie ubrał się w swój najlepszy garnitur, ten sam, który miał na sobie tamtego wieczoru w Charles Dickens Theatre.

Zszedł do piwnicy. Zapachniało jabłkami. Stanął na środku, gdy świetlówka na suficie migotała, jakby nie mogła się zdecydować, czy się zapalić, czy zgasnąć.

Gdy się uspokoiła, podszedł do piecyka, otworzył drzwiczki i wyjął pistolet.

Widział to na filmach, czytał o tym w książkach, ba, nawet sam deklamował myśli Hamleta krążące wokół samobójstwa (*to be or not to be*), gdy jako licealista miał bardzo nieudany występ na wieczorze organizowanym przez uczniów. Wahanie, wątpliwości, wewnętrzny monolog, który ciągnie to w jedną, to w drugą stronę. Ale Odd Rimmen nie czuł już więcej wątpliwości, wszystkie drogi w taki czy inny sposób prowadziły tutaj. To było jedyne słuszne zakończenie. Tak słuszne, że nawet nie było to smutne, lecz przeciwnie, to był ostatni triumf opowiadacza. *Put your gun where your pen is.* Niechże sobie inni tak zwani pisarze siedzą na scenie, pławiąc się w tanio kupionej miłości publiki, okłamując samych siebie i innych przy tym obecnych.

Odd Rimmen odbezpieczył pistolet i przyłożył go do skroni.

Już widział wszystkie tytuły.

A potem swoje miejsce w podręcznikach historii.

Nie, miejsce, które zajmie *Nothing*, jego powieść.

O tak.

Zamknął oczy i palcem wskazującym nacisnął spust.

– Odd Rimmen!

To był głos Esther.

Nie usłyszał, jak przyszła, ale teraz wywoływała go gdzieś z daleka. Może z góry, z salonu. O dziwo, pełnym imieniem i nazwiskiem, jakby chciała, żeby wyszedł i pokazał się w całości.

Odd pociągnął za spust. Wystrzał huknął jak rycząca eksplozja ognia, jakby zmysły przeciągały czas, tak że niczym na megazwolnionym filmie mógł usłyszeć, jak zapala się proch, jak płonie i jak odgłos wzbiera w crescendo oklasków.

Odd Rimmen otworzył oczy. W każdym razie sądził, że to robi. No i zobaczył to. Zobaczył światło.

„Idź ku światłu”. Słowa Sophie. Redaktorki, której rad słuchał i której ufał przez całe swoje pisarskie życie.

Ruszył więc ku światłu. Oślepiło go. Nie widział nikogo w ciemności za tym światłem, słyszał tylko, jak huk oklasków jeszcze wzbiera na sile.

Ukłonił się lekko i zajął miejsce na krześle obok Esther Abbot, energicznej dziennikarki – pomimo swojego ostrego, niemal męskiego wyglądu miała w oczach pewną miękkość, na którą zwrócił uwagę przed kilkoma minutami w garderobie.

– Przejdźmy od razu do rzeczy, panie Rimmen – powiedziała Esther Abbot. – Trzymam w ręku powieść *The Hill*, o której mamy rozmawiać. Ale najpierw spytam: Czy sądzi pan, że kiedykolwiek napisze równie dobrą książkę?

Odd Rimmen zmrużonymi oczami popatrzył na salę. Dostrzegał niektóre twarze w pierwszych rzędach. Wpatrywały się w niego, lekko uśmiechnięte, jakby już przewidywały, że usłyszą coś zabawnego albo genialnego. Wiedział, że bez względu na to, co powie, zostanie to przyjęte w absolutnie najlepszej wierze. To było jak granie na instrumencie, który częściowo wydaje dźwięki sam z siebie, wystarczyło jedynie dotknąć klawiszy, otworzyć usta.

– To wy decydujecie o tym, co jest dobre, a co nie – stwierdził. – Ja mogę jedynie pisać.

Przez salę przebiegł szum ciszy. Jakby ludzie skupiali się, chcąc się przedrzeć do prawdziwej głębi tych prostych słów. Mój Boże.

– No i robi pan to. Jest pan Odd Dreamin’. – Esther przerzuciła swoje kartki. – Wymyśla pan historie przez cały czas?

Odd Rimmen kiwnął głową.

– Absolutnie przez cały czas. W każdej wolnej minucie. Wymyślałem coś nowego tuż przed wejściem na scenę.

– Aha. A teraz?

Śmiech publiczności przeszedł w pełną wyczekiwania ciszę, kiedy Odd Rimmen odwrócił się i spojrzał na przybyłych. Uśmiechnął się leciutko, chwilę odczekał. Te drżące, bez tchu, lecz jakże pełne ducha sekundy...

– Mam nadzieję, że nie.

Gruchnął śmiech. Odd Rimmen starał się nie uśmiechać zbyt szeroko. Ale to oczywiście trudne, kiedy dostaje się zastrzyk bezwarunkowej miłości prosto w serce.

KOLCZYK

– Au!

Spojrzałem w lusterko.

– Coś nie tak?

– To! – odparła z tylnego siedzenia tłusta kobieta, podnosząc coś w dwóch palcach.

– Co to jest? – spytałem, przenosząc wzrok z powrotem na drogę.

– Nie widzi pan? Kolczyk. Usiadłam na nim.

– Przepraszam – powiedziałem. – Pewnie jakaś pasażerka go zgubiła.

– To rozumiem. Ale w jaki sposób?

– Słucham?

– Kolczyk nie spada sam z siebie, kiedy siedzi się prosto.

– Nie wiem. – Zahamowałem, bo podjeżdżaliśmy już pod czerwone światło jedynej sygnalizacji świetlnej, jaką u nas mamy. – Jest pani dzisiaj moją pierwszą pasażerką. Właśnie przejąłem wóz.

Staliśmy, więc znów zerknąłem w lusterko. Kobieta oglądała kolczyk. Pewnie leżał w szczelinie siedzenia i wysunął się, kiedy nacisnęła tyłkiem poduszki po obu stronach.

Spojrzałem na kolczyk. I coś mi przyszło do głowy. Próbowałem odrzucić tę myśl równie szybko, bo z całą pewnością istnieje tysiąc prawie identycznych wariantów takiego prostego kolczyka z perłą.

Kobieta podniosła wzrok i w lusterku popatrzyła mi w oczy.

– Perła jest prawdziwa – oświadczyła, wręczając mi kolczyk. – Będzie pan musiał spróbować odszukać właścicielkę.

Podniosłem go pod szare poranne światło. Sztyft był ze złota. Cholera. Odwróciłem go i oczywiście nie było żadnego wygrawerowanego logo czy nazwy producenta. Przykazałem sobie nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków; kolczyk z perłą jest podobny do kolczyka z perłą.

– Zielone – rzuciła kobieta.

Palle – właściciel taksówki – jeździł w nocy, odczekałem więc do dziesiątej i zatrzymałem się na postoju przy kiosku, zanim zadzwoniłem. Dwadzieścia lat temu Palle przyjechał tu jako gracz drugoligowego zespołu z regionu Grenland, żeby pomóc naszej drużynie wyjść z trzeciej ligi. I nawet jeśli mu się to nie udało, to udało mu się za to – według tego, co sam mówił – zdobyć wszystkie miejscowe dziewczyny do wzięcia między osiemnastym a trzydziestym rokiem życia.

„Myślę, że spokojnie możemy powiedzieć, że strzeliłem najwięcej goli w tej drużynie", stwierdził kiedyś w pubie, gładząc dwoma palcami swoje wspaniałe jasne wąsy. Możliwe. Sam byłem zaledwie chłopcem, kiedy on jeszcze grał, i wiem tylko, że ożenił się z jedną z tych ewidentnie do wzięcia. Była córką prezesa związku właścicieli taksówek i kiedy Palle zrezygnował z kariery piłkarza, dostał licencję na taksówkę od ręki, bez konieczności długiego oczekiwania, z jakim musieli się liczyć wszyscy inni. Pracując u Pallego jako kierowca, czekałem na to już od pięciu lat, a przepustka do nieba nawet przede mną nie majaczyła.

– Coś nie tak? – spytał Palle groźnym tonem, którego używał zawsze, gdy do niego dzwoniłem w godzinach mojej jazdy. Śmiertelnie się bał, że miałem stłuczkę albo że stało się coś z samochodem, za co, jak wiedziałem, będzie mnie w połowie obwiniał, nawet gdyby ktoś wjechał we mnie lub gdyby pojawiła się jakaś mechaniczna usterka w zajeżdżonym mercedesie, na którego regularne serwisowanie Palle był zbyt skąpy.

– Nikt nie dzwonił i nie pytał o kolczyk?

– O kolczyk?

– Leżał z tyłu, wciśnięty w szparę między siedzeniami.

– Aha. Dam ci znać, jak się czegoś dowiem.

– Zastanawiałem się...

– Nad czym? – W głosie Pallego brzmiało zniecierpliwienie, jakbym go obudził. Miał wczoraj wieczorną zmianę, którą kończyliśmy zazwyczaj

koło drugiej, czyli godzinę po zamknięciu dwóch miejscowych pubów. Później nocny dyżur miała jedna taksówka, codziennie inny samochód.

– Czy Wenche jechała wczoraj naszą taksówką?

Wiedziałem, że Palle nie lubi, kiedy mówię o „naszej” taksówce, skoro faktycznie samochód należy do niego, ale zdarzało mi się o tym zapominać.

– To jej kolczyk?

Usłyszałem, że Palle ziewa.

– Właśnie nad tym się zastanawiam. Podobny.

– To dlaczego nie zadzwonisz do niej, zamiast budzić mnie?

– No cóż.

– No cóż?

– Kolczyk nie spada sam z siebie, kiedy siedzi się prosto.

– Nie?

– Podobno. Jechała wczoraj taksówką?

– Daj mi się zastanowić. – Usłyszałem na drugim końcu kliknięcie zapalniczki Pallego, zanim podjął: – Nie jechała moim wozem, ale chyba widziałem ją koło pierwszej w kolejce do taksówek przed Swobodnym Spadaniem. Mogę popytać.

– Nie chcę wiedzieć, którą taksówką jechała Wenche, zastanawiam się tylko, do kogo należy kolczyk.

– No to ci nie pomogę.

– Przecież to ty jeździłeś.

– I co z tego? Jeśli leżał w szczelinie między siedzeniami, to mógł tam tkwić od kilku dni. Zresztą nie znam, do diabła, nazwiska każdej pieprzonej klientki, którą wiozę. Jeśli ten kolczyk jest coś wart, to ta osoba zadzwoni. Dolałeś płynu hamulcowego? Wczoraj, jak ruszałem, o mało nie zjechałem do morza.

– Zajmę się tym, jak będzie spokojniej – odparłem. Typowe skąpstwo Pallego: wysyłać mnie do warsztatu, zamiast samemu tam podjechać. Jako

wynajęty kierowca nie miałem płacone za godzinę, dostawałem jedynie czterdzieści procent z tych koron, które wyjeżdżę.

– Pamiętaj o kursie do szpitala o drugiej.

– Dobra – powiedziałem i się rozłączyłem.

Znów przyjrzałem się kolczykowi. Miałem szczerą nadzieję, że cholernie się mylę.

Otworzyły się tylne drzwiczki i zanim usłyszałem głos, poczułem zapach. Można by pomyśleć, że będąc kierowcą taksówki, człowiek przyzwyczaja się do ostrego, a jednocześnie słodkoduszącego zapachu mieszanki starego i świeżego alkoholu, kiedy zasiłek jest odebrany, nowe butelki kupione i może się zacząć przedpołudniowa impreza u któregoś z pozostałych z pijacko-zasiłkowej grupy. Ale jest odwrotnie, ten zapach staje się gorszy z każdym mijającym rokiem, ostatnio żołądek wywraca mi się od niego na drugą stronę. Zabrzęczała zawartość torby ze sklepu monopolowego i ochrypły głos wymamrotał polecenie:

– Nergardveien dwanaście. I to szybko.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Lampka ostrzegająca o zbyt małej ilości płynu hamulcowego świeciła się już od ponad tygodnia i rzeczywiście trzeba było trochę mocniej naciskać pedał hamulca, lecz Palle oczywiście przesadził, twierdząc, że o mało nie zsunął się do morza, chociaż krótkie zbocze od jego garażu do krawędzi kei było strome, a zimą niebezpieczne. Ale czasami miałem serdecznie dosyć tego, że Palle daje mi wszystkie dzienne dyżury w weekendy, a noce w dni powszednie, dla siebie zostawiając te, na których dało się trochę zarobić. Zdarzało się więc, że kiedy w zimową noc parkowałem taksówkę przed jego garażem i wracałem własnym samochodem do domu, w duchu modliłem się o to, żeby wpadł w poślizg na lodzie, bo dzięki temu przesunąłbym się o jedno miejsce w kolejce do licencji na taksówkę.

– Proszę nie palić w samochodzie – powiedziałem.

– Zamknij się! – dobiegło warknięcie z tylnego siedzenia. – Kto płaci?

Ja, pomyślałem. To ja pracuję za czterdzieści procent tego, co wyjeżdżę, minus czterdzieści procent podatku, żebyś ty mógł się zachlać na śmierć, a jedyne, na co mogę mieć nadzieję, to że zrobisz to jak najszybciej.

– Co powiedziałeś? – rozległ się głos z tylnego siedzenia.

– Proszę nie palić. – Wskazałem na naklejkę „Palenie wzbronione” na desce rozdzielczej. – To pięć stów mandatu.

– Spokojnie, chłopcze. – Spomiędzy siedzeń snuł się dym papierosowy. – Mam gotówkę.

Opuściłem szyby z przodu i z tyłu, myśląc o tym, że tych pięć stówek będzie poza taksometrem i może bez żadnych potrąceń trafić do mojej kieszeni, bo Palle palił tyle, że z całą pewnością nie wyczuje zapachu. Jednocześnie wiedziałem, że będę grzecznym chłopcem i powiem mu o tych pięciu stówach, w związku z czym nie dostanę z nich ani øre. Palle twierdził bowiem, że to on sprząta samochód w środku, czego, jak wiedzieliśmy obaj, nie robił nigdy. Sprzątania nie było, dopóki nie zapanował taki syf, że musiałem się tym zająć, bo nie mogłem tego dłużej znieść.

Kiedy się zatrzymałem na Nergardveien, taksometr wskazywał sto dziewięćdziesiąt pięć koron.

Pijak podał mi dwustukoronowy banknot.

– Reszty nie trzeba – powiedział i już wysiadał.

– Hej! – zawołałem. – Należy się sześćset dziewięćdziesiąt pięć!

– Przecież licznik pokazuje sto dziewięćdziesiąt pięć.

– Za palenie w samochodzie.

– Tak? Nie pamiętam, żebym palił. Pamiętam tylko cholerny przeciąg.

– Palił pan.

– Udowodnij to! – Trzasnął drzwiczkami i ruszył w stronę wejścia do bloku przy akompaniamencie drwiąco wesołego pobrzękiwania butelek.

Spojrzałem na zegarek. Zostało mi sześć godzin z tego już przesranego dnia pracy. Potem miałem iść na obiad do teściów. Nie wiem, na co miałem mniejszą ochotę. Wyjąłem kolczyk z kieszeni i jeszcze raz mu się

przyjrzałem. Był tylko sztyft wystający z okrągłej szarej perły, jak balon na sznurku. I przypomniało mi się, jak byłem za mały, żeby samemu iść w pochodzie siedemnastomajowym, ale oglądaliśmy go razem z dziadkiem i dziadek kupił mi balon. Na moment musiałem stracić koncentrację i puściłem sznurek, bo nagle balon wzleciał wysoko nade mną, a ja oczywiście się rozryczałem. Dziadek pozwolił mi się wypłakać do końca, a potem wytłumaczył, dlaczego mi nie kupi nowego balonu. „Żebyś się nauczył, że jeśli miałeś szczęście i dostałeś coś, co tak bardzo chciałeś mieć, dostałeś szansę, to musisz to mocno trzymać, bo życie nie daje nowych szans”.

Być może miał rację. Kiedy związałem się z Wenche, miałem w każdym razie uczucie, że dostałem balonik, na którym tak mi zależało. Nie było mnie na niego stać, ale i tak go dostałem. Dostałem szansę. I dlatego mocno ją trzymałem. Nie wypuszczałem z rąk nawet na sekundę. Może trzymałem trochę za mocno. Czasami miałem wrażenie, że czuję szarpanie za sznurek. Kolczyki były nieco zbyt drogim prezentem gwiazdkowym, w każdym razie w porównaniu ze slipami marki Bjørn Borg, które dostałem od niej. Ale czy to jeden z tych kolczyków? Był podobny. A prawdę mówiąc, na tyle, na ile mogłem się zorientować, zupełnie identyczny, lecz ani ten kolczyk, ani te, które kupiłem, nie miały żadnych cech szczególnych. Dzisiejszej nocy Wenche wróciła do domu, kiedy już spałem. To był od dawna zaplanowany wypad do pubu z dwiema przyjaciółkami, świeżo upieczonymi matkami, które wreszcie miały wieczór wolny od dzieci.

Skorzystałem z okazji, by powiedzieć, że to przecież pokazuje, iż można mieć jakieś życie, nawet jeśli ma się dzieci, ale Wenche tylko jęknęła i kazała mi skończyć z tym marudzeniem. Stwierdziła, że po prostu nie jest jeszcze na to gotowa. Czy na mnie, czy na dzieci, nie sprecyzowała, ale to się jakby samo przez się rozumiało. Wenche potrzebowała więcej przestrzeni do oddychania niż większość ludzi, tyle pojmowałem. Owszem, pojmowałem to. I przecież chciałem jej to dać, tylko nie potrafiłem. Nie umiałem przytrzymać tego balonika.

Kolczyk nie spada sam z siebie, kiedy siedzi się prosto.

Jeśli siedziała na tylnym siedzeniu tej taksówki i obściskiwała się z jakimś facetem w czasie, gdy Palle prowadził, to musiała być nieźle pijana i ogarnięta szaleństwem. Przecież wiedziała dobrze, że Palle to mój pracodawca. No ale kiedy wypiła, ogarniało ją szaleństwo. Takie jak wtedy, gdy kochaliśmy się za pierwszym razem. Oboje byliśmy pijani, dochodziła druga w nocy, a ona się uparła, że to ma się stać na boisku do piłki nożnej. W bramce. Dopiero później dowiedziałem się, że miała romans z bramkarzem, z którym to się schodziła, to rozchodziła, a akurat wtedy on ją rzucił.

Wybrałem jej imię w telefonie, przez chwilę na nie patrzyłem, w końcu rzuciłem komórkę na konsolę między siedzeniami i podkręciłem radio.

Zaparkowałem samochód przed garażem Pallego o piątej. O wpół do szóstej wykąpany i przebrany stałem w przedpokoju i czekałem na Wenche, która malowała się w łazience, jednocześnie rozmawiając przez telefon.

– Dobrze, dobrze – powiedziała zirytowana, kiedy stamtąd wyszła i mnie dostrzegła. – To będzie trwało jeszcze dłużej, jeśli będziesz mnie stresował.

Nie odezwałem się ani słowem, wiedząc, że dalej muszę trzymać gębę na kłódkę. Zamknąć się i mocno ściskać sznurek balonika.

– Musisz tak stać? – stęknęła, wciągając długie czarne kozaki.

– Jak tak?

– Z rękami założonymi na piersiach.

Opuściłem ręce.

– I nie patrz na zegarek.

– Przecież nie pat...

– W ogóle o nim nie myśl! Zapowiedziałam, że przyjdziemy, kiedy przyjdziemy. Boże, działasz mi na nerwy!

Wyszedłem i wsiadłem do samochodu. Przyszła za mną, sprawdziła w lusterku, czy ma dobrze uszminkowane usta, i przez dłuższą chwilę jechaliśmy w milczeniu.

– Z kim tak długo rozmawiałaś przez telefon?

– Z mamą. – Wenche przeciągnęła palcem pod dolną wargą.

– Tak długo? I to pięć minut przed spotkaniem?

– A jest zakaz?

– Ktoś jeszcze dzisiaj będzie?

– Ktoś jeszcze?

– Oprócz nas i twoich rodziców. Skoro tak się wystroiłaś.

– Chyba nic nie szkodzi, jeśli człowiek dobrze wygląda na obiedzie? Ty na przykład mogłeś włożyć ten czarny blezer, żebyś nie wyglądał tak, jakbyś się wybierał na działkę.

– Twój ojciec będzie w tym swoim swetrze robionym na drutach, więc ja też się tak ubrałem.

– On jest od ciebie starszy. Nie zaszkodzi okazać trochę szacunku.

– Szacunku, no właśnie – mruknąłem.

– Co?

Pokręciłem głową na znak, że to nieważne. Chciałem trzymać sznurek.

– Ładne kolczyki – rzuciłem, nie odrywając wzroku od drogi.

– Dziękuję – odpowiedziała trochę jakby zdziwionym tonem, a ja kątem oka dostrzegłem, że odruchowo sięgnęła do ucha.

– Ale dlaczego nie nosisz tych, które dostałaś ode mnie na Gwiazdkę? – spytałem.

– Przecież noszę je cały czas.

– No to dlaczego dzisiaj nie?

– Okropnie marudzisz.

Widziałem, że ciągle dotyka ozdób w uszach, czegoś ze srebra.

– Te kolczyki dostałam od mamy, więc może będzie jej przyjemnie, jak zobaczy, że je noszę, w porządku?

– O rany, pewnie. Tak tylko spytałem.

Westchnęła, pokręciła głową i nie musiała powtarzać. Tego, że działam jej na nerwy.

– Słyszałem, że już niedługo dostaniesz licencję taksówkową – powiedział ojciec Wenche, wbijając wielki trójzębny widelec do serwowania w plaster suchej pieczeni wołowej i przenosząc go na własny talerz. Jeszcze nie próbowałem mięsa, ale wiedziałem, że pieczeń jest jak podeszwa. Zawsze podawali pieczeń wołową, kiedy przychodziłem, i zawsze była sucha. Czasami wyobrażałem sobie, że to taki test, że tylko czekają na dzień, kiedy cisnę talerzem o ścianę i ryknę, że dłużej tego nie zniosę, ani ich, ani ich pieczeni, ani ich córki. A oni wtedy odetchną z ulgą.

– Tak, Brorson przejmie licencję latem, kiedy jego wuj przejdzie na emeryturę, a ja będę wtedy następny na liście.

– Jak myślisz, ile to może potrwać?

– Zależy od tego, kiedy kolejny taksówkarz zrezygnuje.

– Tyle rozumiem. Pytam o to, kiedy to będzie.

– Cóż, Ruud jest najstarszy, ma pewnie jakieś pięćdziesiąt pięć lat.

– To znaczy, że jeszcze z dziesięć może pojeździć?

– Owszem. – Podniosłem do ust szklankę z wodą. Wiedziałem, że jama ustna potrzebuje płynu, żeby poradzić sobie z tym żuciem, które ją czekało.

– Czytałem niedawno, że Norwegia ma najdroższe taksówki na świecie – ciągnął mój teść. – Może to nic dziwnego, kiedy się pomyśli, że mamy też najbardziej dysfunkcyjną branżę taksówkową. Ci durni politycy pozwalają, żeby łobuzy z branży łupiły ludzi pozbawionych innych możliwości transportu. A w każdym innym kraju zaproponowano by im rozsądne rozwiązanie transportowe.

– Chyba masz na myśli Oslo – powiedziałem. – Poziom kosztów jest przecież u nas w kraju wysoki.

– Są kraje droższe niż Norwegia – kontynuował teść. – A taksówki w Oslo są nie tylko najdroższe na świecie, to po prostu zupełnie inna liga. Podobno pięć kilometrów w Oslo w ciągu dnia kosztuje o dwadzieścia procent więcej niż w drugim z kolei najdroższym na świecie mieście, Zurychu. I pięćdziesiąt procent więcej niż w Luksemburgu, który zajmuje trzecie miejsce. Tak, tak, rozbijacie w proch wszelką konkurencję na tej

liście. Wiedziałeś, że w Kijowie, z kolei wcale nie najtańszym mieście na świecie, za cenę kursu taksówką w Oslo możesz wynająć nie dwie taksówki, nie trzy, nie pięć i nie dziesięć, ale dwadzieścia? W Kijowie można przewieźć całą szkolną klasę za cenę przetransportowania jednego nieszczęśnika na dworzec tutaj.

– W Oslo – powiedziałem, poruszając się na krześle. Kolczyk w kieszeni ukłuł mnie w udo. – Nie tutaj.

– Dlatego dziwi mnie – podjął ojciec Wenche, wycierając wąskie wargi serwetką, podczas gdy jego żona dolewała mu wody do szklanki – że norweski taksówkarz, nawet taki, który jest tylko wynajęty, nie może zarobić przyzwoitej rocznej pensji.

– No właśnie.

– Dobrze, no to powiem. W Oslo wydaje się tyle licencji, że trzeba podnosić ceny, aby właściciele taksówek mogli utrzymać swój wysoki standard życia, przez co jest mniej klientów i ceny znów trzeba podnosić. W ten sposób w końcu tych nielicznych, pozbawionych innych możliwości transportu, obdziera się ze skóry, żeby mogli utrzymać całą hordę taksówkarzy, którzy bezczynnie wystają na postojach, drapią się w tyłek i skarżą na bezrobotnych. Natomiast w praktyce to oni są bezrobotni, tyle że na ich zasiłek płacą pasażerowie. Więc kiedy zjawia się Uber i może trochę zamieszać w tej popapranej branży, związek taksówkarzy i jego oszukujący na podatkach członkowie wściekają się i domagają monopolu dla siebie, żeby płacono im za stanie na parkingu. A jedynym wygranym jest Mercedes, który może sprzedawać nikomu niepotrzebne samochody.

Nie mówił wcale głośniej, tylko dobitniej, i wiedziałem, że Wenche patrzy na mnie z pewnym rozbawieniem. Lubiła, kiedy jej ojciec dyktował mi, co mam robić. Powiedziała wprost, że on słowem i czynem pokazuje, jak powinien zachowywać się mężczyzna, a ja powinienem potraktować to jako cenną naukę.

– W każdym razie taki mam plan – stwierdziłem.

– Jaki?

– Doczekać się licencji, potem kupić nikomu niepotrzebnego mercedesa. – Roześmiałem się, ale nikt inny przy stole nawet się nie uśmiechnął.

– Bo widzicie, Amund jest dokładnie taki sam jak taksówkarze w Oslo – stwierdziła Wenche. – Lubi stać w kolejce z nadzieją, że coś dobrego prędzej czy później się wydarzy. Nie jest człowiekiem czynu jak niektórzy.

Włączyła się matka Wenche i zmieniła temat, nie pamiętam na jaki. Wiem tylko, że siedziałem i żułem wołu, który także musiał mieć ciężkie życie. I zastanawiałem się, kogo Wenche miała na myśli, mówiąc o niektórych.

– Możesz mnie wysadzić przy pubie – powiedziała Wenche, kiedy jechaliśmy już do domu.

– Teraz? Przecież jest już dziewiąta.

– Dziewczyny tam są. Umówiłyśmy się, że zrobimy sobie dzisiaj powtórkę z piwem.

– Może to i dobry pomysł. Ja też bym...

– Chodzi o to, żeby na chwilę oderwać się od dzieci i od facetów.

– Mogę usiąść przy innym stoliku.

– Amund!

Nie wolno ci ściskać tak mocno, pomyślałem, bo dostaniesz skurczu w ręce i stracisz czucie, przestaniesz czuć sznurek.

Kiedy wróciłem sam do domu, poszedłem do sypialni i zacząłem przeszukiwać szufladę, w której Wenche trzyma swoje drobiazgi. Otwierałem etui od jubilera, oglądałem pierścionki i złote łańcuszki, jeden wydał mi się zupełnie nowy i nie mogłem sobie przypomnieć, żebym go widział wcześniej. Wreszcie doszedłem do kolczyków. Najpierw puste pudełeczko, pewnie w nim trzymała te srebrne, które dziś włożyła. Dalej para dość niezwykłych kolczyków, każdy z nich miał perłę i niebieskie kółeczko okrążające ją jak wąski równik. Dostała je od ojca na dwudzieste urodziny i nazywała kolczykami Saturna. Ale tych, które sam jej dałem, nie

znalazłem, nie było też etui od nich. Sprawdziłem inne szuflady. Szafy z ubraniem. Kosmetyczkę, torebki, kieszenie żakietów i spodni. Nie ma. Co to mogło oznaczać?

Poszedłem do kuchni, wziąłem z lodówki piwo i usiadłem przy kuchennym stole. Nie znalazłem żadnego dowodu i nie mogłem mieć pewności, ale i tak wiedziałem, że nie ma już okrężnej drogi. Że muszę przez to przejść i przesortować myśli, które częściowo już przyszły mi do głowy, lecz które odrzuciłem, odsuwając je do czasu, aż znajdę pudełeczko z drugim kolczykiem. Do czasu, aż będę miał pewność.

Wcale nie podejrzenie o gorącym flircie Wenche na tylnym siedzeniu dręczyło mnie najbardziej, tylko to, że Palle zaprzeczył, jakoby wiózł Wenche wczoraj wieczorem. Dlaczego miałby w tej kwestii kłamać? Istniały jedynie dwie możliwe odpowiedzi. Albo nie chciał donosić, może wręcz ona go o to poprosiła. Albo to sam Palle zajął miejsce na tylnym siedzeniu. A teraz, kiedy już dopuściłem do siebie tę myśl, oczywiście nie dałem rady odciąć całej reszty i wyobraziłem sobie wąski tyłek Pallego rytmicznie wbijający się w Wenche, która wykrzykiwała jego imię, tak jak wykrzykiwała moje wtedy na boisku i przez pierwszy rok, dopóki się nie pobraliśmy. Od tych wyobrażeń poczułem mdłości. Właśnie tak. Wenche była najlepszą, a zarazem najgorszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła, ale – co ważniejsze – była jedyną, jaka mi się przydarzyła. Nie żebym był prawiczkiem, kiedy ją poznałem, ale tamte inne dziewczyny mogli mieć wszyscy. Wenche jako jedyna pozwoliła mi mocno podnieść poziom poczucia pewności siebie już przez samo to, że zgodziła się ze mną przespać. W miarę, jak płynął czas i stawało się dla niej coraz wyraźniejsze, że mogłaby trafić lepiej, zadbała oczywiście o to, aby owo poczucie zmniejszyć. Ale nigdy do poziomu sprzed związania się z nią. Wenche była i pozostała moim balonem wypełnionym helem. Dopóki trzymałem mocno za jego sznurek, czułem się nieco lżejszy, miałem więcej energii do życia.

Tak więc pozostawały mi dwie możliwości. Rzucenie jej w twarz dowodów i faktów. Albo trzymanie gęby na kłódkę i udawanie, że nic się

nie stało. Wyjście numer jeden wiązało się z utratą i Wenche, i pracy, w każdym razie jeśli to Palle ją posuwał.

Wyjście numer dwa oznaczało ryzyko utraty szacunku dla samego siebie.

Niezwłocznie wybrałem to drugie.

Ale wyjście numer jeden, konfrontacja, oczywiście wiązało się też z możliwością, że Wenche zupełnie inaczej wytłumaczy, dlaczego jej kolczyk trafił w szparę między siedzeniami. Przedstawi wyjaśnienie, które będę mógł uznać za wiarygodne. Dzięki któremu nie musiałbym do końca życia wizualizować sobie starej, ale twardej jak piłka dupy Pallego. I być może taka konfrontacja – pokazanie Wenche, że gotów jestem zaryzykować wszystko – uzmysłowiłaby jej, że wcale, do cholery, nie jestem kimś, kto tylko czeka, aż coś się wydarzy, że sam potrafię coś zdziałać, być kowalem własnego losu. Że to, do cholery, nie moja wina, że przepisy dotyczące licencji na taksówkę są takie, a nie inne.

Tak, czułem, że konfrontacja jest konieczna.

Otworzyłem jeszcze jedno piwo i zacząłem czekać. Pociłem się i czekałem.

Na lodówce wisiało zdjęcie, byliśmy na nim razem z grupą przyjaciół. Zrobiono je osiem lat temu podczas naszego wesela i wszyscy wyglądaliśmy na nim tak młodo, o wiele młodziej, niż wskazywałoby tych osiem lat. Cholera, ależ byłem tamtego dnia dumny! I szczęśliwy. Tak, wydaje mi się, że mogę tak powiedzieć, szczęśliwy. Wciąż bowiem byłem w takim wieku, kiedy człowiekowi się wydaje, że wszystko dobre, co mu się przytrafia, jest początkiem czegoś, a nie końcem. Teraz przez myśl mi przemknęło, że tamten dzień, tamte miesiące, może tamten jeden rok, miały być całym tym szczęściem, jakie życie jest gotowe mi ofiarować. Wtedy nie wiedziałem, do cholery, że stoję na szczycie, więc nie poświęciłem czasu na napawanie się roztaczającym się stamtąd widokiem, tylko ciągle wierzyłem, że można się wznieść na nowe wyżyny. Widziałem to zdjęcie wiszące tu przez kilka tysięcy dni, ale tego wieczoru na jego widok zbierało mi się na płacz. I w końcu się rozpłakałem.

Spojrzałem na zegarek. Jedenasta. Otworzyłem jeszcze jedno piwo. Tłumiło ból, ale tylko trochę.

Właśnie miałem otworzyć czwarte, kiedy zadzwonił telefon.

Rzuciłem się do niego błyskawicznie. To musiała być Wenche.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno – rozległ się kobiecy głos. – Nazywam się Eirin Hansen. Czy rozmawiam z Amundem Stensethem, kierowcą taksówki?

– Tak, słucham.

– Dostałam pański numer od Pallego Ibsena. Jeśli dobrze zrozumiałam, to może pan mieć kolczyk, który wczoraj zgubiłam w jego taksówce.

– Jaki to...

– Zwykły kolczyk z perłą – powiedziała Eirin Hansen.

Gdyby stała w kuchni, objąłbym ją. Wewnętrzna radość, która mnie ogarnęła, była tak ogłuszająca, iż pomyślałem, że ona chyba musi ją usłyszeć.

– Tak, mam go.

– Ach, co za ulga! To prezent od matki.

– No to tym lepiej, że się znalazł. – Jakie to fantastyczne, pomyślałem, że ja i Eirin Hansen, kompletnie obca osoba, możemy wspólnie przeżywać taką radość i taką ulgę przez telefon. – Czy to nie dziwne, że dzień, w którym dostaje się złe wiadomości, jednak nieuzasadnione, potrafi być lepszy niż dzień, zanim te złe wiadomości się dostało?

– Nie zastanawiałam się nad tym, ale może pan mieć rację. – Roześmiała się.

Wiem, że to euforia, ale śmiech Eirin Hansen był taki ładny, a ona sama wydała mi się dobrym człowiekiem. Tak, po brzmieniu jej głosu uznałem, że musi być piękna.

– Kiedy i gdzie mogę... hm... odebrać ten kolczyk?

Przez moment byłem bliski zaproponowania, że zaraz go jej przywiozę, ale odzyskałem kontrolę nad myślami i uczuciami, które się przeze mnie

przewalały.

– Jutro jeżdżę taksówką w ciągu dnia – powiedziałem. – Proszę do mnie zadzwonić, to powiem, kiedy będę na postoju przy kiosku. Tak czy owak, nie będę daleko.

– Świetnie, Amund, bardzo dziękuję.

– Nie ma za co, Eirin.

Rozłączyliśmy się. Wciąż czując śpiewającą we mnie radość, dopiłem piwo.

Wenche wsunęła się do łóżka tuż po północy. Na pewno się zorientowała, że nie śpię, a mimo to zachowywała się cicho i poruszała ostrożnie. Słyszałem, że leży za moimi plecami, wstrzymując oddech i nasłuchując mojego oddechu. W końcu zasnąłem.

Dzień później obudziłem się spięty i podniecony.

– Co się z tobą dzieje? – spytała Wenche przy śniadaniu.

– Nic – odpowiedziałem. – Ciągle nie założyłaś kolczyków ode mnie.

– Przestań marudzić – jęknęła. – Pożyczyłam je Torill. Tak jej się podobały, że chciała mieć je na imprezę w firmie. Mam się z nią spotkać wieczorem, wtedy mi je odda, okej?

– Cieszę się, że również innym podobają się na tobie.

Popatrzyła na mnie dziwnie, a ja dopiłem kawę i lekkim, niemal tanecznym krokiem wyszedłem z domu.

Czułem się jak nastolatek przed pierwszą randką. Cieszyłem się, a jednocześnie się bałem.

Kiedy zaparkowałem u Pallego, przesiadłem się do taksówki i na luzie zjechałem w dół. Poczułem, że pedał hamulca chodzi jeszcze bardziej opornie. Zadzwoniłem do warsztatu i spytałem Todda, czy mógłby się tym zająć jutro.

– Jasne, ale gdybyś przyjechał dzisiaj, mielibyśmy więcej czasu – powiedział Todd.

Nie odpowiedziałem.

– Rozumiem. – Roześmiał się. – To Palle ma jutro dzienną zmianę i masz serdecznie dość tego, że to ciągle ty musisz tracić czas w warsztacie.

– Dzięki – rzuciłem tylko.

O dziesiątej zadzwonił telefon.

Zobaczyłem na wyświetlaczu, że to Eirin.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć – odpowiedziała, jakby wiedząc, że nie musi się przedstawiać, bo rozpoznaję jej numer. Czy w jej głosie też nie było napięcia, czy nie brzmiał prawie nerwowo? Może nie, może tylko ja chciałem, żeby tak było.

Umówiliśmy się na postoju o wpół do jedenastej. Miałem krótki kurs, później zaparkowałem i przepuściłem taksówki Gelberta i Axelsona. Czekając, starałem się nie myśleć, ponieważ wszystkie wyobrażenia, wszelkie oczekiwania walczące o miejsce w moim mózgu, były bezsensowne. Przecież wkrótce miałem poznać prawdę.

Otworzyły się drzwiczki przy siedzeniu pasażera i poczułem zapach, zanim jeszcze usłyszałem głos. Ukwiecona łąka przed domkiem letniskowym w czerwcu. Jabłka w sierpniu. Zachodni wiatr na morzu w październiku. Tak, tak, wiem, że przesadzam, ale takie miałem skojarzenia.

– Jeszcze raz dzień dobry. – Była lekko zdyszana, jakby szybko szła. Może trochę starsza, niż to sobie wyobrażałem. Głos miała młodszy niż twarz, jeśli mogę tak to wyrazić. Może o mnie myślała podobnie, może przez telefon wydawałem jej się bardziej atrakcyjny, nie wiem. Ale co do tego, że Eirin kiedyś była piękna, nie miałem wątpliwości. Do wzięcia, pomyślałem. Tak, przyszło mi do głowy to określenie. Określenie Pallego. Do wzięcia. Czy wziąłbym ją? Tak, wziąłbym. – Bardzo dziękuję, że zaopiekowałeś się kolczykiem, Amund.

A więc od razu przystąpiła do sprawy. Jakby chciała mieć to za sobą. Nie wiem, czy powodem było zawstydzenie, zdenerwowanie, czy może rozczarowanie.

– Proszę. – Podałem jej kolczyk. – To znaczy, jeśli znalazłem ten właściwy.

Obejrzała go, obracając w palcach.

– O tak – powiedziała powoli. – Znalazłeś ten właściwy.

– To dobrze. Jest na tyle rzadki, że niełatwo byłoby dobrać coś podobnego do pary.

– To prawda, to prawda. – Pokiwała głową, patrząc na kolczyk, jakby nie miała odwagi spojrzeć na mnie. Jakby wtedy mogło wydarzyć się coś, czego nie chciała.

Nie odezwałem się. Czułem tylko pulsowanie w szyi, tak mocne, że gdybym spróbował coś powiedzieć, na pewno drżenie głosu by mnie zdradziło.

– Dziękuję jeszcze raz. – Eirin po omacku szukała klamki. Pewnie tak jak ja wpadła w lekką panikę. Oczywiście, miała przecież obrączkę na palcu. Była umalowana, ale przedpołudniowe światło okazało się bezwzględne. Była co najmniej pięć, może dziesięć lat starsza ode mnie. Ale do wzięcia. I zdecydowanie była do wzięcia wtedy, gdy ja byłem zaledwie chłopcem.

– Znasz Pallego? – spytałem bez drżenia w głosie.

Zawahała się.

– Znam, jak znam.

Niczego więcej nie potrzebowałem. Kolczyk nie spada sam z siebie, jeśli siedzi się prosto. Zerknąłem w boczne lusterko, trochę się przekrzywiło i trzeba było je przykręcić.

– Wygląda na to, że mam kurs – oświadczyłem.

– Aha, no tak. Ale jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma za co.

Wysiadła, a ja patrzyłem, jak idzie przez plac.

Nie wiedziała o tym, nikt nie wiedział, ale właśnie wyszedłem z więzienia. Stałem na zewnątrz, wdychając niezwykłe powietrze, czując

nową przerażającą wolność. Teraz chodziło jedynie o to, by iść dalej, wykorzystać tę wolność, nie popaść z powrotem w dawne nawyki i nie trafić znów za kraty. Na pewno sobie z tym poradzę. I następnym czynem udowodnię to samemu sobie.

Kiedy wybiła piąta, miałem za sobą dobry dzień. Dostałem nawet napiwek. Coś, co nie trafiało mi się prawie nigdy. Czy to z powodu mojego niezwykle dobrego humoru, mojego, można rzec, nowego ja?

Zaparkowałem taksówkę w garażu Pallego. Na ścianie wisiały tam narzędzia i poświęciłem dwadzieścia minut na zrobienie tego, co należało zrobić.

Wsiadłem do własnego samochodu, zadzwoniłem do Wenche i powiedziałem jej, że kupiłem butelkę białego wina do obiadu, tej marki, którą tak lubiła.

– Co się z tobą dzieje? – spytała znów, ale tym razem bez irytacji, którą okazywała przy śniadaniu. Niemal z ciekawością. No tak, teraz, gdy czułem się nowym człowiekiem, zapewne mogłem być nowy również dla niej.

Nuciłem piosenkę, kierując samochodem jedną ręką. Kierowałem. Lubiłem kierować. Wolną rękę wsunąłem do kieszeni spodni, myśląc o płynie hamulcowym, który wypuściłem w garażu. Ciekaw byłem, co Palle ma na Eirin. A może oboje mieli coś na siebie nawzajem? Zastanawiałem się, jak długa historia ich łączy. Długa i dostatecznie zawiła, aby mógł ją poprosić o pomoc, gdy zrozumiał, że powiążę kolczyk z nim i z Wenche. Na pewno zadzwonił do Wenche natychmiast po moim telefonie z pytaniem o kolczyk, a ona od razu schowała pudełeczko z tym od pary. Pomysł, że pożyczyła kolczyki przyjaciółce, był niezły, rzeczywiście planowała wieczorne wyjście, ale nie z Torill czy innymi przyjaciółkami. Zamierzała się spotkać z Pallem, a on według planu miał już mieć kolczyk, który dałem Eirin. Ale Wenche nigdy nie dostanie tego kolczyka od Pallego. Chociaż on na pewno nie zwrócił uwagi na wygląd kolczyków Wenche, kiedy leżeli na tylnym siedzeniu. Nie, z całą pewnością nie zareagował na to, że perłę w kolczyku przyniesionym przez Eirin otacza niebieski równik.

Wenche nie dostanie jednak dziś wieczorem od Pallego ani kolczyka Saturna, ani tego, który zgubiła. Nigdy też nie zrozumie, że zostali oszukani. Bo Pallego od dzisiejszego popołudnia nie będzie już, jak to się mówi, wśród nas. Wenche zatem będzie musiała poprzestać na tym, co ma. Na mnie. Ale chyba jej się spodobam. Ten nowy ja. Ten, który jest następny w kolejce do przejęcia licencji na taksówkę po nagłej śmierci Pallego Ibsena. Uśmiechnąłem się do siebie w lusterku. Kierowałem samochodem, wolną rękę trzymając w kieszeni i zaciskając palce na sztyfcie kolczyka z perłą, który kiedyś podarowałem Wenche. Trzymałem go swobodnie, lecz jednocześnie pewnie. Tak jak trzeba trzymać sznurek od balonu.

ZAZDROŚĆ

Wyjrzałem na śmigło na skrzydle czterdziestoosobowego ATR 72. W dole, skąpana w morzu i blasku słońca, ukazała się wyspa w kolorze pustyni. Żadnej widocznej roślinności, jedynie żółtobiały wapień. Kalimnos.

Kapitan poinformował, że przy lądowaniu mogą wystąpić turbulencje. Zamknąłem oczy i odchyliłem się w fotelu. Od dzieciństwa wiedziałem, że umrę, spadając. A konkretnie: spadnę z nieba do morza i utonę. Pamiętam nawet dzień, w którym pojawiła się ta pewność.

Mój ojciec był jednym z zastępców dyrektora rodzinnej firmy, której szefował jego starszy brat, stryj Hector. My, dzieci, uwielbialiśmy Hectora, ponieważ zawsze miał dla nas prezenty i pozwalał nam wsiadać do swojego samochodu, jedynego rolls-royce'a kabrioletu w całych Atenach. Ojciec z reguły wracał z biura, kiedy już leżałem w łóżku, ale tego wieczoru przyszedł wcześnie. Wyglądał na zmęczonego, a po obiedzie długo rozmawiał z dziadkiem przez telefon w gabinecie. Poznałem po głosie, że jest zły. Kiedy się położyłem, usiadł na moim łóżku, a gdy poprosiłem, żeby opowiedział mi bajkę, zastanowił się przez chwilę, a potem zaczął mówić o Ikarze i jego ojcu. Mieszkali w Atenach, ale to na Krecie ojciec, słynny i bogaty rzemieślnik, z piór połączonych woskiem zrobił parę skrzydeł, za pomocą których latał po niebie. Ludzie, widząc ten wyczyn, nie mogli wyjść z podziwu i rodzina cieszyła się wielkim szacunkiem. Ojciec oddał skrzydła swojemu synowi Ikarowi, przykazując mu, by leciał dokładnie tą samą trasą, a wtedy wszystko będzie dobrze. Ale Ikar chciał pofrunąć gdzie indziej i wzbić się jeszcze wyżej niż ojciec, a kiedy poczuł wiatr w skrzydłach i upojenie wysokością ponad ziemią i innymi ludźmi, zapomniał, że znalazł się tak wysoko nie dzięki swojej nadludzkiej zdolności latania, tylko dzięki skrzydłom podarowanym mu przez ojca. W swoim zadufaniu wzleciał jeszcze wyżej niż ojciec i za bardzo zbliżył się do słońca, które roztopiło wosk spajający pióra. Ikar wpadł do morza. I w morzu utonął.

Kiedy podrosłem, sądziłem zawsze, że lekko zmieniona przez ojca wersja mitu o Ikarze miała być wczesnym ostrzeżeniem dla jego najstarszego syna. Ponieważ Hector był bezdzietny, to ja miałem poprowadzić firmę, gdy przyjdzie na to pora. Dopiero po latach dowiedziałem się, że w tamtym czasie firma była bliska bankructwa z powodu bezmyślnych spekulacji Hectora na kursie złota i że dziadek go wyrzucił, ale dla pozoru pozwolił mu zachować tytuł i gabinet. W praktyce szefem firmy został mój ojciec. Nigdy się nie dowiedziałem, czy historia, którą opowiedział mi, siedząc na brzegu mojego łóżka, była przeznaczona dla mnie, czy dla stryja Hectora, musiała jednak wywrzeć na mnie wrażenie, bo od tamtego wieczoru miewam koszmary: śni mi się, że spadam i tonę. Niekiedy ten sen niesie ze sobą ciepło i przyjemność, przestaje w nim istnieć wszystko, co złe. Kto powiedział, że nie można śnić o tym, że się umiera?

Samolotem zatrzęsło, usłyszałem krzyki innych pasażerów, gdy dwukrotnie wpadliśmy w tak zwane kieszenie powietrzne. Przez sekundę albo dwie miałem wrażenie nieważkości i uczucie, że ta chwila właśnie nadeszła, chociaż oczywiście tak nie było.

Kiedy wysiedliśmy z samolotu, grecka flaga na maszcie przy malutkim budynku terminalu prężyła się rozciągnięta. Mijając kokpit, usłyszałem, jak kapitan mówi do stewardesy, że lotnisko właśnie zamknięto, raczej więc nie uda im się wrócić do Aten.

Ruszyłem za pozostałymi pasażerami wędrującymi do terminalu. Przy taśmie bagażowej stał mężczyzna w niebieskim policyjnym mundurze i obserwował przybyłych. Podszedłem do niego. Spojrzał na mnie pytająco, a ja na potwierdzenie skinąłem głową.

– Georgios Kostopoulos – przedstawił się, wyciągając do mnie wielką rękę, której grzbiet porastały długie czarne włoski. Uścisk dłoni miał mocny, ale bez przesady, jak się niekiedy zdarza, gdy kolegom z prowincji wydaje się, że muszą się mierzyć ze stolicą.

– Dziękuję, że mógł pan przylecieć tak szybko, panie Balli.

– Mów mi Nikos – powiedziałem.

– Przepraszam, że cię nie rozpoznałem, ale nie ma za dużo twoich zdjęć, poza tym sądziłem, że jesteś... hm... starszy.

Zostałem obdarzony – podobno po matce – tego rodzaju urodą, która niewiele traci wraz z upływem czasu. Włosy mi posiwiały, a loki gdzieś przepadły, ale poza tym była nienaruszona. W dodatku utrzymywałem swoją zwykłą wagę wynoszącą siedemdziesiąt pięć kilogramów, chociaż przy pewnej redukcji masy mięśniowej.

– Pięćdziesiąt dziewięć lat to twoim zdaniem za mało?

– O rany, pewnie, że nie. – Jego głos przybrał ton odrobinę, jak przypuszczałem, głębszy niż naturalny, a pod wąsem z rodzaju tych, jakie mężczyźni w Atenach zgolili dwadzieścia lat temu, pojawił się uśmiech. Ale spojrzenie pozostało łagodne. Czułem, że z Georgiosem Kostopoulosem nie będę mieć kłopotów. – Chodzi mi tylko o to, że słyszałem o tobie już na studiach w Akademii Policyjnej, a to według mnie bardzo dawno temu. Masz więcej bagażu?

Spojrzał na torbę, którą trzymałem w ręku. Mimo to przez moment odniosłem wrażenie, że pyta o coś więcej niż o rzeczy, które przywiozłem ze sobą. I tak nie mógłbym mu na to odpowiedzieć. Być może podróżuję z bagażem cięższym niż większość ludzi, ale jest on tego typu, że trzeba go dźwigać samemu.

– Tylko podręczny – odparłem.

– Mamy Franza Schmida, brata tego zaginionego, na posterunku w Pothii – poinformował Georgios, kiedy wyszliśmy z terminalu i skierowaliśmy się do niedużego zakurzonego fiata z poplamioną przednią szybą. Domyślałem się, że zaparkował pod piniami, żeby samochód nie nagrzał się na słońcu. Na szybę skapnęła lepka żywica, którą w końcu trzeba będzie zeskrobywać nożem. Tak to już bywa. Podnosisz gardę, żeby osłonić twarz, i jednocześnie odsłaniasz serce. I odwrotnie.

– Przeczytałem raport w samolocie – oświadczyłem, kładąc torbę na tylnym siedzeniu. – Powiedział coś więcej?

– Nie. Trzyma się swojej historii. Jego brat Julian opuścił ich pokój o szóstej rano i już nie wrócił.

– W raporcie było napisane, że Julian poszedł popływać.

– Tak twierdzi Franz.

– Ale ty mu nie wierzysz?

– Nie.

– Przypadki utonięcia nie są chyba niczym niezwykłym na takiej wyspie wakacyjnej jak Kalimnos.

– Owszem. I uwierzyłbym Franzowi, gdyby nie to, że poprzedniego wieczoru bracia pobili się w obecności świadków.

– Tak, czytałem.

Toczyliśmy się wąską wyboistą drogą w stronę doliny z nagimi drzewami oliwkowymi i białymi murowanymi domkami po obu stronach szosy wyglądającej na główną.

– Właśnie zamknęli lotnisko – stwierdziłem. – Przypuszczam, że z powodu wiatru.

– Ciągle tak się dzieje – wyjaśnił Georgios. – To skutek wybudowania lotniska w najwyższym punkcie wyspy.

Rozumiałem, o co mu chodzi, bo gdy tylko zjechaliśmy między zbocza gór, flagi obwisły wzdłuż masztów.

– Mój wieczorny samolot powrotny na szczęście odlatuje z Kos – powiedziałem.

Nasza sekretarka w wydziale zabójstw sprawdziła trasę, zanim szef pozwolił mi wyjechać. Wprawdzie sprawy, w które zamieszani są zagraniczni turyści, rzadko miewają dla nas priorytet, zgodził się jednak na mój wyjazd, pod warunkiem że zajmie mi to tylko jeden dzień roboczy. Chociaż zwykle miałem dużo swobody, również legendarny śledczy Balli musiał się podporządkować obostrzeniom budżetowym. W dodatku, jak powiedział mój szef, w tej sprawie nie ma ani zwłok, ani medialności, ani nawet uzasadnionych podejrzeń, że doszło do zabójstwa.

Wieczorem z Kalimnos nie odlatywał żaden samolot powrotny, ale był lot z międzynarodowego lotniska na wyspie Kos, oddalonej o czterdzieści minut przeprawy promowej z Kalimnos, dlatego w końcu szef burkliwie udzielił mi zgody. Przypomniał jeszcze tylko o obniżonych dietach i o tym, że mam unikać restauracji z wygórowanymi cenami dla turystów, chyba że zamierzam płacić za wyżywienie z własnej kieszeni.

– Obawiam się, że przy takiej pogodzie promy na Kos też nie będą kursować – zauważył Georgios.

– Przy jakiej pogodzie? Świeci słońce i prawie nie ma wiatru, wiało tylko na górze.

– Wiem, że stąd może to wyglądać całkiem niewinnie, ale przed dotarciem na Kos trzeba przepłynąć kawałek przez otwarte morze i na tym odcinku doszło do niejednej katastrofy przy takim słońcu jak dzisiaj. Zamówimy ci pokój w hotelu, może do jutra się uspokoi.

Po tym „może się uspokoi”, użytym zamiast typowego przesadnego optymizmu zawierającego się w „na pewno się uspokoi”, zrozumiałem, że prognozy pogody nie są dla mnie – czy dla mojego szefa – korzystne. Ze złością pomyślałem o skromnej zawartości swojej torby i z trochę mniejszą złością o szefie. Może uda mi się złapać tu chwilę zasłużonego oddechu. Jestem typem, którego trzeba zmuszać do wzięcia urlopu, nawet wtedy, kiedy wiem, że tego potrzebuję. Może dlatego, że jako człowiek nieżonaty i bezdzietny mam tak małą wprawę w urlopowaniu, że wakacje kojarzą mi się jedynie z marnowaniem czasu i tylko podkreślają moją samotność, będącą co prawda samotnością z wyboru.

– Co to jest? – spytałem, wskazując na zbocze góry po przeciwnej stronie. W otoczeniu stromych urwisk majaczyło tam coś, co wyglądało na wioskę, kompletnie jednak pozbawioną śladów życia. Przypominała model w szarym kamieniu, monotonne zbiorowisko malutkich niczym klocki Lego domków otoczonych murem w tym samym szarym kolorze.

– To Paleochora – wyjaśnił Georgios. – Dwunasty wiek, Bizantyjczycy. Mieszkańcy Kalimnos, widząc nadciągające wrogie statki, uciekali na górę i tam się chronili. Ludzie ukrywali się tam też, kiedy w tysiąc dziewięćset

dwunastym przybyli Włosi i gdy alianci bombardowali Kalimnos, będącą niemiecką bazą podczas drugiej wojny światowej.

– Wygląda mi to na *must see* – stwierdziłem, powstrzymując się od komentarza, że zarówno domki, jak i mury obronne nie prezentowały się szczególnie bizantyjsko.

– No cóż – powiedział Georgios. – Może niekoniecznie. Zamek wygląda lepiej z daleka, ostatni remont przeprowadzili rycerze z zakonu joannitów w szesnastym wieku. Wszystko zarasta, są śmieci, kozy, nawet kaplice bywają używane jako latryny. Możesz tam wejść, jeśli masz siłę wspinać się po schodach, choć ostatnio zeszła kamienna lawina, która jeszcze bardziej utrudnia dotarcie. Ale jeżeli jesteś tym bardzo zainteresowany, to zawsze mogę ci znaleźć przewodnika. Z całą pewnością będziesz miał to kamienne miasto tylko dla siebie.

Oczywiście czułem pokusę, ale pokręciłem głową. Zawsze pozwalam wodzić się na pokuszenie temu, co mnie do siebie nie dopuszcza. Niewiarygodnym opowieściom. Kobietom. Problemom logicznym. Ludzkim zachowaniom. Sprawom zabójstw. Wszystkiemu temu, czego nie rozumiem. Jestem człowiekiem o ograniczonym intelekcie, za to o nieograniczonej ciekawości. To, niestety, frustrująca kombinacja.

Pothia okazała się pełnym życia labiryntem niskich domów, ciasnych jednokierunkowych uliczek i zaułków. Wprawdzie sezon turystyczny już dawno minął, bo przecież zbliżał się listopad, na uliczkach i tak było jednak dużo ludzi.

Zaparkowaliśmy przed piętrowym domem w porcie, w którym cumowały obok siebie łodzie rybackie i niezbyt ekstrawaganckie jachty. Przy nabrzeżu stał nieduży prom samochodowy i drugi, ekspresowy, z siedzeniami dla pasażerów zarówno na dachu, jak i pod nim. Nieco dalej grupa osób, najwyraźniej zagranicznych turystów, dyskutowała z mężczyzną ubranym w coś w rodzaju marynarskiego uniformu. Część z nich miała plecaki ze zwojami liny wystającymi spod klapy; identyczne zauważyłem u niektórych pasażerów przybywających na wyspę tym samym samolotem co ja. Wspinacze. Z raju słońca i kąpieli Kalimnos w ciągu ostatnich

piętnastu lat zmieniła się w mekkę amatorów wspinaczki z całej Europy, ale stało się to już po tym, jak sam odłożyłem buty wspinaczkowe na półkę.

Mężczyzna w marynarskim mundurze rozłożył ręce, jakby dla podkreślenia, że niewiele jest w stanie zrobić, wskazywał przy tym na morze. Tu i ówdzie bieliły się na nim bałwany, ale fale nie były przerażająco wysokie, przynajmniej na tyle, na ile mogłem ocenić.

– Tak jak już mówiłem, problem znajduje się dalej i stąd nie jest widoczny. – Georgios najwyraźniej zinterpretował moją minę.

– Często tak bywa – westchnąłem, usiłując zaakceptować fakt, że na razie jestem uwięziony na tej wysepce, która z jakiegoś powodu wydawała mi się teraz jeszcze mniejsza niż z powietrza.

Georgios wszedł przede mną na posterunek i minął kontuar, a ja musiałem się witać na prawo i lewo w drodze przez ciasną, zabałaganioną wspólną przestrzeń biurową, w której przestarzałe wydawały się nie tylko meble, lecz również skrzynkowate monitory, automat z kawą i ogromnych rozmiarów kopiarka.

– Georgios! – zawołała kobieta zza ścianki działowej. – Dzwonił jakiś dziennikarz z „Kathimerini”. Pyta, czy to prawda, że aresztowaliśmy brata zaginionego. Powiedziałam, że poproszę, żebyś oddzwonił.

– Sama możesz zadzwonić, Christino. Powiedz, że nie dokonaliśmy żadnych aresztowań i że nie mamy żadnych komentarzy na temat tej sprawy.

Oczywiście rozumiałem, że Georgios pragnie spokoju i próbuje nie dopuścić do siebie rozhisteryzowanych dziennikarzy ani niczego innego, co zakłóciłoby mu pracę. A może chciał jedynie pokazać mnie, gościowi ze stolicy, że również tu, na prowincji są profesjonalistami. Dla dobra klimatu współpracy najlepszym rozwiązaniem było niewtrącanie się do tych spraw. Postanowiłem więc nie korzystać z własnego doświadczenia i nie tłumaczyć, że czepianie się słów z reguły okazuje się złą strategią w kontaktach z prasą. Oczywiście dopóki Franz Schmid dobrowolnie oddawał się do dyspozycji i odpowiadał na pytania, pod względem formalnym nie był aresztowany ani nawet zatrzymany. Ale kiedy wyjdzie

na jaw – i tu nie było żadnych „jeśli” – że Franz był przetrzymywany na posterunku godzinami, a policja sprawia wrażenie, że chciałaby to ukryć, stanie się to pożywką dla tego rodzaju spekulacji, z jakich żyje prasa. W podobnych sytuacjach lepiej odpowiadać trochę wymijająco, ale nieco bardziej otwarcie, na przykład, że policja ciągle rozmawia ze wszystkimi, którzy mogą nakreślić lepszy obraz okoliczności zdarzenia, wliczając w to brata zaginionego.

– Kawa i coś do jedzenia? – spytał Georgios.

– Dziękuję, ale wolałbym zacząć od razu.

Pokiwał głową i zatrzymał się przed jakimiś drzwiami.

– Tam siedzi Franz Schmid – szepnął.

– Okej. – Ja też zniżyłem głos, ale nie szeptałem. – Czy padło słowo „adwokat”?

Georgios pokręcił głową.

– Pytaliśmy, czy chce zadzwonić do ambasady albo do niemieckiego konsula na Kos, ale powiedział tylko: „A co oni mogą zrobić, żeby odnaleźć mojego brata?”.

– To znaczy, że nie mówiłeś o swoich podejrzeniach?

– Spytałem go o tę bójkę, ale jej nie komentowałem. On i tak na pewno rozumie, że jest jakiś powód, dla którego kazaliśmy mu czekać na twój przyjazd.

– A jak mnie przedstawiłeś?

– Jako specjalistę z Aten.

– Specjalistę od czego? Odnajdywania osób zaginionych? Czy odnajdywania zabójców?

– Nic takiego nie powiedziałem, a on nie pytał.

Pokiwałem głową, Georgios postał jeszcze przez parę sekund, dopóki nie zrozumiał, że nie wejdę do środka, jeśli on się nie oddali.

Pokój, do którego wszedłem, miał mniej więcej trzy na trzy metry. Jedyne światło wpadało przez dwa wąskie okna wysoko na ścianie. Obecna

w pokoju osoba zajmowała miejsce przy niedużym kwadratowym stoliku, na którym ustawiono dzbanek z wodą i szklankę. Stolik był wysoki, podobnie jak siedzący przy nim człowiek. Mężczyzna oba przedramiona położył na pomalowanym na niebiesko blacie, łokcie zgiął pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Ile mógł mieć wzrostu? Metr dziewięćdziesiąt? Był szczupły, rysy twarzy miał ostrzejsze, niż wskazywałby na to jego wiek dwudziestu ośmiu lat, i wyglądał na człowieka wrażliwego z natury. A może było tak tylko dlatego, że wydawał się spokojny, zadowolony z tego, że może tak siedzieć, jakby głowę miał do tego stopnia wypełnioną uczuciami i myślami, że nie potrzebował zewnętrznych bodźców. Na tej głowie nosił czapkę w poziome paski w kolorach rastafarian z malutką dyskretną trupią czaszką na brzegu. Spod czapki wystawały ciemne kędziory, takie jak sam kiedyś miałem. Oczy osadzone były tak głęboko, że nie udało mi się uchwycić jego spojrzenia. I w tej samej chwili uderzyło mnie, że jest w tym wszystkim coś znajomego. Minęła sekunda, zanim mój mózg zdołał się do tego dogrzebać. Okładka płyty, którą Monique miała w swoim pokoju w Oksfordzie. Townes van Zandt. Siedzi na niej przy podobnym stole, prawie w takiej samej pozycji, również z twarzą bez wyrazu, która mimo to wydaje się wrażliwa, taka naga i niczym nieosłonięta.

– *Kalimera* – zacząłem.

– *Kalimera* – odpowiedział.

– Nieźle, panie... – Spojrzałem na teczkę, którą wyjąłem z torby i położyłem przed sobą na stole. – ...Franz Schmid. Czy to znaczy, że mówi pan po grecku? – Pytanie to zadałem w swoim bardzo brytyjskim angielskim, a on odparł zgodnie z moimi przewidywaniami:

– Nie, niestety.

Miałem nadzieję, że tym pierwszym pytaniem zaznaczyłem pewien punkt wyjścia. Pokazałem, że jestem *tabula rasa*, że nic o nim nie wiem, że nie mam żadnych podstaw do jakiejkolwiek formy uprzedzeń i że będzie mógł – jeśli zechce – przeformułować swoją historię opowiadaną nowemu słuchaczowi.

– Nazywam się Nikos Balli i jestem komisarzem z wydziału zabójstw w Atenach. Jestem tu, żeby – mam nadzieję – usunąć wszelkie podejrzenia co do tego, że pański brat padł ofiarą jakiegoś przestępstwa.

– Sądzicie, że może tak być? – Pytaniu brakowało temperatury, napięcia. Franz Schmid wydał mi się człowiekiem usposobionym praktycznie, który pragnie jedynie poznać fakty. Albo właśnie takie chciał sprawiać wrażenie.

– Nie wiem, co sądzi miejscowa policja, mogę mówić tylko za siebie, a na razie nic nie sądzę. Wiem jedynie, że do zabójstw dochodzi rzadko. Zabójstwa jednak szkodzą Grecji jako celowi wyjazdów turystycznych na tyle, że gdy już dochodzi do takiego zdarzenia, musimy dochowywać wszelkiej staranności, aby świat widział i rozumiał, że nie traktujemy takich spraw lekko. Tak jak z wypadkami lotniczymi: trzeba znaleźć przyczynę i rozwiązać zagadkę, bo przecież wiadomo, że z powodu jednej niewyjaśnionej katastrofy bankrutowały całe linie lotnicze. Mówię to, aby wytłumaczyć, dlaczego będę pytać o szczegóły, które mogą się wydać irytująco nieistotne, zwłaszcza osobie, która właśnie być może straciła brata. I że może to zabrzmieć tak, jakbym był przekonany, że pan albo ktoś inny go zabił. Ale musi pan wiedzieć, że moim zadaniem jako śledczego zajmującego się zabójstwami jest zbadanie hipotezy zabójstwa i że powiedzie mi się w takim samym stopniu, jeśli uda mi się tę hipotezę odrzucić. I że bez względu na rezultat możemy się zbliżyć o krok do odnalezienia pańskiego brata. W porządku?

Franz Schmid uśmiechnął się krzywo, ale uśmiech nie dotarł do oczu.

– Mówi pan jak mój dziadek.

– Słucham?

– Metoda naukowa. Programowanie celu. Był jednym z tych niemieckich uczonych, którzy uciekli od Hitlera i pomogli Stanom Zjednoczonym skonstruować bombę atomową. My... – Urwał i potarł ręką twarz. – Przepraszam, marnuję pański czas, komisarzu. Niech pan pyta.

Spojrzenie Franza Schmida spotkało się z moim. Sprawiał wrażenie zmęczonego, lecz również czujnego. Nie wiedziałem, do jakiego stopnia mnie przejrzał, lecz w każdym razie jego wzrok miał w sobie czujność

świadczącą – na tyle, na ile mogłem to ocenić – o inteligencji. Mówiąc o „programowaniu celu”, ewidentnie nawiązywał do tego, że próbowałem pobudzić jego motywację, aby zechciał mi pomóc: ponieważ to mogło się przyczynić do odnalezienia jego brata. Była to standardowa manipulacja, taka jakiej można się spodziewać. Ale przypuszczałem, że Franz Schmid rozumiał także manipulację skrytą głębiej, będącą składnikiem metody przesłuchującego, która ma skłonić przesłuchiwanego do opuszczenia gardy. Dlaczego z góry niemal przeprosiłem za agresywność przesłuchania, które miało dopiero nastąpić, zrzucając przy tym winę na cynizm ekonomiczny władz greckich? Zrobiłem to, abym sam mógł wystąpić jako dobry, uczciwy gliniarz. Ktoś, komu Franz Schmid spokojnie może się zwierzyć.

– Zacznijmy od wczorajszego poranka, kiedy zniknął pański brat.

Słuchając opowieści Franza Schmida, obserwowałem mowę jego ciała. Wyglądał na cierpliwego, nie siedział wychylony, nie mówił szybko i głośno jak ludzie, którzy podświadomie sądzą, że ich zeznania stanowią klucz do rozwiązania jakiejś sprawy, a pragną, by została rozwiązana, lub chcą udowodnić swoją faktyczną niewinność. Ale nie zachowywał się również przeciwnie, nie skradał się, jakby krążył po polu minowym, nie wahał, a wyjaśnienia płynęły spokojnym równym strumieniem. Może dlatego, że przećwiczył je już w rozmowie z innymi. W każdym razie niewiele mi to powiedziało, często przekaz winnego bywa bardziej spójny i przekonujący niż niewinnego. Powodem może być to, że winny stawia się przygotowany i ma swoją opowieść gotową, niewinny natomiast wyrzuca z siebie niezredagowaną historię, opowiada wszystko tak, jak w danej chwili przychodzi mu do głowy. Chociaż więc obserwowałem i interpretowałem, mowa ciała Schmida miała dla mnie drugorzędne znaczenie. Moją specjalnością jest mimo wszystko opowieść.

Koncentrowałem się na jego słowach, lecz mój mózg, rzecz jasna, wyciągał wnioski również na podstawie innych obserwacji. Na przykład takich, że chociaż Franz Schmid nie miał brody, to jednak wydawał się

typem hipstera, jednym z tych, którzy noszą czapki i grube flanelowe koszule pod dachem, gdzie jest gorąco. Na wieszaku za jego plecami wisiała kurtka należąca do niego, sądząc po rozmiarze. Rękawy flanelowej koszuli były podwinięte, a nagie przedramiona nieproporcjonalnie umięśnione w porównaniu z resztą ciała. Mówiąc, od czasu do czasu przyglądał się koniuszkom własnych palców i delikatnie uciskał stawy, grubsze niż normalnie. Zegarkiem na lewym nadgarstku był tissot T-touch, wyposażony, jak wiedziałem, w wysokościomierz i barometr. Innymi słowy, Franz Schmid był wspinaczem.

Z przekazanych mi materiałów wynikało, że Franz i Julian Schmidowie to obywatele amerykańscy, zamieszkali w San Francisco, nieżonaci, że Franz pracuje jako programista w firmie IT, a Julian zajmuje się marketingiem znanego producenta sprzętu wspinaczkowego. Słuchając Franza, myślałem sobie o tym, jak jego amerykański angielski zdobył panowanie nad światem. I o tym, że mojej czternastoletniej bratanicy, rozmawiającej z koleżankami cudzoziemkami z międzynarodowej szkoły w Atenach, słuchało się tak, jakby występowała w amerykańskim filmie dla młodzieży.

Franz Schmid opowiedział mi, że zbudził się o szóstej rano w pokoju, który razem z bratem wynajmował tuż przy plaży w Masouri, osadzie odległej od Pothii o kwadrans jazdy samochodem. Julian już wstał i właśnie wychodził, co obudziło Franza. Julian jak każdego dnia rano zamierzał przepłynąć przez ośmiusetmetrową cieśninę na sąsiednią wyspę Telendos, tam i z powrotem. Pływał tak wcześnie, gdyż po pierwsze, dzięki temu braciom zostawało później jeszcze kilka godzin na wspinaczkę, zanim słońce zacznie nagrzewać najlepsze skalne ściany od dwunastej w południe. Po drugie, Julian wolał pływać nago, a zaczynało się rozjaśniać dopiero koło siódmej. A po trzecie, uważał, że zdradzieckie prądy w cieśninie są słabsze, zanim wzejdzie słońce i zerwie się wiatr. Zazwyczaj wracał na śniadanie o siódmej, ale tego dnia zwyczajnie się nie pojawił.

Franz zszedł po schodkach na częściowo zrujnowane kamienne nabrzeże w zacisznej zatoczce tuż poniżej domu. Duży ręcznik, który brat zabierał

zwykle ze sobą, leżał na samym brzegu, przyłożony kamieniem, aby nie zdmuchnął go wiatr. Franz go dotknął – ręcznik okazał się suchy. Spojrzał na morze, krzyknął w stronę łodzi rybackiej, która perkocząc, sunęła przez cieśninę, ale na pokładzie najwyraźniej nikt go nie usłyszał. Pobiegł z powrotem na górę i kazał gospodarzowi dzwonić na policję w Pothii.

Jako pierwsi zjawili się ratownicy górscy, grupa mężczyzn w pomarańczowych koszulach, którzy z zawodową powagą przemieszaną z panującym między nimi koleżeńskim żartobliwym tonem szybko spuścili na wodę dwie łodzie i rozpoczęli poszukiwania. Później pojawili się nurkowie. A na koniec policja. Policjanci kazali Franzowi sprawdzić, czy nie zniknęły jakieś ubrania brata, i przynajmniej zyskali potwierdzenie, że Julian nie przedostał się niezauważony do pokoju w czasie, kiedy Franz jadł śniadanie na dole, nie ubrał się i nie wyjechał.

Po przeczesaniu plaży od strony Kalimnos Franz z kilkoma kolegami wspinaczami wynajęli łódź i przeprawili się na Telendos. Policja z łodzi przeszukiwała brzeg, o którego ostre skały waliły fale, natomiast Franz z przyjaciółmi chodzili po domach rozrzuconych na zboczu, pytając, czy nikt nie widział nagiego pływaka wydostającego się na brzeg.

Kiedy wrócili, nie znalazłszy żadnego śladu, Franz poświęcił resztę wieczoru na obdzwonienie rodziny i znajomych i wyjaśnienie im sytuacji. Telefonowali również do niego dziennikarze, w tym kilku niemieckich, a on krótko skomentował sprawę. Mówił, że nie tracą nadziei i tak dalej. Tej nocy w ogóle nie spał, a nad ranem zadzwoniła policja z pytaniem, czy mógłby przyjechać na posterunek, żeby pomóc w śledztwie. Oczywiście się zgodził, a było to – Franz Schmid spojrzał na swojego tissota – osiem i pół godziny temu.

– Ta bójka – powiedziałem. – Niech mi pan opowie o bójce dzień wcześniej.

Pokręcił głową.

– To była po prostu idiotyczna kłótnia. Graliśmy w bilard w barze w hotelu Hemisphere. Wszyscy się lekko wstawiliśmy. Nagle Julian powiedział coś głupiego, ja mu się odciąłem, a potem rzuciłem w niego

kulą bilardową, trafiła go w głowę. Zwalił się na ziemię, a kiedy odzyskał przytomność, było mu niedobrze i wymiotował. Pomyślałem o wstrząsie mózgu. Dlatego wsadziłem Juliana do samochodu, żeby go zawieźć do szpitala w Pothii.

– Często się bijecie?

– W dzieciństwie często, teraz już nie. – Pogładził zarost na podbródku. – Ale nie zawsze dobrze znosimy alkohol.

– Rozumiem. No to zachował się pan po bratersku, zawożąc go do szpitala.

Franz krótko dmuchnął przez nos.

– Z czystego egoizmu. Chciałem, żeby go zbadali, bo musieliśmy wiedzieć, czy możemy wybrać się na długą drogę wspinaczkową, którą zaplanowaliśmy na następny dzień.

– Więc pojechaliście do szpitala.

– Tak. A raczej nie.

– Nie?

– Odjechaliśmy kawałek od Masouri, kiedy Julian zaczął nalegać, żebyśmy zawrócili, bo czuje się już lepiej. Tłumaczyłem mu, że nie zaszkodzi się przebadać, ale powiedział, że w Pothii możemy się natknąć na policję, a policjanci zaraz wywęszą, że prowadzę po pijaku, gdy tylko zobaczą, jak jadę. Wsadzą mnie do pudła, a on zostanie bez partnera do wspinaczki. Trudno było z tym dyskutować, więc zawróciliśmy.

– Ktoś widział, jak wracacie?

Franz dalej pocierał podbródek.

– Musiał być ktoś taki. Była wprawdzie późna noc, ale zaparkowaliśmy na głównej ulicy, przy której są wszystkie restauracje i zawsze jest tam pełno ludzi.

– To dobrze. Spotkaliście kogoś, kto mógłby nam pomóc i to potwierdzić?

Franz odsunął rękę od podbródka. Nie wiem, czy zorientował się, że takie pocieranie może zostać odczytane jako nerwowość, czy też po prostu

zwyczajnie przestało go swędzieć.

– Chyba nie spotkaliśmy nikogo znajomego. I jak się teraz zastanawiam, to jednak muszę przyznać, że na ulicy mimo wszystko było dość pusto. Bar w Hemisphere ciągle mógł być otwarty, ale restauracje pewnie już pozamykano. Teraz, jesienią, w Masouri są głównie wspinacze, a oni wcześnie chodzą spać.

– Czyli nikt was nie widział.

Franz wyprostował się na krześle.

– Jestem pewien, że pan wie, co pan robi, komisarzu. Ale czy mógłby mi pan powiedzieć, jakie to może mieć znaczenie dla zaginięcia mojego brata? – Wciąż panował nad głosem, lecz po raz pierwszy dostrzegłem na jego twarzy coś, co być może przypominało stres.

– Mógłbym – odparłem. – Chociaż jestem pewien, że sam potrafi się pan tego domyślić. – Wskazałem skinieniem głowy na leżącą przed nami teczkę. – Tu jest napisane, że gospodarza, jak zeznał, obudziły podniesione głosy dochodzące z waszego pokoju i szuranie krzesłami. Dalej się kłóciliście?

Przez twarz Franza Schmida przebiegło drgnienie. Czy dlatego, że mu przypomniałem, iż ostatnie słowa, jakie zamienił z bratem, były z gatunku tych ostrzejszych?

– Mówiłem już, że nie byliśmy zupełnie trzeźwi – powiedział cicho. – Ale zasypialiśmy w przyjaźni.

– O co się pokłóciliście?

– O bzdurę.

– Niech pan mówi.

Chwycił stojącą przed nim szklankę z wodą, jakby to była boja ratunkowa. Napił się. Chwila zwłoki, która dała mu czas na przemyślenie, co mówić, a czego nie. Założyłem ręce na piersi i czekałem. Oczywiście wiem, co myślał, ale sprawiał wrażenie dostatecznie czujnego, aby zrozumieć, że nawet jeśli nie uzyskam tej informacji od niego, wyciągnę ją od któregoś ze świadków sprzeczki. Nie wiedział natomiast, że Georgios

Kostopoulos już ją miał od jednego ze świadków. Że właśnie to skłoniło Georgiosa do zatelefonowania do wydziału zabójstw w Atenach. I że dlatego sprawa trafiła na moje biurko. Na biurko speca od zazdrości.

– *A dame* – odparł Franz.

Usiłowałem zrozumieć, jakie znaczenie – jeśli w ogóle jakiekolwiek – włożył w to słowo. W brytyjskim angielskim *a dame* było tytułem honorowym, szlacheckim, *madame*. Po amerykańsku natomiast *a dame* to wyrażenie slangowe rodem z Chandlera, oznaczające babkę, *a broad, a chic*. Określenie wprawdzie nie pogardliwe, lecz niesłużące do wyrażenia stuprocentowego szacunku – oznaczające kobietę, którą raczej można poderwać, ewentualnie której należy się wystrzegać. Ale w pierwszym języku Franza *dame* było całkiem neutralnym określeniem, tak przynajmniej odczytuję je w tytule książki Heinricha Bölla *Gruppenbild mit Dame, Portret grupowy z damą*.

– Czyją damę? – spytałem, by jak najszybciej dotrzeć do sedna.

I znów ten leciutki uśmiech, zmarszczenie warg, które zaraz zniknęło.

– Właśnie tego dotyczyła cała dyskusja.

– Rozumiem, Franz. Czy mogę poznać szczegóły?

Popatrzył na mnie. Zawahał się. Wypowiedziałem jego imię, co jest oczywistym, lecz mimo wszystko zaskakująco skutecznym sposobem nawiązania bardziej poufałej relacji z osobą, którą się przesłuchuje. A teraz jeszcze posłałem mu spojrzenie i gest, który sprawia, że podejrzani o zabójstwo otwierają serca przed uosobieniem zazdrości, Ftonosem.

Grecja to kraj o niskiej liczbie zabójstw. Tak niskiej, że wiele osób zadaje sobie pytanie, jak to możliwe w dotkniętym kryzysem kraju, gdzie panują wysokie bezrobocie, korupcja i niepokój społeczny. Dowcipna odpowiedź mówi, że Grecy, zamiast zabić kogoś, kogo nienawidzą, wolą pozwolić, aby niedoszła ofiara dalej żyła w Grecji. Według innej nie mamy przestępczości zorganizowanej, ponieważ nie potrafimy się zorganizować. Ale oczywiście mamy krew, która potrafi zawrzeć. Mamy *crime passionnel*. I to ja jestem człowiekiem, po którego dzwonią, kiedy pojawia się podejrzenie, że motywem zabójstwa może być zazdrość. Mówi się, że potrafię wyczuć jej

zapach. To oczywiście nieprawda, zazdrość nie ma żadnego specyficznego zapachu, koloru czy dźwięku. Ale ma jakąś historię. I właśnie słuchając tej historii, zarówno tego, co zostaje opowiedziane, jak i tego, co przemilczane, potrafię stwierdzić, czy mam przed sobą zdesperowane ranne zwierzę. Słucham i wiem. Wiem, ponieważ wsłuchuję się w siebie, Nikosa Ballego. Wiem, ponieważ sam jestem takim zranionym zwierzęciem.

A Franz opowiadał. Opowiadał dlatego, że to – ten kawałeczek prawdy – zawsze opowiada się z przyjemnością. Dobrze jest wyrzucić to z siebie, przewietrzyć niesprawiedliwą porażkę i nienawiść, która w naturalny sposób musi z niej wypływać. Bo oczywiście nie jest perwersją nasza skłonność do zabicia tego, kto stoi nam na drodze do spełnienia nadrzędnego zadania, jakie mamy jako istoty biologiczne: dobrać się w parę, aby przekazać dalej swoje wyjątkowe geny. Perwersyjna jest rzecz przeciwna: pozwalanie, by powstrzymywała nas moralność, którą indoktrynuje się nas tak, abyśmy wierzyli, że jest czymś danym przez naturę lub przez Boga, lecz która, gdy przychodzi co do czego, okazuje się jedynie praktycznymi regułkami dyktowanymi przez wspólnotę w zależności od aktualnych potrzeb.

Podczas jednego z dni odpoczynku od wspinaczki Franz na wynajętym skuterze wybrał się na północną stronę Kalimnos i w miasteczku Emporio poznał Helenę, która obsługiwała gości w restauracji swojego ojca. Natychmiast się w niej zakochał i przezwyciężając wrodzoną nieśmiałość, zdobył numer jej telefonu. Trzy randki i sześć dni później Franz i Helena całowali się w ruinach klasztoru w Paleochorze. Ponieważ dziewczynie surowo przykazano w domu, że ma nie zadawać się z gośćmi, a w szczególności z zagranicznymi turystami, nalegała na spotkania tylko we dwoje i w tajemnicy, bo na północnej stronie Kalimnos wszyscy znali jej ojca. Kochankowie zachowywali więc dyskrecję, ale Franz, rzecz jasna, informował brata na bieżąco i ze szczegółami o wszystkim już od pierwszego spotkania w restauracji. Opowiadał o każdym zdaniu, jakie zamienił z Heleną, każdym spojrzeniu, każdym dotyku, o pierwszym

pocałunku. Pokazywał Julianowi zdjęcia Heleny i filmik wideo, na którym widać ją siedzącą na murze twierdzy, wpatrzoną w zachód słońca.

Właśnie tak bracia zachowywali się od dzieciństwa. Dzielili się wszystkim, co im się przydarzyło, z najdrobniejszymi szczegółami, aż przeżycia jednego stawały się przeżyciami drugiego. Na przykład Julian – według Franza zawsze bardziej otwarty z nich dwóch – kilka dni wcześniej pokazał bratu wideo, które nagrał w sekrecie, kiedy uprawiał seks z pewną dziewczyną w jej mieszkaniu w Pothii.

– Dla żartu zaproponował, żebym do niej pojechał, udał, że jestem nim, wtedy byśmy zobaczyli, czy dziewczyna odróżni nas od siebie jako kochanków. Ciekawy pomysł, swoją drogą, ale...

– Ale pan się nie zgodził.

– Zdążyłem poznać Helenę. Już byłem tak zakochany, że nie mówiłem ani nie myślałem o niczym innym. Może więc nie ma się co dziwić, że oczarowała i Juliana. I tak samo się zakochał.

– Nawet jej nie poznając?

Franz z namysłem kiwnął głową.

– W każdym razie mnie się wydawało, że jej nie poznał. Mówiłem Helenie, że mam brata, ale nie wspominałem, że jesteśmy bliźniakami jednojajowymi i każdy z nas wygląda jak kopia drugiego. Na ogół staramy się to przemilczeć.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Niektórzy są zbulwersowani tym, że człowiek pojawia się w dwóch egzemplarzach. Dlatego zazwyczaj wstrzymujemy się z mówieniem o tym i z przedstawianiem się nawzajem.

– Rozumiem. Proszę mówić dalej.

– Trzy dni temu nagle zniknął mój telefon. Szukałem go jak desperat. Tylko tam miałem numer do Heleny. Poza tym wcześniej ciągle ze sobą SMS-owaliśmy, więc mogła pomyśleć, że z nią zerwałem. Już postanowiłem, że następnego dnia pojadę do Emporio, ale nazajutrz

znalazłem telefon. Wibrował w kieszeni kurtki Juliana, który poszedł popływać. To był SMS od Heleny, która dziękowała mi za poprzedni wieczór i pisała, że ma nadzieję, że wkrótce znów będziemy mogli się spotkać. Zrozumiałem wtedy, co się stało.

Franz zauważył moją – przypuszczalnie źle udawaną – zaskoczoną minę.

– Julian zabrał mój telefon – wyjaśnił, a w jego głosie zabrzmiało niemal zniecierpliwienie, gdy wciąż udawałem, że nie rozumiem. – Odszukał jej numer w kontaktach i zadzwonił do niej z mojej komórki, żeby wzięła go za mnie. Umówili się i nawet kiedy się spotkali, Helena się nie zorientowała, że to nie ja, tylko Julian.

– Aha – mruknąłem.

– Rzuciłem mu to w twarz, kiedy wrócił z pływania, i przyznał się do wszystkiego. Byłem wściekły, więc poszedłem wspinać się z innymi. Zobaczyliśmy się dopiero wieczorem w tym barze. Julian twierdził, że w tym czasie dzwonił do Heleny i wyjaśnił jej wszystko, a ona wybaczyła mu oszustwo i że są w sobie zakochani. Oczywiście wkurzyłem się i... no cóż, znów zaczęliśmy się kłócić.

Pokiwałem głową. Szczerą relację Franza można było zinterpretować na kilka sposobów. Możliwe, że wewnętrzne ciśnienie zazdrości było już tak mocne, iż upokarzająca prawda po prostu musiała się wydostać, chociaż powinien wiedzieć, że teraz, gdy jego brat zniknął bez śladu, podejrzenia kierują się na niego. W takim wypadku – i gdyby zabił brata – poczucie winy i brak panowania nad sobą wkrótce skutkowałyby takim samym rezultatem: przyznaniem się do winy.

Bardziej zawiłą interpretacją byłoby założenie Franza, że właśnie tak wytłumaczę sobie jego szczerość, a mianowicie niemożnością opanowania wewnętrznego ciśnienia, wobec czego jeśli po tych wyznaniach nie załamie się i nie przyzna do zabójstwa, będę bardziej skłonny uwierzyć w jego niewinność.

A na koniec najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie. Że jest niewinny i dlatego nie musi w ogóle martwić się konsekwencjami wyjawienia mi wszystkiego.

Gitarowy riff. Rozpoznałem go od razu. *Black Dog* Led Zeppelin.

Nie wstając z krzesła, Franz Schmid obrócił się i wyjął telefon z kieszeni kurtki wiszącej za nim na ścianie. Wpatrywał się w ekran, podczas gdy riff przechodził w wariację po trzecim powtórzeniu, tym, w którym perkusja Bonhama i gitara Jimmy'ego Page'a nie grają równo, a mimo to zgrywają się idealnie. Trevor, mój kumpel z sąsiedniego pokoju w Oksfordzie, napisał pracę z matematyki o zawiłych figurach rytmicznych w *Black Dog*, o paradoksie Johna Bonhama, perkusisty Led Zeppelin, słynącego bardziej ze zdolności do picia i demolowania pokoi hotelowych niż z inteligencji, i porównał go z pozornie głupim wieśniakiem, a zarazem geniuszem szachowym z *Noweli szachowej* Stefana Zweiga. Czy Franz Schmid był takim perkusistą? Takim szachistą?

Franz dotknął ekranu, riff się urwał, a on przyłożył telefon do ucha.

– Tak – powiedział. Słuchał. – Chwileczkę.

Podał komórkę mnie. Wziąłem.

– Komisarz Balli – przedstawiłem się.

– Mówi Arnold Schmid, stryj Franza i Juliana – odezwał się gardłowy głos po angielsku, ale z tak często parodiowanym ciężkim niemieckim akcentem. – Jestem adwokatem. Chciałbym wiedzieć, na jakiej podstawie zatrzymujecie Franza.

– My go nie zatrzymujemy, panie Schmid. Zgodził się nam pomóc w poszukiwaniach brata, a my z tego korzystamy, dopóki on sam tego chce.

– Proszę dać mi Franza.

Franz słuchał przez chwilę. Potem dotknął ekranu i zakrywszy telefon dłonią, położył go na stole między nami. Patrzyłem na komórkę w czasie, gdy Franz mówił, że jest zmęczony i chciałby wrócić do domu, ale żebyśmy do niego zadzwonili, gdyby coś się pojawiło.

Coś takiego jak pytanie? – pomyślałem. Czy zwłoki?

– Telefon – powiedziałem. – Ma pan coś przeciwko temu, żebyśmy na niego zerknęli?

– Przekazałem go temu policjantowi, z którym rozmawiałem. Podałem mu też PIN.

– Nie miałem na myśli telefonu brata, tylko pański.

– Mój? – Żylasta dłoń zacisnęła się na czarnym prostokącie jak szpon. – Na długo?

– Nie chodzi mi o sam aparat – wyjaśniłem. – Rozumiem, że w takiej sytuacji musi pan go mieć przy sobie. Pytam, czy udzieli nam pan formalnej zgody na dostęp do rozmów i SMS-ów, które przeszły przez pański telefon w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Potrzebujemy tylko pana podpisu na standardowym formularzu, żeby uzyskać te dane od operatora sieci. – Uśmiechnąłem się jakby przepraszająco. – Pomogłoby mi to skreślić pana z listy śladów, które musimy sprawdzić.

Franz Schmid spojrzał na mnie. W świetle padającym z wysoko umieszczonych okien zobaczyłem, że jego źrenice się rozszerzają. Rozszerzanie się źrenic. Chęć wpuszczenia w nie większej ilości światła może wynikać z kilku rzeczy, takich jak strach czy pożądanie. W tym wypadku, jak sądzę, chodziło jedynie o wzmożoną koncentrację. Jak w reakcji na ruch szachowy, którego człowiek się nie spodziewał.

Miałem wrażenie, że czuję, jak myśli pędzą mu przez głowę.

Był przygotowany na to, że zechcemy sprawdzić jego telefon, dlatego skasował historię rozmów i wiadomości, których nie chciał nam pokazać. Teraz uświadomił sobie jednak, że u operatora sieci być może nic się nie kasuje. Oczywiście mógł odmówić. Mógł zadzwonić do stryja i uzyskać od niego potwierdzenie, że w tej kwestii nie ma żadnej różnicy między prawem greckim, amerykańskim czy niemieckim. Nie musi udzielać policjantom żadnej zgody, dopóki sami nie uzyskają prawnej możliwości dostępu. Ale jak by to wyglądało, gdyby zaczął utrudniać śledztwo? Pewnie doszedł do wniosku, że wtedy raczej nie skreśliłbym go z listy. W jego oczach ujrzałem coś na kształt nadciągającej paniki.

– Oczywiście – odparł. – Gdzie mam podpisać?

Źrenice już się zmniejszyły. Jego mózg zdążył przeskanować SMS-y. Przypuszczalnie nie było w nich nic krytycznego. Nie pokazał mi kart,

ale przynajmniej w jednym decydującym momencie stracił twarz pokerzysty.

Razem opuściliśmy pokój i już szliśmy przez przestrzeń biurową, rozglądając się za Georgiosem, gdy nagle jakiś pies, dobroduszny golden retriever, wymknął się spomiędzy dwóch ścianek działowych i wesoło poszczekując, skoczył na Franza.

– Cześć! – zawołał Franz spontanicznie, kucnął i zaczął drapać psa za uchem nawykowym gestem, który, jak zauważyłem, charakteryzuje ludzi szczerze lubiących zwierzęta. I których zwierzęta zdają się instynktownie rozpoznawać. Pewnie dlatego pies wybrał Franza, a nie mnie. Ogon dużego zwierzaka obracał się jak śmigło, kiedy pies próbował polizać Franza po twarzy. – Zwierzęta są lepsze niż ludzie, nie sądzi pan? – spytał Franz, patrząc na mnie od dołu. Twarz mu promieniała, wydał się zupełnie inną osobą niż ta, która chwilę wcześniej siedziała przede mną.

– Odyn! – rozległ się surowy głos zza ścianki, ten sam, który informował Georgiosa o telefonie dziennikarza. Kobieta wyszła i chwyciła psa za obrożę. – Przepraszam – rzuciła po grecku. – On wie, że nie powinien się tak zachowywać.

Wyglądała na mniej więcej trzydzieści lat, była niewysoka, krępa, a w mundurze z białymi pasami policji turystycznej wydawała się wręcz atletyczna. Podniosła głowę. Oczy miała zaczerwienione, a policzki na nasz widok przybrały taką samą barwę. Pazury Odyna zaszurały po wykładzinie, kiedy ciągnęła popiskującego psa za ściankę. Usłyszałem pociągnięcie nosem.

– Potrzebuję pomocy przy wydrukowaniu formularza upoważnienia do sprawdzenia zawartości telefonu – powiedziałem do ścianki. – Jest na stronie...

Jej głos nie pozwolił mi dokończyć:

– Proszę podejść do drukarki na samym końcu korytarza, panie Balli.

– I jak? – spytał Georgios Kostopoulos, kiedy wsunąłem głowę między ścianki działowe otaczające jego biurko.

– Podejrzany jedzie skuterem z powrotem do Masouri – odparłem, podając mu kartkę z podpisem Franza Schmida. – Chyba zaczyna się domyślać, że wpadliśmy na jego trop, i może zechcieć zwiać.

– Bez obaw, jesteśmy na wyspie, a zapowiadają, że wiatr będzie się jeszcze wzmagał. Chcesz powiedzieć, że...?

– Owszem. Przypuszczam, że zabił brata. Prześlesz mi e-mailem wydruki, jak tylko dostaniemy je od operatora sieci?

– Mam też prosić o przesłanie SMS-ów i historii połączeń Juliana Schmida?

– Do tego potrzebujemy niestety postanowienia sądu, dopóki nie potwierdzi się, że on nie żyje. Ale masz chyba jego telefon?

– Jasne. – Georgios otworzył szufladę.

Wziąłem aparat do ręki, usiadłem na krześle przy jego biurku i wstukałem kod PIN zapisany na samoprzylepnej karteczce przyklejonej do spodu telefonu. Przejrzałem rejestr rozmów i wiadomości.

Nie znalazłem nic ewidentnie interesującego dla sprawy. Jedynie SMS o drodze wspinaczkowej, która została „załojona”, co w żargonie wspinaczy oznacza, że została pokonana, przez co mimowolnie zaczęły mi się pocić dłonie. Gratulacje w obie strony. Umawianie się na kolacje. Informacje, w jakiej restauracji zbiera się „paczka” i o której. Nie było tam jednak śladów konfliktu ani romansu. Tak się przynajmniej wydawało.

Drgnąłem przestraszony, kiedy telefon zawibrował, a jednocześnie wokalista zaczął z patosem śpiewać przepojonym namiętnością głosem przechodzącym w falset, który wskazywał na celowanie w mainstreamowy segment popu lat dwutysięcznych. Zawahałem się. Gdybym odebrał, musiałbym prawdopodobnie tłumaczyć jakiemuś przyjacielowi, koledze lub krewnemu, że Julian zaginął, być może utonął podczas wakacji wspinaczkowych w Grecji. Wziąłem jednak głęboki oddech i wcisnąłem „Odbierz”.

– Julian? – rozległ się kobiecy szept, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

– Tu policja – odezwałem się po angielsku i urwałem. Chciałem, żeby te słowa zawisły. Niech najpierw do rozmówcy dotrze, że w ogóle coś się stało.

– Przepraszam – powiedziała kobieta z rezygnacją. – Miałam nadzieję, że Julian jednak odbierze, ale... Coś nowego?

– Kto mówi?

– Victoria Hässel. Koleżanka od wspinaczki. Nie chciałam zawracać głowy Franzowi i... No tak, dziękuję.

Rozłączyła się, a ja zapamiętałem sobie jej numer.

– Ten dzwonek – powiedziałem. – Kto to śpiewał?

– Nie mam pojęcia – odparł Georgios.

– Ed Sheeran – odezwała się zza ścianki właścicielka psa. – *Happier*.

– Dzięki! – odkrzyknąłem.

– Możemy zrobić coś więcej? – spytał Georgios.

Założyłem ręce na piersi i zastanowiłem się.

– Nie. A właściwie tak. On pił w tamtym pokoju ze szklanki. Możesz z niej zdjąć odciski palców? I może jakieś DNA, jeśli została ślina na brzegu.

Georgios chrząknął. Wiedziałem, co chce powiedzieć. Że w takich przypadkach konieczne są zgoda danej osoby albo nakaz sądowy.

– Podejrzewam, że szklanka mogła się znajdować w miejscu zdarzenia.

– Słucham?

– Jeśli w raporcie nie powiążesz materiału DNA z konkretną osobą, a jedynie ze szklanką, datą i miejscem, to będzie w porządku. Pewnie nie da się tego wykorzystać podczas rozprawy sądowej, ale nam obu może się przydać.

Georgios uniósł krzaczastą brew.

– Właśnie tak robimy w Atenach – skłamałem. Prawdą było, że zdarza się, iż ja tak robię w Atenach.

– Christino! – zawołał Georgios.

– Słucham.

Zaszurało krzesło i moment później dziewczyna w mundurze policji turystycznej wyjrzała znad ścianki.

– Możesz przekazać do analizy szklankę z pokoju przesłuchań?

– Tak? A mamy zgodę...

– To z miejsca zdarzenia – mruknął.

– Z miejsca zdarzenia?

– Tak. – Georgios nie spuszczał ze mnie oczu. – Najwyraźniej w taki sposób działamy tu od teraz.

Była siódma wieczorem, a ja leżałem na łóżku w pokoju hotelowym w Masouri. Wszystkie hotele w Pothii były zajęte, prawdopodobnie ze względu na pogodę. Było mi to obojętne, dzięki temu znajdowałem się bliżej centrum wydarzeń. Nade mną po drugiej stronie drogi wznosiły się wysokie żółtobiałe wapienne klify. Czarodziejsko piękne i zapraszające w blasku księżyca. Latem na wyspie doszło do śmiertelnego wypadku, pisały o nim gazety. Nie chciałem o tym czytać, ale i tak przeczytałem.

Po przeciwnej stronie hoteliku górska ściana opadała mniej lub bardziej pionowo do morza.

Drugi dzień poszukiwań dobiegł końca. Morze w cieśninie między Kalimnos a Telendos było spokojniejsze niż dalej. Dowiedziałem się jednak, że przy takiej pogodzie, jaką zapowiadano na jutro, trzeciego dnia poszukiwań nie będzie. Poza wszystkim kogoś, kogo przypuszczalnie zabrało morze, nie szuka się dłużej niż dwa dni. Wszystko jedno, Amerykanin czy nie. Wiatr szarpał okiennicami, słyszałem też huk fal rozbijających się o skały.

Moje zadanie – postawić diagnozę, stwierdzić, czy w grę wchodziła zazdrość o morderczym charakterze – było zakończone. Następny etap – śledztwo taktyczne i techniczne – nie był moją silną stroną, tym już zajmą się koledzy z Aten. Pogoda przesunęła w czasie zmianę warty, a to uwidaczniało, ba, wręcz obnażało moją nieudolność jako śledczego

zajmującego się zabójstwami. Brakowało mi po prostu zdolności do wyobrażenia sobie, w jaki sposób zabójca mógł postępować, aby zamordować jakąś osobę, a następnie ukrywać ślady. Mój szef mawiał, że z powodu mojej wrażliwości emocjonalnej kompletnie brakuje mi wyobraźni. Właśnie dlatego nazywał mnie specem od zazdrości, dlatego wysyłano mnie na zwiad i wycofywano, gdy tylko dałem czerwone albo zielone światło.

W sprawach dotyczących zabójstw istnieje coś, co nazywa się regułą osiemdziesięciu procent. W osiemdziesięciu procentach przypadków winna jest osoba pozostająca w bliskich relacjach z ofiarą, spośród tych w osiemdziesięciu procentach winny jest małżonek albo narzeczony, a wśród nich w osiemdziesięciu procentach motywem jest zazdrość. Dlatego już w chwili, kiedy w wydziale zabójstw odbieramy telefon i słyszymy wypowiadane na drugim końcu słowo „zamordowany”, wiemy, że jest pięćdziesiąt jeden procent szansy na to, iż motywem zbrodni była zazdrość. Czyni to ze mnie, mimo moich ograniczeń, ważną osobę.

Potrafię określić w czasie tę chwilę, kiedy nauczyłem się odczytywać cudzą zazdrość. Było to wtedy, gdy zrozumiałem, że Monique kocha innego. Przeszedłem wszystkie udręki zazdrości: od niedowierzania przez rozpacz aż do wściekłości, pogardy dla siebie, a w końcu depresji. I może dlatego, że nigdy wcześniej w życiu nie doznałem takich emocjonalnych tortur, odkryłem, że kiedy ból przesłaniał wszystko, odnosiłem wrażenie, jakbym oglądał samego siebie z zewnątrz. Byłem jak pacjent, który leży bez znieczulenia na stole operacyjnym, a jednocześnie jest obserwatorem na galerii, młodziutkim studentem medycyny po raz pierwszy wprowadzanym w to, co dzieje się z człowiekiem po wycięciu mu serca z piersi. Może dziwić, że tak ekstremalnie subiektywne odczucie jak zazdrość potrafi iść w parze z zimną obiektywną obserwacją. Tłumaczyć to mogę jedynie tym, że jako człowiek, który odczuwał zazdrość, robiłem rzeczy czyniące ze mnie obcego dla samego siebie w takim stopniu, że zmuszało mnie to do pełnej przerażenia obserwacji samego siebie. Żyłem już dostatecznie długo, aby dostrzec autodestrukcję u innych, nigdy jednak

nie sądziłem, abym i ja miał w sobie tę truciznę. Pomyliłem się. A zaskoczyło mnie to, że niemal równie silne jak ból, jak nienawiść i pogarda wobec siebie były ciekawość i fascynacja. Niczym u trędowatego obserwującego rozpad własnej twarzy, przyglądającego się dotkniętemu chorobą ciału, własnemu gnijącemu wnętrzu wydobywającemu się na powierzchnię w całej swojej ohydzie, we wzbudzającym dreszcz podniecenia obrzydzeniu. Mój przypadek trądu przeprowadził mnie na drugą stronę z trwałymi obrażeniami, to oczywiste, lecz wykształciłem w sobie także odporność. Już nigdy więcej nie będę tak zazdrosny, nie w taki sposób. Czy to oznacza również, że nie zdołam nikogo tak pokochać, tego nie wiem. W moim życiu nie tylko zazdrość mogła zdecydować o tym, że nigdy później nie czułem do nikogo tego, co czułem do Monique. A jednak to właśnie Monique uczyniła mnie tym, kim jestem zawodowo. Specem od zazdrości.

Już od lat dziecinnych miałem wyjątkową zdolność do wczuwania się w opowieści. Rodzina i przyjaciele określali to różnie – nazywali zadziwiającym i wzruszającym, lecz również żałosnym i niemęskim. Ja traktowałem to jako dar. Nie uczestniczyłem w przygodach Hucka Finna, byłem Huckiem Finnem. I Tomkiem Sawyerem. A kiedy zacząłem chodzić do szkoły i uczyć się być Grekiem, byłem oczywiście Odyseuszem. Rzecz jasna, nie musi wcale chodzić o wielkie opowieści z literatury światowej – wystarcza mi prosta, często źle opowiedziana historia o zdradzie, prawdziwa czy wymyślona, to bez znaczenia. Wchodzę w tę historię, staję się jej częścią od pierwszego zdania. To jak wciśnięcie przełącznika. Dzięki temu potrafię również szybko wykryć ewentualne fałszywe brzmienia. Nie dlatego że mam wyjątkowe wyczucie mowy ciała, tonu i naszych automatycznych, retorycznych strategii obronnych. Chodzi o samą opowieść. Nawet w grubo ciosanym i w oczywisty sposób subiektywnie, kłamliwie naszkicowanym bohaterze potrafię dostrzec ogólny zarys jego charakteru, prawdopodobne motywy nim kierujące i miejsce w opowiadaniu, a na tej podstawie stwierdzić, do jakich zachowań nieubłaganie przymusza to owego bohatera. Ponieważ sam to przeżyłem. Ponieważ zazdrość wygładza różnice między tobą a mną. Nasze

zachowania zaczynają upodabniać się do siebie, niezależnie od tego, że różnimy się klasą, płcią, religią, wykształceniem, poziomem IQ, kulturą czy wychowaniem – tak jak wszyscy ciężko uzależnieni narkomani zachowują się podobnie. Wszyscy jesteśmy żywymi trupami, które krążą po ulicach napędzane tylko jednym: chęcią wypełnienia tej wielkiej czarnej dziury, która jest w nas.

I jeszcze jedno. Zdolność do wczuwania się nie jest równoznaczna z empatią. *That I understand doesn't mean I care*, jak mówi Homer. To znaczy Homer Simpson. Ale w moim wypadku niestety jest to równoznaczne. Ja cierpię. Cierpię razem z tym, kto odczuwa zazdrość. I dlatego nienawidzę swojej pracy.

Wiatr szarpnął okiennicą, próbując ją otworzyć. Chciał mi pokazać.

Zasnąłem i śniło mi się, że spadam z dużych wysokości. Godzinę później obudziłem się, uderzając o ziemię, można powiedzieć.

Telefon zasygnalizował nadejście e-maila. Z wyciągiem skasowanych przez Franza Schmida SMS-ów i rejestru połączeń. Według tego rejestru w nocy przed zgłoszeniem zaginięcia brata Franz dzwonił do Victorii Hässel osiem razy, bez odpowiedzi. Sprawdziłem numer i uzyskałem potwierdzenie, że to ta sama Victoria, z którą o tyle o ile rozmawiałem z telefonu Juliana. Ale uczucie, że coś upada na ziemię z dużej wysokości, to lekkie drgnienie, odgłos ciała uderzającego o kamień, którego nigdy, przenigdy się nie zapomina, pojawiło się dopiero wówczas, gdy przeczytałem SMS-a wysłanego przez Franza pod grecki numer należący do Heleny Ambrosii.

Zabiłem Juliana.

*

Emporio było skupiskiem domów na północnym krańcu Kalimnos, gdzie główna droga zwyczajnie się kończyła. Dziewczyna, która podeszła do mojego stolika w restauracji, przypomniała mi Monique. Przez pewien czas, kilka lat, widziałem Monique wszędzie, w rysach i spojrzeniu każdej

kobiety, w prostych plecach każdej dziewczyny, słyszałem ją w każdym słowie wypowiadanym przez nieznajome. Z czasem jej duch zaczął blednąć w niekończącej się jasności dni. A po kilku latach mogłem wreszcie wstać i wyjść na ulice Aten ze świadomością, że ten duch zostawi mnie w spokoju. Dopóki znów się nie ściemni.

Ta dziewczyna również była piękna – oczywiście nie aż tak. Chociaż właściwie... Szczupła, długonoga, obdarzona wrodzoną gracją. Miała łagodne piwne oczy. Ale jej skórę psuły wypryski i brakowało jej podbródka. Czego brakowało Monique? Już nie pamiętałem. Może przyzwoitości.

– *How can I be of service, sir?*

Ta zawierająca w sobie przesadną grzeczność formułka – którą, wypowiadaną z nieco ironiczną pogardą, słyszałem tyle razy z ust angielskich kelnerów – zabrzmiała wzruszająco szczerze w ustach młodziutkiej Greczynki. Tego dnia rano byliśmy w tej przyjemnej rodzinnej restauracyjce tylko we dwoje.

– Czy ty jesteś Helena Ambrosia?

Zaczerwieniła się, kiedy usłyszała, że mówię po grecku, i w odpowiedzi skinęła głową. Przedstawiłem się, powiedziałem, że przyjechałem w związku z zaginięciem Juliana Schmida, i zobaczyłem przerażenie na jej twarzy, kiedy mówiłem o jej powiązaniu z Franzem Schmidem. Ciągle oglądała się przez ramię, jakby chciała się upewnić, czy ktoś nie wyszedł z kuchni i nas nie podsłuchuje.

– No tak, ale jaki to ma związek z tym zaginionym? – spytała prędko szeptem, zła i czerwona ze wstydu.

– Byłaś z nimi obydwoma.

– Co? Nie! – Zapomniała się i podniosła głos, zaraz jednak znów zniżyła go do wściekłego szeptu: – Kto tak powiedział?

– Franz. Kiedy spotkałaś się z jego bratem bliźniakiem w kamiennym mieście, Julian podał się za Franza.

– Brat bliźniak?

– Jednojajowy – dodałem.

Była wyraźnie zdezorientowana.

– Ale... – Widziałem, jak przegląda w głowie kolejność wydarzeń, jak zdziwienie przechodzi w niedowierzanie, a następnie w przerażenie. – Byłam... z dwoma braćmi? – wydusiła z siebie.

– Nie wiedziałaś?

– A skąd miałam wiedzieć? Jeśli rzeczywiście jest ich dwóch, to są identyczni. – Przycisnęła dłonie do skroni, jakby się bała, że zaraz pęknie jej głowa.

– Czyli Julian kłamał, kiedy powiedział bratu, że zadzwonił do ciebie po południu dzień po spotkaniu z tobą w kamiennym mieście i wszystko ci wyjaśnił, a ty mu wybaczyłaś?

– Nie rozmawiałam później z żadnym z nich!

– A co z tym SMS-em, który dostałaś od Franza? *Zabiłem Juliana.*

Nie przestawała mrugać.

– Nie zrozumiałam tego SMS-a. Franz mówił mi, że ma brata, ale nie wspomniał, że to bliźniak ani że ma na imię Julian. Po przeczytaniu wiadomości pomyślałam, że Julian to może nazwa drogi wspinaczkowej, którą przeszedł, albo imię karalucha mieszkającego u niego w pokoju. Coś w tym rodzaju. Byłam pewna, że później mi to wyjaśni. Akurat zamknęliśmy restaurację i byłam zajęta sprzątaniem, dlatego w odpowiedzi wysłałam mu tylko buźkę.

– Przyglądałem się wiadomościom, które wysyłałaś na telefon Franza. Wszystkie to bardzo krótkie odpowiedzi na długie SMS-y. Wiadomość, którą wysłałaś rano po spotkaniu z Julianem, jest jedynym SMS-em, w którym to ty występujesz z inicjatywą, jedynym, w którym wyczytałem z twojej strony pewne... uczucie?

Przygryzła dolną wargę. Kiwnęła głową. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Więc chociaż Julian skłamał, twierdząc, że powiedział ci, iż nie jest Franzem, to prawdą jest, że zakochałaś się dopiero, gdy poznałaś Juliana?

– No... – Nagle jakby opuściły ją wszystkie siły, usiadła na krześle naprzeciwko mnie, a raczej się na nie osunęła. – Kiedy poznałam tego... tego o imieniu Franz, bardzo mnie zauroczył. I chyba mi to pochlebiło. Spotykaliśmy się w Paleochorze, tam prawie nigdy nie ma ludzi, w każdym razie nie przychodzi nikt z wyspy, kto znałby moją rodzinę. To były bardzo niewinne spotkania, ale ostatnim razem pozwoliłam mu się pocałować na dobranoc. Chociaż tak naprawdę nie byłam zakochana. Więc kiedy on... To znaczy, że to musiał być Julian... Kiedy napisał do mnie z pytaniem, czy może się ze mną zobaczyć, odmówiłam. Postanowiłam przerwać tę zabawę, póki ciągle była przyjemna. Ale on nalegał w taki sposób... jak nigdy dotychczas. Był zabawny. Traktował samego siebie z ironią. Zgodziłam się więc na krótkie ostatnie spotkanie. A kiedy byliśmy razem w Paleochorze, wszystko jakby się odmieniło. On, ja, sposób, w jaki rozmawialiśmy, to, jak mnie zatrzymywał... Był o wiele bardziej rozluźniony i rozbawiony. To udzieliło się także mnie. Dużo więcej się śmialiśmy. Sądziłam, że poczuliśmy się swobodniej, bo lepiej się poznaliśmy.

– Czy ty i Julian uprawialiście seks?

– My... – Napięła się i zaczerwieniła na twarzy. – Czy muszę na to odpowiadać?

– Nie musisz odpowiadać na żadne pytanie, Heleno, ale im więcej będę wiedział, tym łatwiej będzie mi rozwiązać tę sprawę.

– I odnaleźć Juliana?

– Tak.

Zamknęła oczy, jakby się koncentrowała.

– Owszem, kochaliśmy się. To było bardzo... piękne. Do domu wróciłam ze świadomością, że wcześniej się myliłam. Że naprawdę jestem zakochana i muszę znów go zobaczyć. A teraz on...

Ukryła twarz w dłoniach. Spomiędzy palców wyrwał się szloch. Palców długich i szczupłych, takich jak palce Monique, która miała zwyczaj je podnosić i mówić, że są jak nogi pająka.

Zadałem Helenie sporo pytań, na które odpowiadała spokojnie i szczerze.

Po ostatniej randce w twierdzy nie widziała już Franza ani nikogo, kto by się za niego podawał. Potwierdziła, że rano, dzień po spotkaniu z Julianem, wysłała pod numer Franza SMS-a, w którym napisała, iż ma nadzieję, że wkrótce znów się zobaczą, ale nie dostała odpowiedzi. Dopiero wieczorem przyszła ta krótka zagadkowa wiadomość *Zabiłem Juliana*, na którą odpowiedziała, wysyłając uśmiechniętą buźkę. To, że sama nie podejmowała próby nawiązania kontaktu, ponieważ to ona wysłała ostatniego SMS-a, było oczywiste.

Pokiwałem głową, lekko zdziwiony tym, że zasady gry z czasów mojej młodości wciąż zdawały się obowiązywać, i po sposobie, w jaki mi odpowiadała, stwierdziłem, że Helena nie ma nic do ukrycia. A raczej, że niczego nie ukrywa. Miała w sobie charakterystyczny dla osoby zakochanej brak wstydu, ponieważ wydaje jej się, że miłość jest ponad wszystko. Zakochanie to w istocie najsłodsza psychoza, lecz w jej przypadku stało się również najgorszą torturą, ledwie mignęło jej przed oczami i natychmiast zniknęło.

Dałem jej swój numer telefonu. Obiecała, że zadzwoni, jeśli coś jej się przypomni lub któryś z braci się z nią skontaktuje. Zauważyłem, że twarz jej się rozjaśniła, kiedy podrzuciłem cień nadziei, że Julian może jeszcze żyje, lecz kiedy stamtąd odchodziłem, znów płakała.

– Halo, tu Victoria. – W głosie słychać było zadyszkę. Jak gdyby partner właśnie opuścił ją na ziemię po zrobieniu drogi i jakby pospiesznie sięgnęła do plecaka, w którym dzwoni telefon.

– Mówi Nikos Balli, komisarz policji – przedstawiłem się i ostrożnie ominąłem wynajętym samochodem stado kóz, które rozłożyły się na asfalcie za Emporio. – Rozmawialiśmy chwilę przez telefon Juliana Schmida. Chciałbym zadać pani kilka pytań.

– Niestety jestem akurat w skałach. Czy to może zaczekać do...

– W którym sektorze?

– Nazywa się Odyssey.

– Przyjadę tam, jeśli można.

Opisała mi drogę. Między Arginonta a Masouri, zjazd w lewo tuż przed bardzo ostrym zakrętem. Trzeba zaparkować na końcu żwirowej drogi, tam gdzie stoją skutery wspinaczy. Dalej należy iść ścieżką – lub za innymi wspinaczami – w górę zbocza, jakieś osiem–dziesięć minut marszu do dolnej części skały, gdzie zobaczę ją i jej partnera wspinaczkowego na szerokiej półce skalnej, pięć, może sześć metrów nad ziemią. Doprowadzą mnie tam naturalne stopnie w skale.

Dwadzieścia minut później stanąłem na ścieżce biegnącej przez nagie górskie zbocze, na którym jedyną wegetacją było kilka krzaczków tymianku. Otarłem pot z czoła i zadzierając głowę, spojrzałem na kilkusetmetrowej szerokości i czterdziesto–pięćdziesięciometrowej wysokości wapienny klif, który jak mur przecinał ukosem zbocze wzgórza. Na ścianie dostrzegłem około dwudziestu lin łączących osoby asekurujące ze wspinaczami. To była wspinaczka sportowa, którą w prosty sposób można opisać następująco: zanim wyruszy dwuosobowy zespół, ten, kto będzie się wspinać, przywiązuje jeden koniec liny do swojej uprzęży, do której mocuje również tyle ekspresów, czyli dwóch karabinków połączonych taśmą, ile potrzebuje na pokonanie drogi, często około tuzina. Na drodze zainstalowane są metalowe spity[1] – punkty asekuracyjne. Gdy wspinacz do nich dociera, najpierw wpina w plakietkę spita jeden karabinek ekspresa, a następnie w drugim mocuje linę. Osoba z zespołu pozostająca na ziemi ma przypięty do swojej uprzęży przyrząd asekuracyjny, przez który lina przechodzi mniej więcej tak jak pas bezpieczeństwa w samochodzie przez rolki. Asekurant ostrożnie podaje linę, w miarę jak wspinacz wchodzi coraz wyżej – podobnie trzeba delikatnie i powoli wyciągać pas, żeby się nie zakleszczył. Gdyby wspinająca się osoba zaczęła spadać, lina zostałaby przeciągnięta przez przyrząd asekuracyjny z tak dużą szybkością, że mechanizm hamulca zacisnąłby się wokół niej. Jeśliby więc wspinacz odpadł od ściany, doleciałby zaledwie nieco poniżej ostatniej „wpinki” i tam zatrzymałyby go zakleszczenie hamulca i ciężar asekurującego. Innymi słowy, najpopularniejszy rodzaj wspinaczki sportowej jest relatywnie bezpieczny w porównaniu na przykład z free solo, czyli ze wspinaczką bez liny czy jakiejkolwiek innej formy asekuracji.

Przewidywana długość życia osoby uprawiającej free solo – w przeciwieństwie do wspinaczki sportowej – jest krótsza niż heroinisty, co zresztą wcale nie jest głupim porównaniem. Mimo to przeszedł mnie dreszcz. Nigdy bowiem nie można mieć całkowitej pewności, a to, co może pójść źle, prędzej czy później pójdzie źle. Niektórzy uważają, że to żart sformułowany jako prawo Murphy'ego, ale się mylą. To czysta matematyka i logika. Absolutnie wszystko to, co dopuszczają prawa fizyki, może się zdarzyć i się zdarzy, to jedynie kwestia czasu.

Przebyłem ostatni odcinek dzielący mnie od skały i odszukałem wzrokiem półkę, na której stała kobieta trzymająca linę prowadzącą do wspinacza na ścianie dziesięć metrów nad jej głową. Wdrapałem się do niej na czworakach.

– Victoria Hässel? – spytałem zdyszany.

– Dzień dobry. – Nie odrywała wzroku od wspinacza.

– Dziękuję, że pozwoliła mi pani sobie przeszkodzić. – Przytrzymałem się głębokiej szczeliny w skale, ostrożnie się wychyliłem i spojrzałem w dół. Tylko sześć metrów, a i tak poczułem ssanie w żołądku.

– Boi się pan wysokości? – spytała Victoria Hässel, chociaż nie zauważyłem, żeby na mnie spojrzała.

– A czy nie wszyscy się tego boją?

– Niektórzy bardziej niż inni.

Popatrzyłem na wspinacza. Chłopaka, który wyglądał na znacznie od niej młodszego i który – gdybym miał oceniać na podstawie jego niepewnej pracy nóg, a jej pewnego chwytu liny i obsługi przyrządu asekurującego – mógł się więcej nauczyć o wspinaniu od niej niż ona od niego. Wiek Victorii Hässel trudno było określić – mogła mieć od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat, w każdym razie wyglądała na silną. Niemal chuda, miała długie kończyny, ale pod obcisłą sportową koszulką widać było umięśnione plecy. Żylaste przedramiona, magnezja na dłoniach i spodenkach. Z pewną dezaprobatą obrzuciła wzrokiem mój garnitur i brązowe skórzane buty. Wiedziałem, że włosy, które mi jeszcze zostały,

wiatr rozwiał na wszystkie strony. Ona swoje schowała pod dzierganą czapką.

– Dużo wspinaczy – rzuciłem, skinąwszy głową w kierunku ściany.

– Zwykle bywa więcej. – Victoria znów utkwiła wzrok w swoim partnerze. – Ale dzisiaj trochę za mocno wieje, więc sporo ludzi przesiaduje w kawiarniach. – Wskazała na bielące się grzywaczami morze.

Z tego miejsca można było zobaczyć niemal wszystko. Główną drogę, samochody, centrum Masouri, ludzi jak małe czarne mrówki. Na gołym zboczu pod nami zauważyłem wspinaczy zbliżających się ścieżką.

– Może pan w to nie wierzyć – powiedziała Victoria – ale taki wiatr potrafi poderwać liny do góry. Mogą uderzyć o ścianę i gdzieś się zakleszczyć.

– Skoro pani tak mówi, to wierzę.

– To dobrze – stwierdziła. – A o co chodzi, panie Balli?

– O, to może poczekać do czasu, aż pani partner wróci na dół.

– To łatwa droga, możemy rozmawiać.

– Chyba słyszałem, że podczas asekuracji należy koncentrować się na osobie, która się wspina.

– Dzięki za podpowiedź. – Uśmiechnęła się krzywo. – Ale tę ocenę proszę pozostawić mnie.

– Oczywiście, ale czy wolno mi zauważyć, że pani partner właśnie odwrotnie się wpiął w ten ostatni karabinek?

Victoria Hässel posłała mi ostre spojrzenie. Potem spojrzała na karabinek, o którym mówiłem. Zrozumiała, że mam rację. Lina przechodziła od niewłaściwej strony. Gdyby chłopak spadł i zabrakło mu szczęścia, lina mogła wypiąć się z karabinka i zleciałby niżej.

– Widziałam to – skłamała. – Niedługo wepnie linę w następny ekspres, wtedy będzie bezpieczny.

Chrząknąłem.

– Wygląda na to, że zbliża się do cruxu[2] i moim zdaniem może mieć tam kłopoty. Jeśli odpadnie od ściany, a lina wypnie się z karabinka, to następny jest na tyle nisko, że nie zatrzyma go przed zetknięciem z ziemią. Zgodzi się pani?

– Alex! – zawołała.

– Tak?

– Źle wpiąłeś linę w poprzedni karabinek! Nie wchodź wyżej, tylko spróbuj zejść i przepiąć ją prawidłowo!

– Chyba raczej podejdę do następnego punktu i tam się dobrze wepnę.

– Nie, Alex, nie...

Ale on już zaczął się oddalać od wygodnych chwytów i kierować do dużego oblaka[3], który jemu zapewne wydawał się odpowiedni. Bardziej wyćwiczone oko dostrzegłoby jednak, że wokół tego chwytu jest za dużo magnezji, ponieważ już wcześniej wspinacze próbowali złapać się tam czegoś – bez powodzenia. Z miejsca, w którym wisiał, nie było żadnej możliwości odwrotu. Nogawki spodni łopotały mu wokół łydek. Nie z powodu wiatru, tylko reakcji stresowej, na którą wspinacze mówią „telegraf” i która prędzej czy później dopadnie każdego. Zobaczyłem, że Victoria wybiera tyle liny, ile może, ale to i tak za mało; Alex uderzyłby o półkę, na której staliśmy.

– Alex, masz stopień wyżej z prawej strony! – zawołała Victoria, która też pojęła, co się dzieje.

Było jednak za późno, Alex już dostawał czegoś, co anglojęzyczni wspinacze nazywają „skrzydłami kurczaka”: łokcie mu się podniosły, a to pewny znak, że wspinającemu się zaczyna brakować sił.

– On odpadnie, musisz skoczyć – powiedziałem cicho.

– Alex! – krzyknęła, nie zwracając na mnie uwagi. – Stań wyżej, wtedy dasz radę!

Obiema rękami chwyciłem ją za uprząż.

– Co, do jasnej cholery... – syknęła, częściowo odwracając się w moją stronę.

Nie spuszczałem wzroku z Alexa. A on krzyczał. I leciał. Szarpnąłem Victorię do tyłu, zakręciłem nią wokół siebie jak młociarz i zrzuciłem ze skalnej półki. Jej krótki ostry wrzask zagłuszył przeciągły krzyk Alexa. Logika była prosta: musiałem jak najprędzej przemieścić ją niżej, tak aby jej ciężar zatrzymał spadanie Alexa przed zetknięciem z ziemią.

Napięły się obie części liny: i ta, która biegła do góry, i ta w dół, a potem wszystko nagle ucichło. Krzyki, nawoływanie innych wspinaczy, nawet wiatr jakby wstrzymał oddech.

Podniosłem głowę.

Alex zwisał na linie nieco wyżej przy ścianie. Karabinek, w który źle się wpiął, mimo wszystko go utrzymał. No cóż, tego dnia nie uratowałem niczyjego życia. Stanąłem na krawędzi półki i popatrzyłem w dół na Victorię Hässel. Wisiała dwa metry pode mną na linie zablokowanej przyrządem asekuracyjnym i wpatrywała się we mnie oczami pociemniałymi od szoku.

– Przepraszam – mruknąłem.

– Dziękuję. – Skinąłem głową Victorii, która nalała kawy z termosu do dwóch plastikowych kubeczków i właśnie podała mi jeden z nich. Alexa odesłała do zespołu wspinającego się nieco wyżej na wzgórzu i razem usiedliśmy na skalnej półce.

– To ja powinnam dziękować.

– Za co? Karabinek utrzymał linę, więc i tak wszystko dobrze by się skończyło, a pani stłukła sobie kolano.

– Ale postąpił pan właściwie.

Wzruszyłem ramionami.

– Tak się pocieszamy, prawda?

Uśmiechnęła się lekko i podmuchała na kawę.

– Więc pan się wspina?

– Wspinałem. Nie dotykałem skały od prawie czterdziestu lat.

– Czterdzieści lat to dużo. Co się stało?

– Hm. Stało się? A co się właściwie stało tutaj? Czytałem, że doszło do śmiertelnego wypadku.

Mimo że temat był nieprzyjemny, Victoria Hässel jeszcze raz uchwyciła się możliwości rozmawiania o czymś, o czym, jak wiedziała, wcale nie zamierzałem rozmawiać.

– Klasyczny błąd. Zapomnieli sprawdzić, ile metrów liczy droga, i porównać ją z długością liny. Nie zawiązali też na końcu węzła. W trakcie opuszczania wspinacza asekurujący nie zorientował się, że zabraknie liny. Bez węzła na końcu lina przeleciała przez przyrząd i wspinający się spadł. Z ośmiu metrów. Można by przypuszczać, że przeżyje, ale lądując, uderzył głową o kamień, a w takich przypadkach wystarczą nawet dwa metry.

– Ludzki błąd – zauważyłem.

– A nie jest tak zawsze? Kiedy ostatnio pan słyszał, że lina pękła albo wyrwało spit ze ściany?

– Racja.

– To było okropne. – Pokręciła głową. – A jednak. Czytałam, że tam gdzie zdarza się wypadek śmiertelny, często odnotowuje się wyraźne zwiększenie liczby wspinaczy.

– Tak?

– Mało kto mówi o tym głośno, ale gdyby ze wspinaniem nie wiązało się pewne ryzyko, wiele osób w ogóle by się w to nie bawiło.

– Uzależnieni od adrenaliny?

– I tak, i nie. Wydaje mi się, że uzależniamy się nie od strachu, ale od kontroli. Od poczucia panowania nad zagrożeniami i własnym losem, od posiadania kontroli, której poza tym brakuje nam w życiu. Jesteśmy troszeczkę bohaterami, bo nie popełniamy błędów w sytuacjach krytycznych.

– Aż do dnia, w którym tracimy kontrolę i popełniamy ten błąd – stwierdziłem, popijając kawę. Była smaczna. – Jeśli to w ogóle błąd.

– To prawda – powiedziała cicho.

– Tamtej nocy, kiedy Franz i Julian się pokłócili, Franz dzwonił do pani osiem razy. Dzień później Julian zniknął. Czego Franz chciał?

– Nie wiem. Umówić się na wspólne wspinanie? Może po tej kłótni brakowało mu partnera?

– Według jego rejestru połączeń pani nie oddzwoniła. Ale zadzwoniła pani na telefon Juliana. Dlaczego?

Włożyła bluzę z polaru i objęła kubek z kawą dłońmi, żeby je ogrzać. Z namysłem kiwnęła głową.

– Oni są tacy sami, Franz i Julian. A mimo to różni. Z Julianem łatwiej się rozmawia. Ale zadzwoniłam tylko po to, żeby sprawdzić, czy przypadkiem wszyscy nie zapomnieli o czymś, co jest najbardziej oczywiste. Że Julian może gdzieś być i mieć przy sobie telefon.

– Rzeczywiście. Podobno są jednocześnie tacy sami i inni. Najwyraźniej lubią różną muzykę. Led Zeppelin i... – Już zapomniałem, jak nazywał się tamten smętny piosenkarz. – Ale wpadła im w oko ta sama dziewczyna.

– Podobno.

Spojrzałem na nią. Mój radar wykrywający zazdrość nie wychwycił żadnych sygnałów. Tu nie chodziło o jakieś miłostki, ona nie była zakochana w Julianie ani nie miała z nim romansu. Franz nie próbował skontaktować się z Victorią, aby pomogła mu podstawić nogę romansowi Juliana i Heleny. O co więc chodziło?

– Jak pan myśli, co się stało? – zapytała Victoria. – Czy Julian wypłynął i zasłabł w wodzie? Może z powodu tego wstrząsu mózgu, którego doznał w barze?

Zrozumiałem, że mnie testuje, że moja odpowiedź zdecyduje o jej następnym ruchu.

– Nie sądzę – powiedziałem. – Myślę, że Franz go zabił.

Spojrzałem na nią. I tak jak po części się spodziewałem, wyglądała na mniej zszokowaną, niż powinna, gdyby czegoś nie wiedziała. Wypiła duży łyk kawy, jakby chciała ukryć, że i tak musi coś przełknąć.

– A więc? – spytałem.

Rozejrzała się. Tamten drugi czteroosobowy zespół znajdował się w oddaleniu, poza granicą słyszalności na wietrze.

– Widziałam, jak Franz wraca do domu tamtego wieczoru.

Usłyszę to teraz.

– Nie mogłam spać i siedziałam na balkonie mojego pokoju po drugiej stronie ulicy. Zobaczyłam, jak Franz parkuje i wysiada z samochodu. Juliana z nim nie było. Franz coś niósł, wyglądało to na ubranie. Kiedy otworzył drzwi kluczem, rozejrzał się i sądzę, że mnie zauważył. Chyba widział, że na niego patrzę. Myślę, że właśnie dlatego dzwonił. Chciał się wytłumaczyć.

– Pani nie chciała słuchać tych tłumaczeń.

– W ogóle nie chciałam się w to mieszać, dopóki nie będziemy wiedzieć czegoś więcej, dopóki Julian się nie znajdzie. – Westchnęła. – Pomyślałam, że jeśli się nie odnajdzie lub zostanie znaleziony martwy, pójdę do was i o tym powiem. Wcześniej wszystko tylko by się skomplikowało. Wyglądałoby tak, jakbym chciała oskarżyć Franza o popełnienie jakiegoś przestępstwa. Jesteśmy paczką przyjaciół, wspinaczy, ufamy sobie nawzajem. Codziennie oddajemy swoje życie w ręce kogoś z tej grupy. Mogłam wszystko zepsuć, bez powodu, gdybym działała zbyt pochopnie. Rozumie pan?

– Rozumiem.

– Niech to szlag.

Powiodłem wzrokiem za jej spojrzeniem w dół zbocza. Z drogi w dole ktoś zaczął podchodzić pod górę.

– To Franz. – Wstała i pomachała.

Zmrużyłem oczy.

– Na pewno?

– Można go poznać po tej czapce *gay rights*.

Znów zmrużyłem oczy. *Gay rights*. Tęczowa flaga, nie rastafari.

– Sądziłem, że Franz jest hetero – powiedziałem.

– A słyszał pan, że można walczyć nie tylko o własne prawa?

– I Franz Schmid walczy?

– Nie wiem – odparła. – W każdym razie kibicuje St. Pauli i śledzi rozgrywki Bundesligi.

– Słucham?

– W piłce nożnej. Jego rodzice pochodzili z mojego miasta, z Hamburga. A u nas są dwa rywalizujące ze sobą kluby. Jest HSV, duży, porządny bogaty klub, któremu kibicujemy Julian i ja. I drugi, gniewny, mały, lewicujący klub punkowy, St. Pauli z piracką trupią czaszką jako symbolem, głośni zwolennicy przyznania praw gejom i wszystkiego innego, co irytuje hamburskie mieszczaństwo. Franzowi najwyraźniej się to podoba.

Postać na dole zatrzymała się i spojrzała w naszą stronę. Podniosłem się, aby pokazać, że to nie jest żadna zasadzka. Franz wciąż stał, sprawiał wrażenie, że nas obserwuje. Przypuszczałem, iż zorientował się, że machającą do niego osobą jest Victoria, koleżanka od wspinaczki, ale zastanawiał się, kim jest ta druga. Może rozpoznał garnitur. Pewnie oczekiwał, że pojawię się znów z SMS-em, w którym jasno informował o zabiciu Juliana. Miał dość czasu na wymyślenie jakiejś wymówki. Spodziewałem się czegoś w rodzaju, że treść miała wzbudzić w Helenie ciekawość, zanim powie jej, że trochę przesadził, bo tak naprawdę rzucił tylko bratu w głowę kulą bilardową. Teraz jednak, widząc mnie i Victorię razem, być może zrozumiał, że to nie wystarczy.

Franz wreszcie ruszył. W dół.

– Pewnie uznał, że za mocno wieje – stwierdziła Victoria.

– Pewnie tak – powiedziałem.

Zobaczyłem, że Franz wsiada do wynajętego samochodu. Kurz poderwał się z drogi i auto zniknęło mi z oczu. Z powrotem usiadłem i popatrzyłem na morze. Białe grzbiety fal wyglądały jak róże namalowane na szybie przez mróz w Oksfordzie. Nawet tutaj można było w porywach wiatru poczuć smak soli. Franz mógł uciekać, ale uciec i tak by nie zdołał.

Ciągle byłem na posterunku policji, kiedy Franz Schmid zadzwonił do mnie tuż przed północą.

– Gdzie pan jest? – spytałem, podchodząc do ścianki działowej i dając Georgiosowi znak, kogo mam na łączach. – Nie odbierał pan moich telefonów.

– Słaby zasięg – odparł Franz.

– Podobno.

Dzwoniłem wcześniej do prokuratora w Atenach i dostałem od niego nakaz aresztowania Franza Schmida, ale nie znaleźliśmy Franza ani tam, gdzie wynajmował pokój, ani na plaży, ani też w żadnej z restauracji i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Georgios miał do dyspozycji jedynie dwa radiowozy patrolowe i czterech funkcjonariuszy, a tak długo, jak pogoda się nie poprawiała, nie mogliśmy liczyć na posiłki z Kos, zaproponowałem więc, żebyśmy wykorzystali stacje bazowe do zlokalizowania komórki Franza. Georgios wyjaśnił mi jednak, że na Kalimnos jest tak niewiele stacji bazowych, że to nie ograniczyłoby znacząco rejonu poszukiwań.

– Zajrzałem do restauracji Heleny – powiedział Franz. – Ale zastałem tam jej ojca. Nie pozwolił mi się z nią spotkać. Maczał pan w tym palce?

– Owszem. Uprzedziłem Helenę i jej rodzinę, że mają trzymać się od pana z daleka, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

– Mówiłem jej ojcu, że mam uczciwe zamiary, że chcę się z Heleną ożenić.

– Wiemy. Dzwonił do nas po pana wizycie.

– Powiedział też, że przekazał mi list od Heleny?

– Owszem, wspomniał o tym.

– Chce pan posłuchać, co ona pisze? – Franz zaczął czytać, nie czekając na odpowiedź. – „Drogi Franz, być może dla każdego człowieka istnieje jedna osoba, która jest mu przeznaczona i którą musimy spotkać przynajmniej raz w życiu. My nigdy nie byliśmy sobie przeznaczeni, Franz. Ale modlę się do Boga o to, aby nie okazało się, że zabiłeś Juliana. Teraz,

kiedy już wiem, że to on był mi pisany, błagam Cię na kolanach: jeśli to w Twojej mocy, ocal Juliana. Helena”. Najwyraźniej przekonał ją pan, że to ja stoję za zaginięciem Juliana, panie Balli. Że mogłem go zabić. Ma pan świadomość, że właśnie niszczy mi pan życie? Kocham Helenę bardziej, niż kochałem jakąkolwiek inną dziewczynę. Kocham ją bardziej niż siebie. Po prostu nie wyobrażam sobie życia bez niej.

Słuchałem. Wprawdzie w jego telefonie szumiał wiatr, lecz słyszałem też fale. Oczywiście mógł być w każdym miejscu na wyspie.

– Najlepiej będzie, jeśli zgłosi się pan do nas, do Pothii, Franz. Jeżeli jest pan niewinny, może pan na tym bardzo wiele zyskać.

– A jeśli jestem winny?

– To również może pan zyskać na zgłoszeniu się. I tak się pan nie wywinie, jest pan przecież na wyspie.

W milczeniu, które zapadło, dalej słuchałem szumu fal. Brzmiały inaczej niż te uderzające o brzeg poniżej mojego hotelu. Ale na czym polegała różnica?

– Julian też nie jest niewinny – stwierdził Franz.

Wymieniłem spojrzenia z Georgiosem, obaj to usłyszeliśmy. Jest. Nie „był”. Ale takim rzeczom nie można ufać. Wielokrotnie słyszałem morderców mówiących o swoich ofiarach tak, jakby wciąż pozostawały przy życiu. Może dla nich właśnie tak jest. A ściślej mówiąc: wiem, że nieżyjąca osoba może być stałym towarzyszem swojego zabójcy.

– Julian kłamał. Twierdził, że wcześniej tego wieczoru kontaktował się z Heleną z własnego telefonu. Że wyznał jej wszystko i że teraz to oni się kochają. Chciał, żebym zrezygnował z niej bez walki. Wiem, że Julian jest kłamcą i uwodzicielem, że jest gotów wbić każdemu sztylet w plecy, aby tylko dostać to, na czym mu zależy. Ale tym razem mnie rozwścieczył. I to tak bardzo, że nie wie pan, jakie to uczucie...

Nie odpowiedziałem.

– Julian odebrał mi najlepsze, co miałem – ciągnął Franz. – Bo nigdy nie miałem za dużo, panie Balli. Zawsze to on dostawał to, co dobre. Niech

mnie pan nie pyta dlaczego. Urodziliśmy się identyczni, a mimo wszystko on miał coś, czego ja nie mam. Coś, co zyskał gdzieś po drodze. Na jakichś rozstajach on dostał światło, a ja ciemność i nasze drogi się rozeszły. I koniecznie chciał dostać także ją...

Fale nie waliły w tak brutalny sposób jak te rozbijające się o skały poniżej mojego hotelu. Dźwięk był bardziej rozciągnięty, na tym polegała różnica. Zalewały brzeg. Franz Schmid znajdował się na jakiejś plaży.

– Dlatego go skazałem – powiedział. – Ale ponieważ jestem Kalifornijczykiem, nie skazałem go na śmierć, tylko na dożywotnie więzienie. Czy to nie rozsądna kara za zniszczenie komuś życia? Czy nie taką karę wymierzyłby również pan, Balli? Tak czy nie? A może nie jest pan przeciwnikiem kary śmierci?

Nie odpowiedziałem. Czułem, że Georgios się we mnie wpatruje.

– Pozwolę, żeby Julian zgnił w więzieniu swojej miłości – mówił dalej Franz. – Wyrzuciłem klucz. Chociaż, skoro mówimy o dożywociu... Takie życie nie potrwa długo.

– Gdzie on jest?

– To, o czym pan mówi, że się nie wywinę...

– Gdzie on jest, Franz?

– ...nie do końca się zgadza. Wkrótce stąd odlatuję. Lotem dziewięć dziewiętnaście, tak więc żegnam, panie Balli.

– Franz, powiedz nam, gdzie... Franz? Franz!

– Rozłączył się? – Georgios aż wstał.

Pokręciłem głową. Nadal się wsłuchiwałem. Ale teraz słychać było jedynie wiatr i fale.

– Lotnisko ciągle zamknięte? – spytałem.

– Oczywiście.

– Słyszałeś coś o locie dziewięć dziewiętnaście?

Georgios Kostopoulos pokręcił głową.

– On jest sam na jakiejś plaży – oświadczyłem.

– Na Kalimnos jest mnóstwo plaż. I na żadnej nie ma ludzi w sztormową noc.

– To plaża, gdzie płycizna sięga daleko. Odgłos jest taki, jakby fale załamywały się w dużej odległości od brzegu i długo przetaczały.

– Zadzwonię do Christiny i ją zapytam, ona surfuje.

Samochód wynajęty na nazwisko Franza Schmida odnaleziono następnego dnia rano.

Stał na parkingu, będącym jednocześnie placem do zawracania przy piaszczystej plaży między Pothią a Masouri. Od strony kierowcy kilka częściowo przysypanych śladów stóp prowadziło prosto do morza. Georgios i ja staliśmy w porywach wiatru, obserwując nurków, którzy walczyli z przelewającymi się falami. Na południowym krańcu plaży morze obmywało płaskie, gładkie skały, które nieco dalej w głębi lądu przechodziły w pionową ścianę, żółtobrązowy mur z wapienia; wznosił się on aż do szczytu, na którym położone było lotnisko. W pewnym oddaleniu śladów na plaży szukała Christina ze swoim golden retrieverem. Pies urodził się tylko z jednym sprawnym okiem, jak powiedziała mi podczas przerwy na kawę na posterunku, i właśnie dlatego dała mu na imię Odyn. A gdy spytałem, dlaczego wybrała Odyna, zamiast jednookiego z naszej własnej mitologii, na przykład Polifema, popatrzyła na mnie i odparła: „Odyn jest krótsze”.

Zdaniem Georgiosa Odyn był dobrym psem tropiącym. Christina zabrała go do pokoju Franza i Juliana, aby wiedział, za jakim zapachem ma iść, i gdy dotarliśmy na plażę, od razu podbiegł do samochodu, stanął przy nim i szczekał, dopóki Georgios nie włamał się do środka. W samochodzie znaleźliśmy ubrania Franza Schmida, buty, spodnie, bieliznę, tęczową czapkę St. Pauli, a także kurtkę z telefonem i portfelem.

– A więc miał rację – stwierdził Georgios. – Udało mu się wywinąć.

– Tak. – Przesuwałem wzrokiem po spienionych ryczących falach. Georgios ściągnął dwóch nurków z miejscowego klubu i teraz jeden z nich sygnalizował coś drugiemu, próbując wołać, ale zagłuszał go odgłos fal.

– Sądzisz, że to tutaj wyrzucił też zwłoki Juliana? – spytał Georgios.

– Być może. Jeśli go zabił.

– Myślisz o tym, co powiedział o zamknięciu brata w dożywotnim więzieniu?

– Mógł coś takiego zrobić. Albo nie. Może po prostu postawił Juliana w sytuacji, o której wiedział, że Julian nie tylko umrze, ale najpierw będzie także cierpiał.

– Na przykład?

– Nie wiem. Wściekłość wywołana zazdrością jest, podobnie jak stan zakochania, szaleństwem skłaniającym ludzi do podejmowania działań, jakie w innych sytuacjach nawet by im się nie przyśniły.

Moje spojrzenie omiotło skały. Franz Schmid musiał myśleć tak samo: skały były na tyle płaskie i wypolerowane przez morze, że mógł dotrzeć do nich wodą, wyjść na brzeg w miejscu, gdzie nie zostawiłby śladów stóp, i w ten sposób się wywinąć. Lotem dziewięć dziewiętnaście? Co to miało znaczyć? Żeby dotrzeć do lotniska, musiałby albo wrócić do drogi, albo też podjąć wspinaczkę prosto do góry. Bez liny.

Free solo.

Nie zdołałem tego powstrzymać, zamknąłem oczy i zobaczyłem, jak Trevor spada.

Szybko znów je otworzyłem, żeby nie widzieć, jak uderza o ziemię.

Skoncentrowałem się.

Franz Schmid być może również stał tutaj, patrzył i myślał o tym samym co ja. O tym, że lotnisko jest zamknięte. Że zamknięte są wszystkie drogi wyjścia. Oprócz tej jednej. Ostatecznej. Ale trudno jest po prostu wypłynąć w morze i się utopić, to wymaga czasu, to wymaga woli, niepoddawania się instynktowi przeżycia nakazującemu zawrócić.

– Znaleźliśmy to na płyciźnie.

Odwróciliśmy się obaj z Georgiosem. To mówił jeden z nurków. W ręku trzymał pistolet.

Georgios wziął go do ręki, zaczął oglądać z różnych stron.

– Wygląda na stary. – Podrapał paznokciem spodnią stronę rękojeści, tę z magazynkiem.

– Luger, druga wojna światowa – stwierdziłem, biorąc od niego pistolet. Nie był zardzewiały, a perlące się na nim krople wody świadczyły o tym, że wciąż jest nasmarowany, nie leżał więc w morzu długo. Nacisnąłem przycisk zwalniający przy spuście, wyjąłem magazynek i podałem go Georgiosowi. – Osiem, jeśli jest pełny.

Georgios wyjął kule.

– Siedem – oznajmił.

Pokiwałem głową. Poczułem ogarniający mnie bezbrzeżny smutek. Zapowiadano, że nazajutrz wieczorem wiatr ucichnie i słońce znów będzie świecić, ale u mnie się zachmurzyło. Z reguły potrafiłem przeczuć, czy to sytuacja przemijająca, czy też nadciąga kolejny ciężki okres. Ale akurat w tej chwili nie umiałem tego ocenić.

– Lot dziewięć dziewiętnaście – powiedziałem.

– Co?

– To kaliber pocisków, które trzymasz w ręku.

Kiedy zadzwoniłem do szefa wydziału zabójstw, żeby złożyć mu raport, poinformował mnie, że ateńska prasa już się na nich rzuciła, a wielu dziennikarzy i fotografów zdążyło nawet dotrzeć na Kos i tylko czeka, aż wiatr ucichnie na tyle, by jakaś łódź mogła ich przewieźć na wyspę.

Wróciłem do swojego hotelu w Masouri i zamówiłem do pokoju butelkę ouzo. Pijam wszystkie marki, z wyjątkiem bardzo niestety skomercjalizowanego i rozwodnionego Ouzo 12, ale ucieszyłem się, gdy się okazało, że mają moją ulubioną markę, Pitsiladi.

Popijając, rozmyślałem o tym, jakie to wszystko dziwne. Sprawa dotycząca zabójstwa – dwaj zmarli, ale żadnych zwłok. Żadnej nagabującej prasy, żadnych naciskających szefów czy zestresowanych zespołów śledczych. Żadnych mgliście wyrażających się techników kryminalistyki

i patologów sądowych, żadnych histerycznych krewnych. Jedynie sztorm i cisza. Miałem nadzieję, że ten sztorm potrwa wiecznie.

Po opróżnieniu blisko połowy butelki zszedłem do baru hotelowego, żeby nie wypić reszty. Zobaczyłem Victorię Hässel przy stoliku razem z członkami zespołu wspinaczkowego, których widziałem dzień wcześniej. Usiadłem przy barze i zamówiłem piwo.

– Przepraszam?

Brytyjski akcent. Lekko się odwróciłem. Uśmiechnięty mężczyzna, koszula w kratę, siwe włosy, ale wysportowany jak na swój wiek, koło sześćdziesiątki. Widywałem tu wielu mężczyzn tego typu, angielskich wspinaczy ze starej szkoły. Wychowali się na tak zwanej wspinaczce tradycyjnej, czyli na drogach bez stałych punktów asekuracyjnych, musieli więc zakładać własną protekcję w rysach i dziurkach. Na skałach z piaskowca w Peak District, gdzie drogi charakteryzowano nie tylko stopniem trudności, lecz również stopniem śmiertelnego zagrożenia. Gdzie albo padało, albo było za zimno, albo tak gorąco, że wykluwały się wyjątkowo krwiożercze komary, zjadające człowieka żywcem. Anglicy to uwielbiali.

– Pamiętasz mnie? – spytał mężczyzna. – Byliśmy w tym samym zespole wspinaczkowym pod Sheffield. To musiał być osiemdziesiąty piąty albo osiemdziesiąty szósty rok.

Pokręciłem głową.

– Daj spokój – roześmiał się. – Nie przypominam sobie tak naprędce twojego imienia, ale pamiętam, że wspinałeś się z Trevorem Biggsem. On był przecież stamtąd. I z tą Francuzką, która dosłownie fruwała po drogach, na których my się tak męczyliśmy. – Nagle spoważniał, jakby coś sobie przypomniał. – Tak w ogóle to cholernie przykre to, co się stało z Trevorem.

– Obawiam się, że myli mnie pan z kimś innym, *sir*.

Anglik przez chwilę stał z otwartymi ustami i lekko zdziwioną miną. Widziałem, że jego mózg gorączkowo przeszukuje zakamarki pamięci

w poszukiwaniu błędu. W końcu jakby coś znalazł, z namysłem kiwnął głową.

– Przepraszam.

Znów zwróciłem się w stronę baru i w lustrze zobaczyłem, że dosiadł się do swoich wspinających się kolegów i ich wspinających się żon. Powiedział coś, ruchem głowy wskazując na mnie. Rozmowa znów zaczęła się toczyć, podawali sobie książkę, lokalny przewodnik, w którym opisano drogi wspinaczkowe. Wyglądało to na przyjemne życie.

Moje spojrzenie przesunęło się dalej do jednego z pozostałych stolików. Tam napotkało oczy Victorii Hässel.

Siedziała w wieczorowym wydaniu ubioru wspinaczy: w stroju wspinaczkowym, tyle że czystym. Włosy, które poprzednio miała schowane pod czapką, po rozpuszczeniu okazały się jasne i długie. Siedziała zwrócona w moją stronę i wyglądała tak, jakby chwilowo wyłączyła się z rozmowy. Przytrzymała mnie wzrokiem. Nie wiem, czy na coś czekała. Na jakiś sygnał. Na informacje o sprawie Schmidów. A może tylko na skinienie głową, oznaczające, że ją rozpoznaję.

Zobaczyłem, że zamierza wstać, ale zdążyłem już rzucić jedno euro na kontuar i ją uprzedziłem. Zsunąłem się z barowego stołka i wyszedłem. Po powrocie do pokoju zamknąłem drzwi na klucz.

W środku nocy obudził mnie huk, taki jak wystrzał z pistoletu. Usiadłem na łóżku, serce waliło mi jak dzikie. To tłukła się okiennica. Mocny poryw wiatru musiał ją wreszcie oswobodzić. Leżałem, nie śpiąc i myśląc o Monique. O Monique i Trevorze. Zasnąłem dopiero, gdy zaczęło się rozjaśniać.

– Zapowiadają, że wiatr osłabnie. – Georgios nalał mi kawy. – Jutro na pewno dostaniesz się na Kos.

Kiwnąłem głową i wyjrzałem przez okno posterunku. Życie w porcie wydawało się dziwnie niezaburzone tym, że wyspa praktycznie już trzeci dzień pozostawała odizolowana od świata. Ale tak to już jest, życie toczy

się dalej nawet wtedy – a może właśnie szczególnie wtedy – kiedy wydaje się nie do życia.

Weszła Christina z jakimś innym funkcjonariuszem.

– Miałeś rację, Georgios – powiedziała. – Schmid kupił lugera u Marinettiego. Handlarz rozpoznał Franza na zdjęciu. Mówi, że ten człowiek był u niego w sklepie po południu na dzień przed zgłoszeniem zaginięcia Juliana. Marinetti odniósł wrażenie, że Franz jest kolekcjonerem, w każdym razie kupił lugera i włoskie kajdanki, też z czasów wojny. Marinetti oczywiście przysięga, że był przekonany, że luger jest zaplombowany.

Georgios pokiwał głową z miną bardziej zadowoloną niż zirytowaną. Kiedy wcześniej spytałem, w jaki sposób, a przede wszystkim po co Franz zabrał broń do samolotu z Kalifornii, Georgios zaproponował, żeby sprawdzić u Marinettiego, handlarza antykami w Pothii. Jak twierdził, jego piwnica jest tak pełna wojennych pozostałości po okupacji włoskiej i długiej okupacji niemieckiej Kalimnos, że handlarz sam nie ma pojęcia, co w niej trzyma.

– Czy wobec tego możemy uznać sprawę za wyjaśnioną? – spytała Christina.

Georgios odwrócił się do mnie, jakby chciał przekazać mi to pytanie.

– Za zakończoną – odparłem. – Ale nie za wyjaśnioną.

– Nie?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mamy na przykład zwłok, ostatecznie potwierdzających przebieg wydarzeń, którego się domyślamy. Tymczasem obaj bracia mogą teraz siedzieć w samolocie do Ameryki i śmiać się z nas po tym *practical joke* wszech czasów.

– Chyba w to nie wierzysz? – roześmiał się Georgios.

– Ani trochę. Ale dopóki istnieje taka możliwość, zawsze pozostaną wątpliwości. Fizyk Richard Feynman mówił, że nie wiemy nic na pewno, a jedynie z różnym stopniem prawdopodobieństwa.

– Ale jeśli są wątpliwości, to co z nimi robimy? – zapytała Christina, która sprawiała wrażenie naprawdę wzburzonej.

– Nic – odpowiedziałem. – Poprzestajemy na rozsądnym stopniu prawdopodobieństwa i bierzemy się do następnej sprawy.

– Czy to nie wywołuje w tobie... – Christina urwała, jakby sądząc, że posuwa się za daleko.

– Frustracji? – dokończyłem.

– Tak!

Musiałem się uśmiechnąć.

– Pamiętajcie, że jestem specem od zazdrości. Z reguły uczestniczę w śledztwie tylko pierwszego albo drugiego dnia. Jestem facetem z czarodziejską różdżką, tym, który wskazuje, gdzie w ziemi może być woda, a kopanie pozostawia innym. Jestem wyćwiczony w porzucaniu spraw, w których nie znalazłem odpowiedzi.

Christina przyjrzała mi się uważnie. Widziałem, że mi nie wierzy.

– Czy ja jestem zazdrosna? – spytała, kładąc ręce na biodrach i robiąc wyzywającą minę.

– Nie wiem. Musiałabyś mi coś opowiedzieć.

– Co na przykład?

– Co twoim zdaniem mogłoby wzbudzić w tobie zazdrość?

– A jeśli nie zechcę? Jeśli to za bardzo bolesne?

– Wtedy nie mógłbym tego stwierdzić. – Klasnąłem w ręce. – Zjemy coś, kochani?

– Tak – podchwycił Georgios, ale Christina dalej na mnie patrzyła. Chyba pojęła, że rozumiem. Opowieść czerwonych oczu. Była zazdrosna.

Przez resztę dnia chodziłem po wąskich ścieżkach na zboczu po południowej stronie plaży, przy której znaleźliśmy samochód Franza Schmida i pistolet. Wznoszące się nade mną wysokie, niedostępne wapienne ściany skojarzyły mi się ze sklepieniami w katedrze Christ Church w Oksfordzie, która swoją angielską mroczną powagą tak bardzo

się różniła na przykład od jasnej kolorowej katedry Mitropoli w Atenach. Może właśnie dlatego – mimo że jestem ateistą – bardziej u siebie czułem się w Christ Church.

Rozmawiałem przez telefon z szefem. Powiedział, że następnego dnia przyślą śledczego i dwóch techników kryminalistyki, jeśli wiatr ustanie, tak jak zapowiadają. I że chce, abym wracał, bo w dzielnicy Tzitzifies zamordowana została kobieta, a mąż nie ma alibi. Poprosiłem, żeby przydzielił tę sprawę komuś innemu.

– Rodzina ofiary życzy sobie ciebie – oświadczył mój szef.

– O tym chyba my decydujemy?

Podał nazwisko rodziny. Jedna z wielkich dynastii armatorów. Westchnąłem i się rozłączyłem. Kocham swoją ojczyznę, ale niektóre rzeczy nigdy się nie zmienią.

Mój wzrok padł na wyjątkowo duże przewieszenie, a raczej to przewieszenie go przyciągnęło. Zobaczyłem ewidentną, wspaniałą drogę wspinaczkową prowadzącą od stałego stanowiska tuż przy ścianie. Tu i ówdzie od spitów tkwiących w skale odbijało się światło słońca. Przewieszka nie pozwalała mi zobaczyć ringu zjazdowego[4], a ponieważ tuż za ścieżką i stanowiskiem asekuracyjnym skalna ściana opadała pionowo w morze, nie mogłem przejść dalej. Ale to musiała być długa droga, co najmniej czterdzieści metrów.

Zrobiłem krok od ścieżki na samą krawędź i spojrzałem pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt metrów w dół, gdzie fale rozbijały się o skały. Wspinacz opuszczany z punktu zjazdowego musiałby zrobić wahadło na linie, żeby trafić na stanowisko asekuracyjne pod skałą, a nie opaść wprost do morza. Ale jakaż to piękna droga! W miarę jak moje spojrzenie sunęło do góry, mózg odruchowo zaczął analizować, wizualizować ruchy wspinacza, jakich wymagałoby wykorzystanie chwytów i stopni. To było jak włożenie kluczyka do stacyjki maszyny wykopanej spod ruin po wielu latach. Czy ciągle będzie działać? Przekręciłem kluczyk, wcisnąłem pedał gazu. Silnik wspinaczkowy niechętnie jęknął, zakasłał, zaprotestował. Ale w końcu się uruchomił. A protesty ucichły. Przeciwnie, mięśnie pamiętały, aż się

radowały, gdy mózg udawał wspinaczkę. Nie dostrzegłem żadnych innych dróg w pobliżu, przypuszczałem więc, że większość wspinaczy uważa, że trochę tu za daleko, żeby pokonać tylko jedną drogę, nawet spektakularną. Ale ja bym to zrobił. Nawet gdyby to miała być ostatnia droga w moim życiu. Zwłaszcza wtedy.

Wieczorem wyobrażona wspinaczka wciąż we mnie tkwiła. Zamówiłem do pokoju kolejną butelkę pitsiladi. Wiatr już ucichł, fale nie waliły tak mocno o wapienne skały, a w nagłych kieszeniach idealnej ciszy mogłem usłyszeć nawet muzykę dochodzącą z baru. Przypuszczałem, że Victoria Hässel tam jest. Dalej siedziałem w swoim pokoju. O dziesiątej byłem na tyle pijany, że mogłem się położyć.

Kiedy się obudziłem następnego dnia, nie słyszałem już wiatru i fałszywych dźwięków fletu wygrywanych na szczelinach, rurach i rynnach, muzyki, do której tak się przyzwyczaiłem.

Otworzyłem okiennice. Morze było błękitne bez śladu bieli i już nie szalało, tylko wzdychało. Ciężko, leniwie pompowało fale, oblewając nimi ciało lądu, jak kochanek po orgazmie. Morze było zmęczone. Tak jak ja.

Położyłem się z powrotem do łóżka i zadzwoniłem do recepcji.

Recepcjonista powiedział mi, że prom znów zaczął kursować, następny odjazd jest za godzinę, swobodnie zdążyłbym więc na samolot do Aten odlatujący za trzy godziny. Czy ma mi zamówić taksówkę?

Zamknąłem oczy.

– Zamówię... – zacząłem.

– Na którą?

– Nie taksówkę. Dwie butelki pitsiladi.

Krótka chwila milczenia.

– Obawiam się, że nie mamy już tej marki, panie Balli. Ale mamy ouzo 12.

– Nie, dziękuję. – Rozłączyłem się.

Długą chwilę leżałem, wsłuchując się w morze, po czym znów zadzwoniłem do recepcji.

– Proszę je przysłać na górę.

Piłem powoli, ale równo. Moje spojrzenie obserwowało cienie na Telendos, które przesuwały się i skracały, aż w końcu, kiedy nadeszło popołudnie, znów się rozciągnęły jak w geście zwycięstwa. Myślałem o wszystkich historiach, których wysłuchałem w związku ze swoją pracą. O tym, że prawdą jest, iż przyznanie się do winy to opowieść, która tylko czeka na publiczność.

Kiedy się ściemniło, zszedłem do baru. Tak jak się spodziewałem, siedziała tam Victoria Hässel.

Poznałem Monique w Oksfordzie. Studiowała literaturę i historię tak jak ja, ale zaczęła rok wcześniej, nie chodziliśmy więc na te same kursy i wykłady. A jednak w takich miejscach cudzoziemcy ciągną do siebie i wkrótce mieliśmy już za sobą tyle spotkań w różnych sytuacjach towarzyskich, że ośmieliłem się zaprosić ją na piwo.

Skrzywiła się.

– Jeśli już, to musi być guinness.

– Lubisz guinnessa?

– Pewnie nie, nienawidzę piwa. Ale jeśli już musimy pić piwo, to wyłącznie guinnessa. Podobno jest najgorszy ze wszystkiego. Obiecuję tylko, że będę bardziej pozytywnie nastawiona, niż mogę się teraz wydawać.

Logika Monique nakazywała jej spróbować wszystkiego, i to z otwartym umysłem, tak aby później ze spokojnym sumieniem i na bazie nowo pozyskanej wiedzy można to było odrzucić. Ta zasada dotyczyła wszystkiego. Poglądów, literatury, muzyki, jedzenia i napojów. I mnie, dodawałem do tego później. Różniliśmy się bowiem od siebie tak, jak tylko można sobie wyobrazić. Monique była najsłodszą, najbardziej czarującą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem. Tryskała dobrym humorem

i była tak miła dla wszystkich wokół siebie, że od razu trzeba było się poddać i cieszyć z przypadającej ci roli złego gliniarza. Tak obojętna na swoje pochodzenie z wyższych sfer, na wyjątkową inteligencję i wręcz irytująco nieskazitelną urodę, że trzeba było od razu się poddać i lubić ją mimo tego wszystkiego. A gdy na kogoś patrzyła, to również pozostawało jedynie się poddać. Poddać i zrezygnować z wszelkiego oporu, zakochać się w niej na zabój. Wszystkich zabiegających o jej względy traktowała ze słodką mieszanką taktownej uważności i łagodnego odrzucenia, które kazały myśleć, że za jej zasadą wypróbowania wszystkiego kryje się coś innego, coś, co wynika z natury, a nie z przyjętej zasady. Monique oszczędzała się dla tego jedynego. Była dziewicą nie z przekonania, lecz ze skłonności.

Ze mną było odwrotnie. Gardziłem swoją rozwiązłością, ale nie potrafiłem nad nią zapanować. Chociaż byłem nieśmiały, a niektórzy twierdzili, że wręcz ponury, i ze swoim sztywnym zachowaniem mogłem wydawać się bardziej Anglikiem niż Grekiem, to zostałem obdarzony wyglądem najwyraźniej atrakcyjnym dla płci przeciwnej. Szczególnie młode Angielki ulegały mojej, jak mówiły, urodzie Cata Stevensa, czyli ciemnym kędziorom i piwnym oczom. Ponadto – i wydaje mi się, że to bardziej niż moja uroda skłaniało je do otwarcia drzwi zarówno do serca, jak i do sypialni – posiadałem zdolność słuchania. A raczej interesowało mnie słuchanie. Żyłem i oddychałem dla wszystkich historii z wyjątkiem swojej własnej, nie było więc z mojej strony dużą ofiarą wysłuchiwanie długich monologów kolejnych młodych kobiet o uprzywilejowanym dzieciństwie, trudnych relacjach z matką, wątpliwościach co do skłonności seksualnych, najświeższym zawodzie miłosnym, mieszkaniu w Londynie, z którego nie może dłużej korzystać, ponieważ ojciec zainstalował w nim młodą kochankę w jej wieku, dylematach związanych z ewentualną operacją plastyczną i paskudnych przyjaciółkach intrygantkach, które pojechały do Saint-Tropez, nie informując jej o tym. Ewentualnie – jeśli miałem więcej szczęścia – o myślach samobójczych, rozterkach egzystencjalnych i sekretnych ambicjach pisarskich. Po takiej rozmowie wiele z tych dziewcząt chciało uprawiać ze mną seks, zwłaszcza jeśli

prawie się nie odzywałem. Trochę tak, jakby milczenie zawsze wychodziło na moją korzyść, było interpretowane w sposób najkorzystniejszy z możliwych dla mnie. Ale owe erotyczne intermezza nie przydały mi wcale większej wiary w siebie, przeciwnie, jeszcze wzmocniły pogardę dla siebie samego. Te dziewczyny sypiały ze mną, ponieważ moje milczenie umożliwiało im wyobrażanie mnie sobie takiego, jakiego chciały mnie widzieć. Mogłem wszystko stracić, pokazując im, kim naprawdę jestem: nieśmiałym dziwkarzem pozbawionym pewności siebie, bez substancji i kręgosłupa, jedynie z dwojgiem piwnych oczu i parą wielkich uszu. W krótkim czasie orientowały się zresztą, że moja posępność, wrodzona mroczność pochłania całe światło w pomieszczeniu, musiały więc się stamtąd wydostać, uciec. Nie mam do nich pretensji.

Z Monique wszystko się odmieniło. Ja się odmieniłem. Na przykład zacząłem się odzywać. Już od pierwszej chwili, kiedy pomogliśmy sobie nawzajem w wypiciu pierwszego paskudnego guinnessa, prowadziliśmy rozmowy, a nie monologi, do których przywykłem. Tematy także były inne. Rozmawialiśmy albo o rzeczach poza nami samymi, na przykład o samonapędzających się mechanizmach ubóstwa, o przekonaniu człowieka, że moralność – a konkretnie własna moralność – to stała wielkość. Albo o mniej lub bardziej świadomym powstrzymywaniu się od szukania wiedzy, która może podważyć nasze przekonania polityczne czy religijne. O książkach, które czytaliśmy, których nie czytaliśmy i które powinniśmy przeczytać, ponieważ są dobre. Albo przechwalone. Albo po prostu pouczająco złe.

Nawet jeśli rozmawialiśmy o nas samych i o własnym życiu, zawsze miało to związek z tym, co ogólne, z jakąś ideą czy wyobrażeniem, z *la condition humaine*, jak mawiała Monique, nawiązując nie do mojego ulubionego spośród pisarzy francuskich André Malraux, lecz do zajmującej się filozofią polityki Hannah Arendt. Obrzucaliśmy się nawzajem tymi i innymi nazwiskami pisarzy, nie tyle tocząc walkę, ile korzystając z możliwości wypróbowania samodzielnych refleksji na osobie, której ufa się dostatecznie, by mieć śmiałość popełnić błąd i się do niego przyznać.

Potrafiliśmy się ścierać, aż sypały się iskry, i właśnie taki toczony podniesionymi głosami spór doprowadził do tego, że w pewien późny wieczór po kilku kieliszkach wina w jej pokoju Monique mnie uderzyła, potem objęła i po raz pierwszy się pocałowaliśmy.

Następnego dnia postawiła mi ultimatum. Jeśli nie zgodzę się zostać jej chłopakiem, to nie będziemy się mogli spotykać. Nie wynikało to z desperacji czy z gorącego uczucia do mnie – taka umowa wiązała się z wzajemną seksualną wyłącznością, co dla niej było bezwzględnym wymogiem, ponieważ wprost obsesyjnie bała się choroby wenerycznej, do tego stopnia, że istniały duże szanse na to, iż ów strach zniszczy i skróci jej życie bardziej niż sama choroba. Śmiałem się z tego, ona też się śmiała, ale ultimatum zaakceptowałem.

To Monique zarazila mnie pasją wspinaczki. Ojciec zabierał ją już jako dziecko w rejony, gdzie od dawna uprawia się nowoczesną wspinaczkę sportową, do kanionu Verdon i do Céüse.

W Anglii, prawdę mówiąc, niewiele jest skałek, na które można się wspinać, przynajmniej w okolicach Oksfordu, ale kolega z sąsiedniego pokoju, Trevor Biggs, podobnie jak ja fan Led Zeppelin, nieco pulchny i dobroduszny rudowłosy syn pracownika przemysłowego z Sheffield, opowiadał o kolegach, którzy wspinali się w Peak District w pobliżu jego rodzinnego miasta. Trevor stał się dla mnie kimś w rodzaju stałego skrzydłowego. Swoją towarzyskością i ciepłem przyciągał ludzi – zarówno chłopców, jak i dziewczyny – którzy przysiadali się do nas, a dziewczyny po pewnym czasie zwracały uwagę właśnie na mnie. Trevor dysponował również podniszczoną, ale w pełni na chodzie toyotą hiace, dostawczakiem, którego największym walorem były podgrzewane siedzenia, a gdy zaproponowałem mu, że może połączyć wspinaczkę z odwiedzinami u rodziców, a poza tym jeszcze dwie osoby dorzucą się do benzyny, nie zwlekał z decyzją.

Był to początek trzech lat weekendowych wypadów i wspinaczki. Dojazd zabierał nie więcej niż dwie i pół godziny, lecz aby móc się wspinać jak

najdłużej w ciągu weekendu, nocowaliśmy w namiocie i w samochodzie, a jeśli pogoda była wyjątkowo paskudna, u rodziców Trevora.

W pierwszym roku dość szybko osiągnąłem o wiele większe sukcesy niż Trevor. Możliwe, że byłem bardziej zaangażowany i zależało mi na zaimponowaniu, a przynajmniej na niesprawieniu zawodu Monique. Ona była o wiele lepsza od nas obu i tak już zostało. Nie ze względu na siłę, ale jej drobne, lekkie ciało fruwało po ścianach z techniką, pracą nóg i równowagą baletnicy oraz ze zrozumieniem wspinaczki, o jakim Trevor i ja mogliśmy jedynie marzyć. Dopiero później, kiedy znajdowaliśmy jaskinie, w których mogliśmy się wspinać na przewieszkach i w dachach, bardziej wymagających czystej siły mięśni, zaczęliśmy – najpierw ja, a z czasem również Trevor – pokazywać, co potrafimy. Ale to wskazówki Monique, jej zachęty oraz umiejętność uczestniczenia w naszych radościach i małych triumfach popychały i mnie, i Trevora do przodu. Kiedy jej wesoły perlisty śmiech echem odbijał się od ścian, bo któryś z nas właśnie odpadł od skały i ciskał przekleństwa zawieszony na linie, prosiliśmy, żeby nas opuściła. Nie dlatego, że rezygnowaliśmy, po prostu chcieliśmy spróbować przejść całą drogę jeszcze raz od samego początku.

Czasami – może dlatego, że zdaniem Monique Trevor potrzebował tego bardziej niż ja – można było odnieść wrażenie, że trochę szczodrzej obdarza go pochwałami, kiedy coś mu się uda. Ale to też było w porządku, przecież właśnie za to tak bardzo ją kochałem.

Na trzecim roku zacząłem rozumieć, że Trevor traktuje wspinaczkę poważnie. Już wcześniej powiesiłem przy naszych pokojach tak zwaną chwytotablicę do trenowania palców, której Trevorowi do tej pory nie chciało się tykać. Z czasem jednak zauważyłem, że coraz częściej na niej wisi. Niekiedy miałem wręcz wrażenie, że przyłapuję go na gorącym uczynku, że wolałby, abym nie wiedział, że aż tyle trenuje. Zdradzało go jednak ciało. Kiedy słońce zaczęło przygrzewać i na skałkach w Peak District zrobiło się tak gorąco, że obaj ściągnęliśmy T-shirty, zobaczyłem, że jego nieco pulchny wcześniej tors ciągle jest olśniewająco mlecznobiały, ale teraz nie ma na nim ani grama tłuszczu, a wyraźne mięśnie jak stalowe

kable wiją się pod jego skórą, gdy w swoim stylu, trochę jak robot, piął się po przewieszonych drogach, na których czasami nawet Monique musiała się poddawać. Wciąż miałem nad nim przewagę na pionowych, ponieważ starałem się pilnie naśladować technikę Monique, ale nie było żadnych wątpliwości co do tego, że rywalizacja między mną a Trevorem mocno się wyrównała. I właśnie ona się pojawiła: rywalizacja.

Również w tym czasie zacząłem trochę za dużo imprezować, co oczywiście było innym określeniem picia w towarzystwie. Mój ojciec był niepijącym alkoholikiem, o czym wiedziałem od dziecka, i wcześnie zaczął mnie ostrzegać. Ale ostrzegał mnie przed piciem, kiedy mi smutno, a nie kiedy jestem szczęśliwy jak wtedy. Jednak kombinacja: dużo wspinaczki, dużo Monique i dużo „imprezowania” nie pozostała bez wpływu na studia. To Monique jako pierwsza powiedziała o tym głośno i był to punkt wyjścia do naszej pierwszej kłótni. Którą wygrałem. W każdym razie Monique wyszła z płaczem po wypowiedzeniu przeze mnie ostatnich raniących słów.

Następnego dnia ją przeprosiłem, tłumacząc greckimi normami społecznymi użycie przeze mnie przesadnie ostrych określeń, i obiecałem, że będę mniej imprezował, a więcej się uczył.

Przez pewien czas udawało mi się dotrzymać tej obietnicy. Opuściłem nawet jeden weekend w Peak District, poświęcając go na naukę. Było to trudne, ale konieczne. Egzamin był tuż-tuż, a wiedziałem, że ojciec spodziewa się po mnie wyników co najmniej takich samych, jakie uzyskał mój starszy brat, którego udało się wysłać do Yale, a który teraz zasiadał w kierownictwie rodzinnej firmy. Mimo to wymuszone zakuwanie wywołało we mnie prawie nienawiść do tego, co przecież kochałem, zwłaszcza do literatury. Zazdrościłem Monique i Trevorowi wolnych dni i czułem niemal ulgę, kiedy z powodu deszczu wrócili już w sobotę wieczorem i powiedzieli, że nie wspięli się nawet na metr.

Studia nadal były moim priorytetem; w końcu tak mało widywałem się z Monique, że w pewnym momencie zaczęła się na to skarżyć. Ucieszyło mnie to, ale była to dziwna radość, a przyniosła jeszcze dziwniejsze skutki. Od samego początku czułem, że Monique ma nade mną większą władzę niż

ja nad nią. Akceptowałem to i przypisywałem to faktowi, że była dla mnie większą zdobyczą niż ja dla niej, czyli że to ja koniec końców wyszedłem na plus. Teraz interesujące było to, że im mniej czasu jej poświęcałem, tym bardziej wyrównany wydawał mi się układ sił między nami. Zamknąłem się więc w czterech ścianach, maksymalnie przyspieszyłem na finiszu i kiedy przyszedł wielki dzień egzaminu, gdy po pięciu godzinach wyszedłem z sali, gdzie się odbywał, wiedziałem, że z pracy, którą napisałem, dumni będą nie tylko mój nauczyciel i mój ojciec, lecz również Monique. Kupiłem butelkę taniego szampana i pobiegłem do jej pokoju, który znajdował się na piętrze przytulnego akademika na terenie uniwersytetu. Kiedy zapukałem do drzwi, w środku Led Zeppelin grali *Whole Lotta Love* tak głośno, że mnie nie usłyszała.

Rozedrgany z radości – to przecież ja podarowałem jej tę płytę, a jeśli coś teraz czułem, to właśnie *whole lotta love*! – pobiegłem na tyły budynku. Nawet z butelką szampana w ręku z łatwością potrafiłem wspiąć się na drzewo, które rosło za jej oknem. Kiedy znalazłem się na tyle wysoko, że mogłem zajrzeć do środka, zamachałem butelką i już miałem zawołać Monique po imieniu i dodać, że ją kocham, gdy słowa uwięzły mi w gardle.

Monique zawsze zachowywała się cudownie głośno, kiedy się kochaliśmy, a ściany oddzielające studenckie pokoje były tak cienkie, że zwykle dla stłumienia naszych odgłosów puszczaliśmy muzykę.

Zobaczyłem Monique, ale ona mnie nie widziała. Oczy miała zamknięte.

Nie widział mnie też Trevor, bo był odwrócony do mnie plecami. Białymi jak mleko, ale umięśnionymi plecami. Jego biodra poruszały się miarowo, mniej więcej do rytmu *Whole Lotta Love*.

Z transu ocknąłem się dopiero, gdy usłyszałem huk, spojrzałem w dół i zobaczyłem, że szampan rozbił się na bruku, którym wyłożone było podwórze. Z białej musującej kałuży sterczały odłamki szkła. Nie wiem, dlaczego myśl o tym, że ktoś mógłby mnie zobaczyć, wywołała we mnie panikę, ale bardziej ześlizgnąłem się z drzewa, niż z niego zlazłem, i gdy tylko dotknąłem stopami ziemi, puściłem się biegiem. Uciekłem.

Przebiegłem całą drogę z powrotem do sklepu, gdzie wcześniej wybrałem szampana, kupiłem dwie butelki johnniego walkera za ostatnie pieniądze, które przysłała mi matka, i pognałem do swojego akademika. Tam zamknąłem się w pokoju i zacząłem pić.

Było już ciemno, kiedy do drzwi zapukała Monique. Nie otworzyłem jej. Zawołałem tylko, że już leżę, więc czy nie możemy odłożyć tego do jutra. Powiedziała, że musi ze mną o czymś porozmawiać, ale odparłem, że nie chcę jej zarazić. Ponieważ śmiertelnie bała się zarazków, wkrótce sobie poszła, spytawszy jeszcze tylko przez drzwi, jak mi poszedł egzamin.

Również Trevor zapukał. Kiedy krzyknąłem, że jestem chory, a on spytał, czy czegoś potrzebuję, szepnąłem do siebie „przyjaciela”, ale obróciłem się w łóżku i zawołałem:

– Nie, dziękuję!

– Mam nadzieję, że wydobrzejesz do piątkowej wspinaczki – dodał.

Piątek. To mi dawało trzy dni – trzy dni na głębokie zanurzenie się w mroku, o którego istnieniu nie wiedziałem. Trzy dni w szponach zazdrości. Za każdym razem, gdy wypuszczałem powietrze z płuc, te szpony zaciskały się odrobinę mocniej, utrudniając zaczerpnięcie powietrza. Bo zazdrość to wąż dusiciel. Gdy byłem mały i ojciec zabrał mnie do kina na disnejowską wersję *Księgi dżungli*, wpadłem w popłoch, bo w książce Rudyarda Kiplinga, którą mama czytała mi tyle razy, wąż Kaa był dobry! Ojciec powiedział mi wtedy, że wszystkie stworzenia mają dwie twarze, lecz nie zawsze jesteśmy w stanie dostrzec tę drugą, nawet u siebie samych. A ja zacząłem widzieć swoją drugą twarz, bo w miarę jak brak tlenu w ciągu tych trzech dni coraz bardziej niszczył mi mózg, zaczęły mi do głowy przychodzić myśli, o jakie nigdy bym siebie nie podejrzewał, a które musiały jednak tkwić uśpione w dennym mule mojej osobowości. Zobaczyłem drugą twarz Kaa, dobrego węża. Zazdrość kusiła, manipulowała, hipnotyzowała cudownymi fantazjami o zemście, od których rozkoszny dreszcz przenikał ciało, a jedynej pożywki, jakiej potrzebowała, dostarczał łyk pociągnięty z butelki whisky.

Gdy nadszedł piątek, otrząsnąłem się z przygnębienia, wystawiłem sobie zaświadczenie, że jestem zdrowy, i zmartwychwstałem, ale nie byłem już takim Nikosem Ballim jak dawniej. Nikt nie mógł tego po mnie poznać, nawet Trevor i Monique, gdy w porze lunchu przywitałem się z nimi, jakby nic się nie stało, i powiedziałem, że prognozy pogody są świetne i zapowiada się fantastyczny weekend. W trakcie jedzenia nie słuchałem Trevora i Monique rozmawiających ze sobą szyfrem, którego, jak sądzili, nie rozumiem. Słuchałem raczej dwóch koleżanek po drugiej stronie długiego stołu dyskutujących o chłopaku, który związał się z trzecią. Wsłuchiwałem się w dobierane przez nie słowa, nieco zbyt mocne przymiotniki, zbyt radosną odpowiedź jednej, gdy druga opisała z dezaprobatą wspólną przyjaciółkę. Obserwowałem wściekłość, która skracała zdania, czyniła je ostrzejszymi, odbierając im płynność, jaką nadaje wypowiedziom spokojna myśl. Te dziewczyny były zazdrosne. Po prostu. A ja swoją nową wiedzę opierałem nie na psychoanalizie, tylko na czystej konkretnej analizie tekstu. Nie, nie byłem już tym samym człowiekiem co kiedyś. Odwiedziłem pewne miejsce i tam się napatrzyłem. Napatrzyłem i nasłuchałem. Stałem się specjalistą od zazdrości.

– Smutna historia – stwierdziła Victoria Hässel, wciągając majtki i rozglądając się za resztą ubrania. – Zostali parą?

– Nie – odparłem. Obróciłem się w łóżku, podniosłem z nocnej szafki najpierw pustą, a potem prawie pustą butelkę po ouzo 12 i nalałem do małego kieliszka. – To był ostatni rok studiów Monique, kilka dni później miała końcowy egzamin. Zdaje się, że nie poszedł najlepiej. Ale zaraz po nim wyjechała do Francji i ani Trevor, ani ja już nigdy więcej jej nie widzieliśmy. Wyszła za mąż za Francuza, urodziła dzieci i z tego, co wiem, mieszkają gdzieś w Bretanii.

– A ty, chociaż studiowałeś literaturę i historię, zdecydowałeś się na pracę w policji?

Wzruszyłem ramionami.

– Został mi rok w Oksfordzie, ale kiedy wróciłem na studia jesienią, imprezowanie znów wzięło górę.

– Zawód miłosny?

– Być może. A może tylko zbyt intensywna bliskość wspomnień. W każdym razie nie liczyło się dla mnie nic oprócz upijania się do nieprzytomności. Przez pewien czas rozważałem też lot dziewięć dziewiętnaście.

– Słucham?

– W najgorszych chwilach ściskałem w ręku kamień, który podniosłem z ziemi gdzieś w Peak District. – Pokazałem zaciśniętą pięść, żeby to zademonstrować. – Skupiałem się na przelaniu bólu w ten kamień, żeby go wchłonął.

– Pomagało?

– Przynajmniej zrezygnowałem z lotu dziewięć dziewiętnaście. – Opróżniłem kieliszek. – Zamiast tego w połowie jesiennego semestru rzuciłem studia i wybrałem lot do Aten. Przez pewien czas pracowałem w firmie ojca, a potem poszedłem na Akademię Policyjną. Ojciec i pozostali członkowie rodziny uważali to za spóźniony młodzieńczy bunt. Ale ja wiedziałem, że coś dostałem, dar albo przekleństwo, które być może da się wykorzystać do czegoś dobrego. Poza tym dyscyplina i trening w akademii pomogły mi utrzymać się z daleka od... – Ruchem głowy wskazałem butelkę po ouzo. – Ale dość już o mnie. Opowiedz o sobie.

Victoria Hässel siedząca w nogach łóżka wyprostowała się i zapięła parę czystych spodni do wspinaczki, patrząc przy tym na mnie z niedowierzaniem.

– Po pierwsze, zaraz idę się wspinać. A po drugie, wczoraj w barze namówiłeś mnie do opowiadania tylko i wyłącznie o sobie przez ponad cztery godziny. Naprawdę zapomniałeś?

Z uśmiechem pokręciłem głową, na próżno usiłując przypomnieć sobie cokolwiek.

– Po prostu chciałem dowiedzieć się jeszcze więcej – skłamałem i zrozumiałem, że ona ma tego świadomość.

– Słodki jesteś – rzuciła. Obeszła łóżko i pocałowała mnie w wysokie czoło. – Może później. A tak w ogóle to ostrzegam, że pachniesz moimi perfumami.

– Mam bardzo przytępiony węch.

– A ja świetny. Ale nie martw się, łatwo schodzę w praniu. Zobaczymy się później, dobrze? *Addio*.

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć jej, że wreszcie, dwa dni po tym, jak promy i samoloty znów zaczęły kursować z Kalimnos, zabukowałem miejsce w samolocie do Aten. Ale to by niczego nie zmieniło, a jedynie wymagało dalszego udawania.

– *Addio*, Victorio.

Georgios stawił się po mnie zgodnie z umową godzinę przed odlotem. Na lotnisko było nie więcej niż dziesięć–dwanaście minut jazdy, a ja ciągle podróżowałem tylko z bagażem podręcznym.

– Wyzdrowiałeś? – spytał, kiedy wsiadłem do samochodu.

Wcześniej zadzwoniłem do Aten i powiedziałem, że jestem chory, więc niech skierują do sprawy w Tzitzifies kogoś innego.

Potarłem twarz.

– Tak – odparłem i była to prawda. Czułem się naprawdę nieźle. Ouzo 12 być może smakuje paskudnie, ale nie ma po nim takiego kaca jak po pitsiladi, trzeba to przyznać. A poza tym utopiłem w nim trochę smutków. Chmury na pewien czas się rozstąpiły.

Poprosiłem, żeby jechał powoli. Chciałem po raz ostatni napawać się widokiem Kalimnos. Było tu naprawdę pięknie.

– Powinieneś przyjechać na wiosnę, kiedy kwitną kwiaty, na zboczach jest więcej życia i kolorów.

– Podoba mi się tak, jak jest teraz – powiedziałem.

Po dojeździe na lotnisko Georgios stwierdził, że samolot z Aten jest opóźniony, bo na pasie nie stała żadna maszyna. Zaparkował i zaproponował, żebyśmy posiedzieli w aucie, dopóki nie zobaczymy, że mój samolot ląduje.

Siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na Paleochorę, kamienne miasto.

– Wiesz, że ludzie mieszkali tu aż do tysiąc osiemset dwunastego roku? – spytał Georgios.

– Dlaczego? Przecież w tym czasie Kalimnos nie zagrażały żadne obce mocarstwa.

– Piraci. Mieszkańcy chronili się przed nimi. Oblężenia potrafiły ciągnąć się tygodniami, a nawet miesiącami. Nocą ludzie musieli wymykać się po cichu do zakamuflowanych studni po wodę. Podobno spłodzone tutaj dzieci nieraz też się tu rodziły. Ale tak czy owak, było to więzienie.

Nad nami rozległ się szum. I zaszumiało mi w głowie.

Samolot ATR 72 pojawił się równocześnie z myślą.

– Więzienie miłości.

– Że co?

– I Franz, i Julian umawiali się na randki z Heleną w jednym z budynków w Paleochorze. Franz powiedział, że skazuje brata na dożywocie w więzieniu jego własnej miłości. To może oznaczać...

Zagłuszył mnie krótki ryk samolotu, kiedy śmigła zmieniły kąt po lądowaniu. Ale po minie Georgiosa widziałem, że już zrozumiał, do czego zmierzam.

– To pewnie znaczy, że jednak nie polecisz tym samolotem do Aten?

– Zadzwoń po Christinę i poproś, żeby wzięła ze sobą Odyna.

Z daleka Paleochora naprawdę wyglądała jak miasto duchów. Szaroczarna, pozbawiona życia, skamieniała, jakby skierowała na nią wzrok Meduza. Ale teraz, z bliska – jak zresztą często bywa w sprawach zabójstw – wyszły na wierzch konkrety, niuanse i kolory. I zapach.

Georgios i ja szliśmy szybko przez ruiny w stronę jednego z domów, który ciągle był mniej więcej cały. Christina stała w wejściu, przytrzymując Odyna, który szczekał jak szalony, koniecznie chcąc wskoczyć do środka. Ona wraz z dwoma ratownikami górskimi przybyli w to miejsce jako pierwsi, a z Georgiosem i ze mną komunikowali się przez krótkofalówkę. Kiedy Christina zameldowała o znalezisku, przyspieszyliśmy, ale ciągle mieliśmy do pokonania kilkaset metrów w górę. Odkrycia dokonali w najprawdopodobniej jedynej piwnicy Paleochory. Później dowiedziałem się, że piwnicę wyrąbano w skale w celu przechowywania tam zwłok podczas oblężeń, ponieważ w obrębie murów twierdzy nie było dostatecznej ilości ziemi do grzebania zmarłych.

Pierwszą rzeczą, jaka mnie uderzyła, gdy razem z Georgiosem mocno schyleni weszliśmy do niskiej piwnicy, zanim jeszcze źrenice zdążyły mi się rozszerzyć dostatecznie, abym mógł cokolwiek zobaczyć, był smród.

Być może moje stare oczy potrzebują nieco więcej czasu niż dawniej, aby przystosować się do ciemności, i może właśnie dzięki temu zdołałem zapanować nad uczuciami na widok Juliana Schmida powoli wyłaniającego się z ciemności. Jego nagie ciało było częściowo okryte brudnym kocem. Jeden z ratowników górskich kucał obok niego, ale niewiele mógł zrobić. Ręce Juliana sterczały sztywno nad głową z dłońmi złożonymi jak do modlitwy, przykute kajdankami do żelaznego haka w kamiennej ścianie.

– Czekamy na Theodorosa – szepnął Georgios, jakby uczestniczył w oględzinach zwłok albo w nabożeństwie. – Przyniesie sprzęt do przecięcia kajdanek.

Spojrzałem na ziemię. Kałuża ekskrementów, wymiocin i moczu. Stąd ten smród.

Mężczyzna na podłodze kaszlnął.

– Wody – szepnął.

Ratownik najwyraźniej napoił go już wszystkim, co miał, dlatego zrobiłem krok do przodu i przyłożyłem swoją butelkę do jego wyschniętych warg. Wydawało mi się, że oglądam zabiedzone lustrzane odbicie Franza, chociaż Julian Schmid sprawiał wrażenie szczuplejszego niż brat bliźniak;

na jego czole widniał duży siniak, może od kuli bilardowej, a głos brzmiał inaczej. Czy Franz nie był w stanie zabić Juliana dlatego, że brat był kopią jego samego? Czyżby łatwiej przyszło mu targnąć się na własne życie? Miałem swoje powody, by tak sądzić.

– Franz? – szepnął Julian.

– Nie ma go – odpowiedziałem.

– Nie ma?

– Nie ma.

– A Helena?

– Jest bezpieczna.

– Czy... czy ktoś z was mógłby ją powiadomić? Że ze mną wszystko w porządku.

Georgios i ja wymieniliśmy spojrzenia. Skinąłem Julianowi głową.

– Dziękuję – powiedział i jeszcze się napił. I nagle jakby woda przeciekła mu przez głowę, bo z oczu popłynęły łzy. – On tego nie chciał.

– Czego?

– Franz. On... on po prostu oszalał. Ja to wiem. Czasami mu się tak zdarza.

– Możliwe.

W krótkofalówce Georgiosa zatrzeszczało, wyszedł na zewnątrz.

Za chwilę zajrzał do środka.

– Karetka już przyjechała, czeka na dole przy drodze. – Znów się wycofał. Odór był rzeczywiście nie do wytrzymania.

– Wydaje mi się, że Franz w głębi ducha chciał, żebyś został odnaleziony – odezwałem się cicho.

– Tak pan myśli?

Wiedziałem, że on już wie o śmierci Franza. I że właśnie o to się modlił: żebym powiedział mu to, co chciał usłyszeć. To, co musiał usłyszeć, aby kiedykolwiek znów mógł być cały. Więc to zrobiłem.

– On żałował – oświadczyłem. – Właściwie powiedział mi wprost, że tu jesteś. Chciał, żebym cię uratował. Skąd mógł wiedzieć, że jestem taki niedomyślny?

– To tak bardzo boli.

– Wiem.

– Co z tym zrobić?

Rozejrzałem się. Podniosłem z ziemi szary kamień i włożyłem mu do ręki.

– Trzeba go ściskać. I myśleć o tym, że on wciągnie w siebie cały ból.

Dostarczono obcęgi do odcięcia kajdanek i Julian został zabrany do szpitala.

Zadzwoniłem do Heleny i przekazałem jej wiadomość o odnalezieniu żywego Juliana. Rozmawiając z nią, uświadomiłem sobie, że jako śledczy jeszcze nigdy nie przekazywałem nikomu, że ktoś bliski został odnaleziony żywy. Ale reakcja Heleny nie różniła się zbytnio od tego, czego zazwyczaj doświadczałem, informując kogoś o czyjejś śmierci: kilka sekund milczenia, podczas gdy mózg przypuszczalnie szukał przyczyn nieporozumienia, powodów, dla których ta informacja nie mogła być prawdziwa. A potem – kiedy nic takiego nie udało się znaleźć – płacz, gdy prawda zaczynała docierać. Nawet ci, którzy później okazywali się tymi zazdrosnymi winnymi, wybuchali płaczem, niejednokrotnie gwałtowniejszym niż zaszokowani niewinni. Ale płacz Heleny był inny. To był płacz radości. Deszcz padający przy świecącym słońcu. Coś we mnie obudził. Mgliste wspomnienie wywołujące ściskanie w gardle. A kiedy Helena, szlochając, dziękowała mi, musiałem odchrząknąć, aby móc odpowiedzieć spokojnym głosem.

Po południu, kiedy przyjechałem do szpitala w Pothii, Helena siedziała przy szpitalnym łóżku i trzymała ewidentnie już zdrowszego Juliana za rękę. Najwyraźniej uważała, że to moja błyskotliwa inteligencja go ocaliła, a ja nie wspomniałem, że raczej o mało go nie zabił mój brak inteligencji.

Poprosiłem o możliwość zamienienia z Julianem kilku słów w cztery oczy, a Helena przed wyjściem ujęła jeszcze moją dłoń i ją pocałowała.

Przedstawiony przez Juliana przebieg wydarzeń zgadzał się z tym, co sobie wyobrażałem.

W drodze do szpitala po awanturze w barze kłótnia z Franzem ożyła na nowo.

– Skłamałem – mówił Julian. – Powiedziałem, że rozmawiałem z Heleną i wszystko jej wyjawiłem, a ona mi wybaczyła i wyznała miłość. Franz powinien więc po prostu się poddać i jak najszybciej o niej zapomnieć. Owszem, to nie była prawda, ale przecież zamierzałem zadzwonić później do Heleny, więc rezultat i tak byłby taki sam. Ale Franz krzyczał, że to kłamstwo, zjechał na bok, otworzył schowek na rękawiczki i wyciągnął pistolet, który kupił w Pothii.

– Widziałeś go już wcześniej w takim stanie?

– Widywałem go rozwścieczonego i nie raz, nie dwa się biliśmy, nigdy jednak nie widziałem go ogarniętego takim... szaleństwem. – Julianowi zwilgotniały oczy. – Ale nie mam do niego pretensji. Zakochałem się w tej dziewczynie, ponieważ mi o niej opowiadał. Pokazywał mi zdjęcia, wielbił ją i upiększał. A ja mu ją ukradłem. Nie można tego nazwać inaczej. Zdradziłem i jego, i ją. Zachowałbym się tak samo jak on. Nie, ja bym strzelił. Zabiłbym. On natomiast zmusił mnie, żebym prowadził samochód do Chory, a stamtąd zaprowadził mnie do Paleochory, trzymając pistolet przyłożony do moich pleców. Najwyraźniej był tam wcześniej, rozejrzał się trochę po tym miejscu i znalazł tę piwnicę. Tam przykuł mnie kajdankami, które też kupił w Pothii.

– I zostawił cię, żebyś tam umarł?

– Powiedział, że będę tam siedział, aż zgniję, i wyszedł. Oczywiście byłem przerażony, ale w tamtej chwili bardziej bałem się o Helenę niż o siebie. Bo Franz zawsze wracał.

– Co przez to rozumiesz?

– Kiedy byliśmy mali i walczyliśmy ze sobą, on zawsze był odrobinę silniejszy ode mnie. Zdarzało się, że gdzieś mnie zamykał. W jakimś pokoju albo w szafie. Raz zamknął mnie w trumnie i oświadczył, że w niej umrę. Ale zawsze wracał. Było mu wtedy bardzo przykro, chociaż tego nie okazywał. Miałem więc pewność, że tak samo stanie się i tym razem. Dopiero dwa czy trzy dni temu, kiedy nagle się ocknąłem i... – Spojrzał na mnie. – Wie pan, nie wierzę w duchy i spirytyzm, ale po tym, czego Franz i ja doświadczyliśmy, bardzo mnie intryguje, co ludzie będą wiedzieć o telepatii bliźniaków za sto lat. W każdym razie po prostu już wiedziałem, że z Franzem coś się stało. A kiedy mijały godziny i dni, a on nie wracał, naprawdę zacząłem myśleć, że tam umrę. Pan mnie ocalił, panie Balli. Mam wobec pana dożywotni dług wdzięczności.

Julian wysunął rękę spod kołdry i ujął moją dłoń. Poczułem kamień, który mu dałem.

– To na wypadek, gdyby pan też kiedyś doświadczał bólu – powiedział.

Kierowałem się już do wyjścia, ale Helena zatrzymała mnie jeszcze na korytarzu i spytała, czy może mnie zaprosić na kolację w ich restauracji. Odmówiłem, tłumacząc, że odlatuję ostatnim wieczornym samolotem z Kos.

Ponieważ do odejścia promu miałem jeszcze dwie godziny, pojechałem z Christiną po ubrania Juliana, które zostały w wynajętym pokoju w Masouri.

Stałem przy policyjnym radiowozie na ulicy, patrząc na piękny zachód słońca za Telendos, a Christina weszła do środka. Zatrzymała się przy mnie starsza pani w kwiaciastej sukience, która nadeszła kołyszącym się krokiem z torbami pełnymi zakupów.

– Słyszałam, że znaleźliście jednego z bliźniaków – zagadnęła. – Tego miłego.

– Miłego?

– Sprzątam te pokoje codziennie rano o dziewiątej. – Ruchem głowy wskazała na dom. – O tej godzinie większość gości już szła się wspinać, ale tych dwóch zdarzało mi się budzić. Jeden był zawsze zły, ale ten drugi tylko

się uśmiechał i mówił, że mogę przyjść następnego dnia. Powiedział mi, że na imię mu Julian. Imienia tego drugiego nigdy nie poznałam.

– Franz.

– Franz. – Smakowała to słowo.

– To niemieckie imię – wyjaśniłem.

– Aha. Nie lubię Niemców, z wyjątkiem tego Juliana. Wystrychnęli nas na dudka podczas wojny i tak jest do tej pory. Traktują nas, jakbyśmy byli w ich Europie niegodnymi zaufania najemcami, którzy już od dłuższego czasu nie płacą czynszu.

– Niezłe porównanie – stwierdziłem, mając na myśli zarówno moją ojczyznę, jak i Niemcy.

– Udają, że się zmienili – prychnęła ze złością. – Rządzi nimi kobieta i w ogóle. Ale są i będą nazistami. – Pokręciła głową. – Któregoś dnia zobaczyłam kajdanki na nocnej szafce. Nie wiem, do czego Franz ich używał, ale na pewno ma to jakiś związek z faszyzmem. Jestem przekonana. Czy on nie żyje?

– Być może – powiedziałem. – Najprawdopodobniej. W zasadzie to pewne.

– W zasadzie? – Spojrzała na mnie z odrobiną tej samej pogardy, jaką żywiła dla Niemców. – Czy waszym zadaniem w policji nie jest dowiedzenie się tego na pewno?

– Owszem – przyznałem. – A nie wiemy.

Tym samym kolebiącym się krokiem poszła dalej, a mnie dobiegł śmiech z drugiej strony ulicy.

Odwróciłem się i na balkonie pod cyprysami zobaczyłem Victorię z nogami opartymi o balustradę i papierosem w kąciku ust.

Podszedłem do niej i stanąłem pod balkonem.

– Zaplątałeś się? – spytała, wydmuchując dym w bezwietrznym zmierzchu.

– Znasz grecki?

– Nie, ale rozumiem mowę ciała. – Strzepnęła popiół starannym powolnym ruchem. – Ty tak nie uważasz?

Pomyślałem o tamtej nocy. Wytrzeźwiałem w ciągu tych godzin. Było nam dobrze. Byliśmy dla siebie dobrzy. Trochę źli, ale głównie dobrzy.

– Tak, też tak uważam.

– Zobaczymy się później w barze?

Pokręciłem głową.

– Wieczorem lecę do Aten.

– Chcesz, żebym cię tam odwiedziła?

Po jej minie poznałem, że to pytanie samo jej się wyrwało, a ona zrozumiała – czy może raczej źle zrozumiała – moje wahanie z odpowiedzią.

– *Forget it*. – Roześmiała się i mocno przydeptała niedopałek. – Jesteś żonaty i masz w Atenach dzieci i psa. Nie życzysz sobie kłopotów i nie będziesz ich miał.

Uświadomiłem sobie, że nie pytała mnie wcześniej o moje życie obecnie i że opowiedziałem jej wyłącznie o tym, co w ogóle ma dla mnie jakiekolwiek znaczenie. O przeszłości.

– Nie boję się kłopotów – odpowiedziałem. – Ale jestem stary. A ty masz życie przed sobą.

Victoria wybuchnęła głośnym śmiechem.

– No tak, jestem dla ciebie lepszym dealem, niż ty byłbyś dla mnie.

– Wyszedłbym na plus. – Uśmiechnąłem się.

– No to jeszcze raz *addio*, Nikos.

– *Addio*, Monique.

Dopiero siedząc w samochodzie, zdałem sobie sprawę z tego przejęzyczenia.

Było już po północy, kiedy otworzyłem kluczem drzwi do mieszkania.

– Wróciłem do domu! – zawołałem w ciemność. Postawiłem torbę na podłodze w przedpokoju, przeszedłem do kuchennej części dużego otwartego pokoju z przeszklonymi ścianami i widokiem na resztę Kolonaki, jednej z modniejszych dzielnic w centrum Aten. Wyjąłem z kieszeni proste pudełko, otworzyłem je i popatrzyłem na szary kamień leżący w nim jak klejnot w pudełeczku od jubilera.

Wziąłem szklankę i uchyliłem drzwiczki lodówki, jej światło padło na parkiet, regały z książkami i masywne tekowe biurko z dużym monitorem Apple.

Odziedziczone pieniądze.

Nalałem do szklanki świeżo wyciśniętego soku, który przygotowuje moja pomoc domowa, podszedłem do komputera i dotknąłem klawiatury. Ukazało się zdjęcie trojga młodych ludzi przy skalnej ścianie w Peak District.

Kliknąłem ikonki stron internetowych największych gazet. We wszystkich szeroko opisywano przełom w sprawie zabójstwa na Kalimnos. W żadnym artykule nie wspomniano o mnie. To dobrze. Pocałowałem palec wskazujący, dotknąłem nim na ekranie policzka dziewczyny stojącej między dwoma chłopakami i głośno powiedziałem, że idę już spać. W sypialni na półce nad łóżkiem umieściłem pudełko z szarym kamieniem obok innego kamienia, który już tam leżał. Łóżko było tak duże i puste, a jedwabne prześcieradła tak chłodne, że kładąc się, miałem wrażenie, że wypływam w morze.

Dwa tygodnie później zadzwonił Georgios Kostopoulos.

– W morzu niedaleko tej plaży, na której zniknął Franz, znaleziono ciało. To znaczy właściwie już na lądzie. Zwłoki były nabite na jedną ze skał w morzu, o którą rozbijają się fale. Miejsce trudno dostępne i ludzie rzadko tam bywają, ale najwyraźniej jakaś droga wspinaczkowa zaczyna się na ścieżce pięćdziesiąt–sześćdziesiąt metrów nad skałami wystającymi z morza. Powiadomił nas wspinacz.

– Chyba wiem, gdzie to jest – powiedziałem. – Zwłoki już zidentyfikowano?

– Jeszcze nie. Są tak zmaltretowane, że naprawdę podziwiam wspinacza, iż w ogóle zorientował się, że to ludzkie ciało. Sam w pierwszej chwili sądziłem, że to martwy delfin. Skóra, twarz, uszy, narządy płciowe, niczego nie ma. Ale w czaszce jest dziura, która raczej nie może być niczym innym jak śladem po kuli.

– To ciągle może być uchodźca, który wypadł z łodzi.

– Rzeczywiście w zeszłym roku wyrzuciło u nas kilku na brzeg, ale osobiście w to wątpię. Wysłałem próbkę DNA do analizy. I w ciągu paru dni powinienem mieć odpowiedź. Zastanawiam się tylko...

– Tak?

– Co powiemy, jeśli będzie zgodna z profilem DNA próbki śliny na szklance, z której pił Franz Schmid?

– Że mamy pozytywną identyfikację.

– Ale przecież uzyskaliśmy ten materiał DNA... hm... w sposób nieregulaminowy.

– Tak? Z tego, co pamiętam, pytałem Franza Schmida i zgodził się, żebyśmy ją pobrali.

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

– Czy to tak... – zaczął.

– Owszem. Właśnie tak robimy w Atenach.

Trzy dni później nadeszła wiadomość.

Profil DNA poszarpanych na skałach zwłok pasował do profilu Franza Schmida, który według raportu policyjnego dobrowolnie zgodził się na pobranie próbki podczas składania zeznań śledczym w Pothii. Mojego nazwiska nie wspomniano.

Czytając wiadomości, trzymałem telefon niżej niż obrus, aby nie przeszkadzać kobiecie opowiadającej mi właśnie, iż sądzi, że mąż przedawkował leki nasercowe, ponieważ pomylił je z innymi tabletkami,

być może dlatego, że tak mu zawróciła w głowie młoda stażystka w pracy – dziewczyna wbiła sobie do głowy, że mężczyzna powinien porzucić dla niej rodzinę.

Zdusiłem ziewnięcie, myśląc o drodze wspinaczkowej tam, na południowym krańcu plaży. Zdobyłem przewodnik wspinaczkowy na Kalimnos i dowiedziałem się, że ta droga nazywa się Where Eagles Dare, stopień trudności 7b. Nawet na zdjęciu wyglądała fantastycznie. Gdybym miał odzyskać formę, aby móc ją pokonać, musiałbym dużo trenować i zrzucić kilka kilogramów. A gdybym miał znaleźć na to czas, to ludzie musieliby zrobić sobie przerwę w zabijaniu się nawzajem. Albo ja musiałbym zrobić sobie przerwę. I to długą.

Pięć lat później

Wyjrzałem przez okno samolotu. Wyspa w dole wyglądała tak samo. Żółty blok wapienia ciśnięty w morze przez Posejdona, żeby ziemia się zatrzęsła.

Ale niebo zaciągnęło się chmurami.

Teraz, wiosną, pogoda była bardziej niestabilna, tak mi powiedział taksówkarz, który wiózł mnie do Emporio, powinienem raczej przyjechać jesienią. Uśmiechnąłem się, patrząc na oleandry w pełnym rozkwicie na zboczach i wdychając zapach tymianku.

Kiedy wysiadłem z taksówki, Helena i Julian stali na schodach do restauracji razem z małym Ferdinandem. Julian uśmiechnął się szeroko, a Helena objęła mnie i prawie nie chciała puścić. Utrzymywaliśmy regularny kontakt mailowy, to znaczy ona opisywała, co u nich słychać, a ja czytałem. Czytałem tak, jak słuchałem, i pisałem krótkie odpowiedzi, głównie pytania uzupełniające, jak zwykle podczas rozmów.

Z maili Heleny wynikało, że początek nie był łatwy. Dramatyczne wydarzenia wywarły na Juliana większy wpływ, niż mogło się początkowo wydawać. Kiedy minęła już euforia wywołana jego ocaleniem i świadomością, że mogą być razem, zamknął się w sobie, ogarnięty mrokiem i drażliwy, jakby stał się wręcz inną osobą niż ta, w której się

zakochała. I tak dużo mówił o bracie. Tłumaczył Franza, jakby mu zależało na tym, aby ona i jej rodzice zrozumieli, że Franz wcale nie był zły, tylko bardzo, bardzo zakochany.

Sytuacja stała się tak trudna, że Helena zaczęła się wręcz zastanawiać, czy nie rozstać się z Julianem. Tymczasem jednak wydarzyło się coś, co zmieniło wszystko: zaszła w ciążę.

Od tego dnia Julian jakby się przebudził, znów był tym Julianem, którego teraz już ledwie pamiętała z tamtej jednej spędzonej razem nocy, zanim zgłoszono jego zaginięcie. Wesołym, dobrym, miłym, ciepłym i serdecznym. Może i nie był aż tak pełen życia i skory do szaleństw, jak go zapamiętała, ale co z tego? Pewnie wszystkie kobiety uważają, że ich mężowie byli o wiele bardziej interesujący w początkowej fazie związku. Zresztą czego więcej można wymagać od mężczyzny, niż żeby był wierny, kochający i ciężko pracował dla rodziny? Nawet ojciec Heleny musiał przyznać, że córce trafił się mąż, który umie pracować i któremu można zaufać. Człowiek, któremu ojciec będzie mógł przekazać restaurację, gdy przyjdzie na to czas.

Kiedy urodził się Ferdinand, Julian według słów Heleny sam płakał jak dziecko. Dosłownie biła od niego ojcowska miłość. *Jak od pieca*, pisała Helena. *A nie ma nic lepszego, kiedy nad Kalimnos nadciągają zimowe sztormy.*

– Uważasz więc, że jesteś gotowy na Where Eagles Dare – powiedział Julian z uśmiechem, kiedy już zainstalowałem się w przeznaczonym dla mnie pokoju i usiedliśmy do lunchu w restauracji. Ośmiornica z grilla to była ich specjalność i smakowała naprawdę fantastycznie. Zauważyłem, że Julian nie je, i pomyślałem sobie, że może ma to związek z mitem, że ośmiornice jedzą zwłoki. Co oczywiście nie jest żadnym mitem, bo wszystkie morskie stworzenia zjadają topielców, jeśli tylko trafi im się taka szansa.

– Nie wiem – odparłem. – W każdym razie trochę się wspinałem po skałkach wokół Aten.

– Wobec tego wyruszamy jutro rano – orzekł.

– Ta droga jest niezwykle długa – zauważyłem. – Ma czterdzieści metrów.

– Będzie dobrze, mam osiemdziesięciometrową linę.

– Świetnie.

Odezwała się melodia jego komórki. Już miał odebrać, ale się powstrzymał, patrząc na mnie.

– Strasznie pobladłeś, Nikos. Wszystko w porządku?

– Jasne, jasne – skłamałem i z trudem udało mi się uśmiechnąć. Żołądek mi się wywracał, poczułem pot oblewający ciało. – Po prostu odbierz.

Przyjrzał mi się badawczo. Może sądził, że zareagowałem tak na myśl o wysokości tej drogi wspinaczkowej. Sięgnął po telefon i wreszcie muzyka ucichła.

Whole Lotta Love.

Jak zwykle dźwięki tej piosenki nie tylko myślą przeniosły mnie o czterdzieści lat w przeszłość, do drzewa na tylnym podwórzu w Oksfordzie. Zareagowało także ciało.

Julian musiał zrozumieć, że nie chodzi o wspinaczkę.

– Nie spodobała ci się ta muzyka? – spytał, kiedy skończył rozmawiać przez telefon.

– To długa historia. – Roześmiałem się, bo zdążyłem już dojść do siebie. – Ale nie sądziłem, że lubisz Led Zeppelin. Pamiętam, że wcześniej chyba miałeś w telefonie coś bardziej miękkiego.

– Miękkiego?

– Tak, jakiegoś Eda. Eda Cheap... Eda Sheep...

– Eda Sheerana! – zawołała Helena.

– O właśnie – potwierdziłem, patrząc na Juliana.

– Uwielbiam Sheerana! – roześmiała się Helena.

– A ty, Julianie?

Julian Schmid sięgnął po szklankę z wodą.

– Można chyba lubić i Zeppelinów, i Sheerana. – Pił długo, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Coś mi się przypomniało – dodał, odstawiając wreszcie szklankę. – Prognoza pogody na jutro mówi, że może padać deszcz, a nigdy nie da się z całą pewnością przewidzieć, czy chmury zbierające się w okolicy nie trafią akurat nad wyspę. Wprawdzie ta droga jest przewieszona, ale wiatr może napędzić tyle deszczu, że ściana będzie mokra, więc może byśmy wybrali się już teraz? Będziemy przynajmniej mieć pewność, że próbowałeś, zanim pojutrze wyjedziesz.

– Rzeczywiście, głupio by było, gdybyś wybrał się tak daleko wyłącznie po to, żeby zobaczyć się ze mną i z Ferdinandem – zaśmiała się Helena.

Uśmiechnąłem się.

Dokończyliśmy posiłek i poszedłem do pokoju, żeby się przyszykować. Pakując plecak wspinaczkowy, widziałem przez okno Juliana bawiącego się z Ferdinandem. Chłopczyk ze śmiechem biegał wokół ojca i za każdym razem, gdy Julian go łapał i obracał w koło, aż małemu spadała granatowo-biała czapeczka, Ferdinand piszczał z radości. To było jak taniec. Taniec, jakiego nigdy nie tańczyłem z własnym ojcem. A może? Jeśli tak, to zapomniałem.

– Denerwujesz się? – spytał Julian, gdy po milczącej podróży samochodem zaparkowaliśmy w miejscu, gdzie znaleziono samochód Franza. Pokiwałem głową, patrząc na plażę. Wyglądała dziś zupełnie inaczej. Nie było słońca, fale jedynie szeptały spokojnie, tocząc się do brzegu bez najmniejszego załamywania.

Po dwudziestu minutach szybkiego marszu dotarliśmy na cypel i podniósłszy głowy, mogliśmy popatrzeć na Where Eagles Dare. Skała wyglądała bardziej przerażająco teraz, kiedy wisiały nad nią stalowoczarne chmury. Włożyliśmy uprzęże i Julian podał mi dwa pęki ekspresów.

– Pewnie będziesz próbował przejść ją w całości *on sight*[5] – powiedział.

– Dziękuję. Przeceniasz mnie, ale postaram się dojść tak wysoko, jak będę w stanie.

Przypiąłem ekspresy do uprzęży, związałem się liną, włożyłem stare, ale wygodne buty wspinaczkowe, których używałem w Peak District, i zanurzyłem dłonie w woreczku z magnezją, umocowanym na sznurku wokół brzucha. Zamiast zrobić dwa kroki do ściany, wyszedłem na krawędź ścieżki i spojrzałem w dół.

– To tu go znaleźli – oznajmiłem, wskazując głową na fale. Również one były dzisiaj spokojniejsze, ale zorientowałem się, że ich szum dociera do nas z pewnym opóźnieniem. – O tym chyba jednak wiedziałeś.

– Tak, wiedziałem – dobiegło zza moich pleców. – A ty od jak dawna wiedziałeś?

– Co?

Odwróciłem się do niego. Był blady. Może jedynie za sprawą światła, lecz bladość, wręcz biel jego skóry skojarzyła mi się przez moment z Trevorem. Ale to przecież jasne, dość często myślę o Trevorze.

– Nic – odparł obojętnym głosem z twarzą bez wyrazu, wpiął linę do przymocowanego do uprzęży przyrządu asekuracyjnego ATC i zaczął rytualne sprawdzanie: przyrząd w uprzęży, karabinek zakręcony, lina dostatecznej długości, węzeł wygląda na dobrze zawiązany.

Kiwnąłem głową.

Postawiłem stopę na przewieszonej ścianie i złapałem pierwszy oczywisty chwyt. Napiąłem mięśnie i podniosłem drugą stopę.

Pierwszych dziesięć metrów wspinaczki szło gładko. Poruszałem się lekko, zgubione kilogramy i odzyskane muskuły dawały dobry rezultat. Tak zwana psycha też miała się nieźle, bo w ciągu ostatniego roku wielokrotnie odpadałem od bardzo oszczędnie obitych ścian i kiedy lina po ośmiu–dziesięciu metrach powstrzymywała swobodny lot, nie czułem nawet ulgi, tylko raczej lekkie rozczarowanie, że nie udało mi się zrobić drogi bez odpadnięcia. Tu jednak stałe punkty były powbijane gęsto, więc ewentualny lot byłby krótki. Prawdę mówiąc, w miarę jak umieszczałem w spitach kolejne ekspresy i wpinałem w nie linę, zacząłem się nawet zastanawiać, czy mi ich wystarczy.

Usłyszałem krzyk mewy i w tej samej chwili mała wapienna krawądka, której się trzymałem, pękła. Odpadłem. Ów stan, który tak często i błędnie opisywany jest jako nieważkość, trwał zaledwie moment. Potem liną szarpnęło i uprząż mocno wbiła mi się w brzuch i uda. Krótki, ostry lot. Spojrzałem na Juliana, który stał na ziemi z napiętą liną, wychodzącą z przyrządu w jego uprzęży.

– Przepraszam! – zawołał. – Odpadłeś tak szybko, że nie zdążyłem tego wyłapać!

– W porządku! – odkrzyknąłem, a ponieważ nie mogłem dosięgnąć do przewieszonej ściany, zacząłem sam wciągać się po linie na rękach.

Wprawdzie do pokonania miałem tylko trzy metry, a Julian wykorzystywał ciężar własnego ciała do wybierania luzu, lina była jednak tak śliska i cienka, że nieźle się zmęczyłem, zanim dotarłem do spita, z którego zwisała. Obejrzałem swoje dłonie. Już zdarłem sobie z nich skórę.

Po chwili odpoczynku wspinałem się dalej. Namęczyłem się z wpięciem ekspresa na cruxie, najtrudniejszym punkcie drogi, ale poza tym czułem płynność wspinaczki, nie musiałem już myśleć, ponieważ stopy i dłonie rozwiązywały strumień równań z jedną lub dwiema niewiadomymi całkiem samodzielnie. A kiedy piętnaście metrów później dotarłem do topu i wpiąłem linę w górny punkt asekuracyjny, uczyniłem to z cichym, ale głębokim wewnętrznym zadowoleniem. Nie zrobiłem drogi bez odpadnięcia, ale to i tak było magiczne. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na krajobraz. Według Georgiosa przy dobrej pogodzie dało się z Kalimnos zobaczyć brzegi Turcji, ale tego dnia widziałem jedynie morze, samego siebie i drogę. I linę biegnącą do człowieka, któremu ocaliłem życie, a który miał ocalić mnie.

– Blok! – zawołałem. – Mogę zjeżdżać!

Opadałem w dół w nieruchomym dusznym powietrzu popołudnia. Światło dzienne powoli znikało, więc po podjęciu przez Juliana próby pokonania drogi powinniśmy już wracać, jeśli nie chcieliśmy schodzić stromą kamienistą ścieżką w ciemności. Coś mi jednak powiedziało, że Julian nie będzie próbował, bo już po kilku metrach zjazdu zobaczyłem

mijający mnie ciemny obszar na żółtej linie sunący w górę, ku punktowi asekuracyjnemu.

Oznaczenie środka liny.

– Lina jest za krótka! – krzyknąłem. Chociaż było bezwietrznie, to oczywiście szum fal, krzyk mewy albo po prostu zwykłe roztargnienie mogły sprawić, że mnie nie usłyszał, w każdym razie opuszczał mnie dalej.

– Julian!

On jednak ciągle, i to jeszcze szybciej, wypuszczał linę z przyrządu.

Spojrzałem w dół na morze, potem na ścieżkę, na której lina wysuwała się z ostatnich zwojów jak kobra tańcząca do dźwięków fletu. Teraz na dodatek widziałem, że na luźnym końcu liny nie ma żadnego węzła.

– Julian! – krzyknąłem jeszcze raz. Byłem już tak blisko, że mogłem zobaczyć jego kamienną twarz.

Zabije mnie, pomyślałem, to jedynie kwestia sekund, zanim koniec liny bez przeszkód prześlizgnie się przez przyrząd, a ja spadnę.

– Franz!

Elastyczna lina w momencie, gdy się napięła, rozciągnęła się ku przepaści. Uprząż wbiła mi się w krzyż, zjazd ustał, podskakiwałem w powietrzu w górę i w dół. Do Juliana zostały mi dwa czy trzy metry, lecz ponieważ zwisałem w pionowej linii od punktu asekuracyjnego na szczycie, to znajdowałem się poza krawędzią podnóża skały, którą biegła ścieżka. Gdyby lina wyślizgnęła się z przyrządu asekuracyjnego, przeleciałbym obok Juliana i spadł pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt metrów na skały wystające z morza, wokół których fale pieniły się jak zawartość stłuczonej butelki szampana.

– Wygląda na to, że ta lina jednak nie ma osiemdziesięciu metrów – powiedział Julian. – Przepraszam. Błądzić jest rzeczą ludzką.

Jego mina nie wyrażała jednak żadnego żalu.

Miał w zasadzie pełną kontrolę nad sytuacją, a w każdym razie trzymał ten koniec liny, który akurat w tej chwili miał największe znaczenie. Ów koniec znajdował się dwadzieścia centymetrów pod przyrządem i jego

ręką – tylko to utrzymywało mnie w powietrzu. Ze względu na kąt i tarcie przyrządu nie było mu trudno tak mnie trzymać, ale z drugiej strony nie mógł tego robić przez całą wieczność. A kiedy mnie puści, nie będzie to wyglądało na morderstwo, tylko jakże zwyczajny wypadek przy wspinaczce: za krótka lina.

Pokiwałem głową.

– Masz rację, Franz...

Nie odpowiedział.

– ...błądzić jest rzeczą ludzką.

Przyglądaliśmy się sobie nawzajem. On pół stojąc, pół siedząc na ścieżce w uprzęży z liną, ja – bujając się tuż nad nim i nad przepaścią.

– Paradoks – odezwał się wreszcie. – To greckie słowo, prawda? Na przykład kiedy Ferdinand idzie spać i boi się ciemności, więc chce, żeby tata przed zaśnięciem opowiedział mu bajkę. Ale upiera się, żeby to koniecznie była straszna bajka. Czy to nie paradoks?

– Być może – przyznałem. – A może nie?

– W każdym razie widzisz, że nadciąga zmrok, może więc powinieneś opowiedzieć taką straszną bajkę, Nikos, żebyśmy obaj mniej się bali?

– A nie rozwiążemy najpierw tej sytuacji?

Poluzował uścisk na linie, pozwolił, żeby jej koniec zbliżył się o kilka centymetrów do przyrządu.

– Wydaje mi się – odparł – że rozwiązanie będzie w tej bajce, którą opowiesz.

Przełknąłem ślinę. Spuściłem wzrok. Lot sześćdziesiąt metrów w dół nie trwa długo. Ściśle mówiąc, trzy i pół sekundy. Ale człowiek przez ten czas zdąży pomyśleć o wielu rzeczach. Niestety, zdąży też osiągnąć prędkość stu dwudziestu trzech i pół kilometra na godzinę. Czy uderzę w wodę? Z trudem przeżyję upadek i utonę? Czy trafię w kamienie i umrę momentalnie i bezboleśnie? To ostatnie widziałem z bliska. Cisza i brak dramatyzmu zaskoczyły mnie wtedy najbardziej. Nawet w ciągu tych sekund po jego zetknięciu się z ziemią, zanim wszyscy zaczęli krzyczeć

i biegać. Ochłodziło się, a mimo to czułem pot spływający po mnie jak roztopiony wosk. Nie planowałem ujawnienia fałszywego Juliana w sytuacji, w której dosłownie trzymał w rękach moje życie. Z drugiej strony było to logiczne. W pewien sposób wszystko ułatwiało. Ultimatum będzie jaśniejsze.

– W porządku – powiedziałem. – Jesteś gotowy?

– Tak.

– Był sobie kiedyś... – Wziąłem głęboki oddech. – Był sobie kiedyś mężczyzna o imieniu Franz, tak zazdrosny, że zabił swojego brata bliźniaka Juliana, aby mieć piękną Helenę tylko dla siebie. Zabrał brata na plażę, strzelił mu w głowę, a ciało wrzucił do morza. Ale kiedy Franz zrozumiał, że Helena kocha Juliana i tylko Juliana, a Franza wcale nie chce, zaaranżował wszystko tak, by wyglądało, że to on, a nie Julian znalazł się w morzu z kulą w głowie. Później przykuł się kajdankami do ściany w piwnicy, a gdy go znaleziono, podał się za Juliana i twierdził, że przebywał tam, odkąd zgłoszono zaginięcie brata. Wszyscy uwierzyli, że jest Julianem, i w taki oto sposób Franz dostał swoją Helenę, a potem żyli długo i szczęśliwie do końca swoich dni. Koniec i bomba. Zadowolony?

Pokręcił głową. Ale ręka wciąż zaciskała się na linie.

– Marny z ciebie opowiadacz bajek, Nikos.

– To prawda.

– Nie masz na przykład żadnych dowodów.

– Dlaczego tak myślisz?

– Gdybyś miał dowody, nie przyszedłbyś tu sam, a ja już dawno byłbym aresztowany. Przypadkiem wiem też, że przestałeś pracować w policji. Przesiadujesz teraz w Bibliotece Narodowej i czytasz książki, mam rację?

– Nie. Przesiaduję w Bibliotece Gennadiusa.

– Więc po co ta wizyta? Czyżby to staruszek zjawił się pogrzebać w sprawie, która nie daje mu spokoju, ponieważ nie ma już pewności, że odkrył prawdę?

– Prawdą jest, że nie mam spokoju – przyznałem. – Ale tu nie chodzi o tę sprawę. I nie jest prawdą, że jestem tu, żeby łowić dowody, bo już je mam.

– Kłamiesz. – Kostki dłoni trzymającej linę pobielały.

– Nie – zaprzeczyłem. – Kiedy się okazało, że profil DNA zwłok wyciągniętych z morza pasuje do profilu, który mieliśmy z próbki pobranej w trakcie przesłuchania Franza, wszyscy byli przekonani, że mamy pewną odpowiedź. Ale rzecz jasna była inna możliwość. Ponieważ bliźnięta jednojajowe powstają z tego samego jajeczka i mają taki sam materiał genetyczny, to również ich profil DNA jest taki sam. Dlatego ciało, które znaleźliśmy, teoretycznie mogło być ciałem zarówno Juliana, jak i Franza.

– I co z tego? „Zarówno” to nie dowód na to, że to nie był Franz!

– Racja. Dowód zdobyłem dopiero wtedy, gdy przesłano mi odciski palców ze szklanki, z której ty, Franz, popijałeś w trakcie naszej rozmowy na posterunku w Pothii. Porównałem je z odciskami palców, które miałem w domu w Atenach.

– W Atenach?

– A konkretnie w pudełku na półce nad moim łóżkiem. Na kamieniu, który dałeś mi w szpitalu. Rzeczywiście paradoks to greckie słowo, a paradoksem tutaj jest to, że chociaż bliźniacy mają identyczne profile DNA, to nie mają identycznych odcisków palców.

– To nieprawda. Porównywaliśmy odciski palców, były identyczne.

– Prawie.

– Mamy jednakowe DNA, więc jak by to mogło być możliwe?

– Ponieważ odciski palców nie są w stu procentach uwarunkowane genetycznie. Kształtują się również pod wpływem otoczenia w macicy. Pozycji jednego płodu względem drugiego. Różnicy długości pępowiny, która powoduje różnicę w strumieniu przepływającej krwi i dostępie do substancji odżywczych, co z kolei decyduje o szybkości rośnięcia palców. Kiedy odciski palców kończą się formować między trzynastym a dziewiętnastym tygodniem ciąży, pojawiają się drobne różnice, które da się dostrzec, jeśli starannie się je zbada. Ja tak zrobiłem i wiesz co? Odciski

palców na kamieniu, który dostałem od ciebie w szpitalu, kiedy podawałeś się za Juliana, i te na szklance, z której ty, Franz, piłeś na posterunku policji, były identyczne. Krótko mówiąc, te dwie osoby były...

– Jedną i tą samą.

– Właśnie, Franz.

Być może sprawiła to tylko zapadająca ciemność, a może było to po prostu nasze zawsze na coś nastawione spojrzenie, które reguluje to nastawienie po otrzymaniu nowej informacji, ale wydało mi się, że widzę, jak Franz wychodzi z osoby stojącej pode mną, zrzuca maskę i rezygnuje z roli odgrywanej przez tyle lat.

– I tylko ty o tym wiesz? – spytał cicho.

– Owszem.

Znad morza wzbił się pojedynczy przeciągły krzyk mewy.

Mówiłem prawdę. Praca, którą wykonałem przy zrekonstruowaniu przestępstwa i zamiany ról, odbywała się w zupełnej samotności, bez innych środków niż te odciski palców i moja kiepska logika, za to przy udziale znakomitej wyobraźni.

Franz zabił Juliana jeszcze tamtej nocy, kiedy pojechali do szpitala. Najprawdopodobniej w trakcie nieprzerwanej kłótni, w przypływie wściekłej zazdrości. Przypuszczałem, że Julian rzeczywiście, próbując skłonić Franza do rezygnacji z Heleny bez walki, twierdził, że kontaktował się z nią tego samego dnia, ujawnił się jako brat bliźniak i przyznał, że ją oszukał, ale Helena oświadczyła, że i tak woli jego, Juliana. Julian okłamał Franza, ponieważ Helena nie wiedziała, że była z dwoma bliźniakami, dopóki jej o tym nie powiedziałem. Mimo to Julian chyba słusznie przeczuwał, że Helena wybrałaby jego, bo w podbijaniu kobiecych serc miał przewagę nad swoim ponurym bratem. Przypuszczałem, że Franz, oszalały i wściekły z zazdrości, wyciągnął lugera i zastrzelił Juliana na miejscu. I że w tej samej mgle, która zamroczyła mu umysł, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, wysłał do Heleny SMS-a z informacją, że zabił Juliana, tego, któremu, jak sądził, całkiem się oddała. Wkrótce jednak Franz odzyskał kontrolę nad sobą. I uświadomił

sobie, że jeśli dobrze rozegra karty, to Helena wciąż może należeć do niego. Znalazł miejsce, w którym mógł zjechać na sam brzeg morza, rozebrał ciało brata i wrzucił je do wody. Potem wrócił do Masouri, zaniósł ubrania, telefon i inne rzeczy Juliana do pokoju, a następnego dnia rano zgłosił jego zaginięcie. Powiedział, że brat poszedł popływać, jeszcze zanim się rozwidniło. Chociaż mogło wyglądać na bardzo prawdopodobne, że Julian wypłynął i utonął, to jednak Franz zdawał sobie sprawę, że jeśli dowiemy się o ich wieczornej kłótni, będziemy chcieli przyjrzeć mu się bliżej. Skasował więc wiadomość, którą w afekcie wysłał do Heleny, wyczyścił też rejestr rozmów, z którego wynikało, że w sumie próbował osiem razy dzwonić do Victorii, ponieważ widziała, jak tej nocy wracał do domu sam. Przypuszczalnie chciał z nią porozmawiać, żeby jakoś się wytłumaczyć i namówić ją, by obiecała, że nie będzie komplikować całej sprawy i nic nie powie policji. Ale po rozmowie ze mną na posterunku w Pothii zrozumiał, że dostaniemy rejestr rozmów i SMS-ów od operatora sieci komórkowej. Poza tym dowiedział się także, iż spotkałem się z Heleną, a kiedy szedł się wspinać na Odyssey, widział, że rozmawiam z Victorią. Zrozumiał wtedy, że sieć wokół niego się zaciska.

I ogarnęła go desperacja.

Jedyną kartą, jaką ciągle trzymał w ręku, było to, że wciąż nie odnaleziono ciała Juliana. A także wspólne z Julianem DNA, więc gdyby natrafiono na jego ciało, można by nam wmówić, że to Franz.

Jedynym rozwiązaniem było zniknięcie Franza Schmida – musiał przestać istnieć. Dlatego zainscenizował samobójstwo. Zadzwonił do mnie z plaży i obwieścił, co zamierza zrobić, żeby nie było żadnych wątpliwości. Zasiał ziarno informacji o tym, że Julian być może wcale nie umarł, że może tkwić w „więzieniu swojej miłości”. Musiał tak powiedzieć, żeby zdążyć dotrzeć do Paleochory, zanim rozwiążemy tę zagadkę, chociaż chyba nie sądził, że będę na to potrzebował kilku dni. Po rozmowie telefonicznej ze mną zostawił ubrania i komórkę w samochodzie, boso wszedł do morza i wyrzucił lugera, aby wzmocnić nasze przekonanie o samobójstwie, gdybyśmy znaleźli pistolet. Brodząc w wodzie, przeszedł

na skały i stamtąd piechotą dotarł do Paleochory; wiedział, że nie powinno mu to zająć więcej niż godzinę. Była noc, wiał silny wiatr, więc prawdopodobieństwo, że kogoś spotka – zwłaszcza kogoś, kto by go zapamiętał – było znikome.

– Miałeś ze sobą koc. Ale żeby dotrzeć do Paleochory, musiałeś też mieć ubranie, a przynajmniej buty. Co z nimi zrobiłeś?

Zauważyłem, że Franz luzuje chwyt, a oklejony żółtą taśmą koniuszek liny przesuwa się ku jego dłoni.

– Wyrzuciłem w Chorze – odparł. – Do kontenera na śmieci poniżej murów twierdzy. Razem z opakowaniem po środku na wymioty i tabletkach przeczyszczających, które zażyłem, żeby, kiedy mnie znajdziecie, wyglądało na to, że byłem długo przykuty. Zdążyłem dotrzeć do piwnicy i zacząłem rzygać i srać jak świnia. Sądziłem przecież, że zjawicie się dosyć szybko.

– Przez cały czas siedziałeś w tej piwnicy?

– W ciągu dnia tak, bo inaczej mogliby mnie zauważyć ludzie z Chory albo turyści, ale nocą wychodziłem złapać trochę świeżego powietrza.

– I oczywiście przykułeś się kajdankami dopiero, kiedy usłyszałeś, że nadciąga „ratunek”? A gdzie schowałeś kluczyk do kajdanek?

– Połknąłem.

– I to była jedyna rzecz, jaką zjadłeś, będąc tam? Nic dziwnego, że wydałeś mi się chudszy.

Franz Schmid zaśmiał się krótko.

– Cztery kilo. Po szczupłym człowieku to widać. Ogarnęła mnie pewna desperacja, kiedy zrozumiałem, że nie złapałeś podpowiedzi, i zacząłem wzywać pomocy. A kiedy wreszcie usłyszałem ludzi kręcących się po twierdzy, głos miałem już zupełnie zdarty i na nic się to zdało.

– Ten inny głos... Po prostu zachrypłeś od krzyku.

– Nikt mnie nie słyszał – powiedział Franz.

– Nikt cię nie słyszał – powtórzyłem.

Odetchnąłem głębiej. Uprząż wrzynała mi się w ciało, wstrzymywała przepływ krwi, nogi już mi drętwiały. Oczywiście wiedziałem, że Franz może mieć dwa powody, żeby się przyznać. Po pierwsze, tak czy owak, miał zamiar spuścić mnie w przepaść. Po drugie, przyznawanie się do winy jest przyjemne. To jak przerzucenie ciężaru na kogoś innego. Właśnie dlatego spowiedź to jedna z najpopularniejszych ofert Kościoła.

– Tak więc przejąłeś życie swojego brata – stwierdziłem.

Franz Schmid wzruszył ramionami.

– Julian i ja znaliśmy nawzajem swoje życie na wylot, więc to było łatwiejsze, niż można by przypuszczać. Obiecawszy Helenie, że szybko wrócę, pojechałem do domu. Trzymałem się z dala od ludzi, którzy znają nas zbyt dobrze, od rodziny, przyjaciół i kolegów Juliana z pracy. Moje izolowanie się i parę innych dziwnych sytuacji tłumaczono utratą pamięci z powodu traumy, przez którą przeszedłem. Najtrudniejszy był pogrzeb, kiedy matka powiedziała, iż jest przekonana, że jestem Franzem, więc chyba żałoba doprowadziła ją do szaleństwa. I przemówienia podczas uroczystości, kiedy zrozumiałem, jak wiele osób mnie kochało. Po pogrzebie zrezygnowałem z pracy, to znaczy z pracy Juliana, i wróciłem tu, na Kalimnos. Wyprawiliśmy z Heleną skromne wesele. Z mojej strony zaprosiliśmy tylko matkę. Ale nie chciała przyjechać. Uważa, że ukradłem Helenę Franzowi i że Helena go zdradziła. Do czasu przyjścia na świat Ferdinanda utrzymywaliśmy jedynie minimalny kontakt. Ale po wysłaniu jej kilku zdjęć małego rozmawialiśmy przez telefon. Zobaczymy, jak to się ułoży.

– A Helena... czy ona coś wie?

Franz Schmid pokręcił głową.

– Dlaczego to robisz? – spytał. – Dajesz mi linę, sam uwiązujesz się na jej drugim końcu i mówisz mi, że jeśli cię zabiję, nikt się o niczym nie dowie.

– Pozwól, że raczej ja cię spytam, Franz. Czy nie ciężko jest dźwigać to wszystko w samotności?

Nie odpowiedział.

– Jeśli mnie teraz zabijesz, ciągle będziesz sam. I to nie tylko z zabójstwem popełnionym w afekcie, lecz z morderstwem z premedytacją. Chcesz tego?

– Nie dałeś mi żadnego wyboru, Nikos.

– Zawsze jest wybór.

– Jeśli chodzi o własne życie, być może. Ale mam teraz rodzinę, o której muszę myśleć. Kocham ich, a oni kochają mnie. Jestem gotów poświęcić dla nich wszystko. Spokój własnej duszy. Twoje życie. Czy według ciebie to takie dziwne?

Spadałem. Zdążyłem dostrzec koniec liny znikający w dłoni Franza i wiedziałem, że to już koniec. Za moment jednak uprząż znów wbiła mi się w uda i w plecy i zakołysałem się miękko na elastycznej linie.

– Nie dziwi mnie to ani trochę – odparłem. Puls zaczął mi zwalniać, najgorsze miałem już za sobą. Przestałem tak bardzo bać się śmierci. – Bo właśnie to chciałem ci zaproponować. Spokój ducha.

– To niemożliwe.

– Oczywiście nie mogę ci zagwarantować pełnego spokoju, bo mimo wszystko zabiłeś brata, ale mogę ci zapewnić spokój od lęku przed ujawnieniem tego. Nie będziesz już musiał przez cały czas oglądać się przez ramię.

Zaśmiał się krótko.

– Ponieważ to się wreszcie skończy i zostanę aresztowany?

– Nie zostaniesz aresztowany. Przynajmniej nie przeze mnie.

Franz Schmid odchylił się do tyłu. Nie mógł trzymać końcówki liny w nieskończoność, kiedyś wreszcie musiał ją puścić. Wszystko jedno. Byłem przygotowany, że to się może tak skończyć. To jedno z dwóch zakończeń, jakie byłem w stanie zaakceptować.

– A dlaczego mnie nie zaaresztujesz? – spytał Franz.

– Ponieważ będę chciał od ciebie tego samego.

– Tego samego?

– Spokoju ducha. A to znaczy, że nie mogę cię aresztować, nie podążając za tobą tą samą drogą.

Widziałem, jak ścięgna i naczynia krwionośne poruszają się pod skórą jego dłoni. Mięśnie szyi napięły się i Franz zaczął ciężej oddychać. Zrozumiałem, że zostały mi sekundy. W jednym albo dwóch zdaniach musiałem zmieścić opowieść o dniu, który ukształtował resztę mojego życia.

– No to jakie masz plany na lato? – spytałem Trevora, podnosząc do ust kubek od termosu.

Trevor, Monique i ja siedzieliśmy na kamieniach naprzeciwko siebie. Za nami wznosiła się dwudziestoparometrowa ściana, przed nami rozciągał się falujący krajobraz pól. Głównie były to łąki, tu i ówdzie widzieliśmy krowy, w pogodne dni, takie jak dzisiejszy, ze szczytu ściany można było dojrzeć dym z fabryk unoszący się nad Sheffield. Zakończyliśmy już wspinaczkę. Słońce wisiało nisko i chcieliśmy jeszcze coś przekąsić przed powrotem. Gorący kubek piekł moje pościerane opuszki. Wydawał się też śliski, bo właśnie nasmarowałem palce Eight Hour Cream, kosmetycznym produktem dla pań wynalezionym przez Elisabeth Arden w latach trzydziestych dwudziestego wieku, który jednak, jak doświadczyłem wraz z setkami innych wspinaczy, jest lepszy niż jakikolwiek specjalnie przygotowany dla wspinaczy krem przyspieszający tworzenie się nowej skóry.

– Nie wiem – odparł Trevor.

Trudno go było dziś namówić na rozmowę. Tak samo Monique. W samochodzie podczas jazdy z Oksfordu, a także w trakcie wspinaczki mówiłem ja – ten ze złamanym sercem. Żartowałem. Dodawałem otuchy. Oczywiście zauważyłem, jak wymieniają spojrzenia, którymi pytali się nawzajem: kto mu to powie, ty czy ja? Ale zręcznie im to uniemożliwiałem. Milczenie w samochodzie wypełniałem paplaniną, która z pewnością wydawałaby się gorączkowa, gdyby nie to, że dotyczyła wspinaczki, a wszystko, co dotyczy wspinaczki, brzmi gorączkowo. To miał być wyjazd

tylko na jeden dzień, ponieważ Monique resztę weekendu zamierzała poświęcić na przygotowanie się do egzaminu końcowego, więc może chcieli wstrzymać się z wyjawieniem czegokolwiek niemalże do powrotu, żeby po wypuszczeniu bomby nie musieli spędzać ze mną kilku godzin w samochodzie. Z drugiej jednak strony na pewno zależało im na wyrzuceniu tego z siebie, przyznaniu się do popełnionego czynu, złożeniu obietnicy, że to się już nigdy nie powtórzy, i wytrzymaniu mojego rozczarowania, a może nawet łez. Ale później liczyli na moje wybaczenie, moją wielkoduszną obietnicę, że owszem, możemy udawać, że to się nigdy nie zdarzyło, niechby wszystko było jak dawniej. Może nawet związałoby to nas ze sobą jeszcze mocniej, teraz, kiedy dane nam było poczuć, co możemy stracić: siebie nawzajem.

Przez cały dzień uprawialiśmy wspinaczkę tradową, czyli tradycyjną, to znaczy, że musieliśmy zakładać własną asekurację tam, gdzie skała na to pozwalała. To oczywiście o wiele bardziej ryzykowne niż wspinanie się po drogach ze stałymi punktami, ponieważ kostka asekuracyjna wetknięta w szczelinę łatwo może się z niej wysunąć. Ale wspinanie się – o dziwo, zważywszy na to, w jakim stanie psychicznym byłem – szło mi dobrze. I czułem się tym bardziej rozluźniony, niemal obojętny, im trudniejsze było zakładanie dobrej, bezpiecznej asekuracji. Z Trevorem i Monique było odwrotnie, zwłaszcza on nagle chciał zakładać punkty asekuracyjne wszędzie, nawet na łatwych drogach, co zajmowało irytująco dużo czasu.

– A co z twoimi planami na lato? – spytał Trevor i ugryzł kanapkę.

– Popracuję trochę u ojca w Atenach – wyjaśniłem. – Zarobię, żebym mógł pojechać do Monique do Francji i wreszcie poznać jej rodzinę.

Uśmiechnąłem się do Monique, która odpowiedziała mi udręczonym uśmiechem. Pewnie już o tym zapomniała, ale minęło nie więcej niż trzy miesiące od czasu, gdy razem siedzieliśmy nad mapą, wybierając winnice i skałki, omawiając drobne sprawy praktyczne z taką radością, jakby chodziło o ekspedycję w Himalaje.

– Chyba powinieneś się o czymś dowiedzieć – zaczął Trevor cicho, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Poczułem, że robi mi się zimno, a serce opada mi w piersi.

– Ja też zamierzam wybrać się latem do Francji – oznajmił Trevor i dalej żuł.

Co, u diabła, chciał przez to powiedzieć? Nie zamierzają mnie poinformować o tym, co się wydarzyło? O tej wpadce, którą mają za sobą, o tym, że Monique czuła się samotna, ponieważ ją zaniedbałem, a Trevor w chwili słabości jej uległ? To oczywiście nie były dobre wytłumaczenia, ale przynajmniej odczuwany żal, obietnica, że to się już nigdy więcej nie powtórzy. Miałem tego nie usłyszeć? Trevor wybiera się do Francji. Czyżby oni... Czyżby to oni zamierzali wybrać się w tę trasę, którą zaplanowałem razem z Monique?

Popatrzyłem na nią, lecz ona też wbiła oczy w ziemię. Zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. Dotarło do mnie, że byłem ślepy. Ale ślepy byłem, bo oni wykłuli mi oczy. Wezbrało we mnie coś czarnego, bolesnego i ogromnego. Nie dawało się tego powstrzymać. Miałem wrażenie, jakby mój żołądek chciał się wywrócić na drugą stronę, a cuchnące żółtozielone wymiociny szukały drogi wyjścia. Takiej drogi jednak nie było. Usta, nos, uszy i oczodoły, wszystko to miałem zaszyte. Dlatego trująca treść wdarła się do głowy, usunęła z niej wszystkie rozsądne myśli i dalej mi tę głowę rozsadzała.

Zobaczyłem, że Trevor zbiera się w sobie. Miał przed sobą crux. Nabrał powietrza, unosząc szerokie barki. Te białe plecy, które widziałem przez okno. Otworzył usta.

– Wiecie co? – uprzedziłem go. – Mam ochotę przed wyjazdem zrobić jeszcze jedną drogę.

Trevor i Monique popatrzyli na siebie zdziwieni.

– Ale... – zaczęła Monique.

– To nie zajmie dużo czasu – stwierdziłem. – Założę tylko Exodus.

– Po co? – spytała Monique. – Przecież już raz go dzisiaj zrobiłeś.

– Ponieważ to będzie free solo. Idę na żywca.

Wpatrywali się we mnie, a cisza była tak totalna, że słyszeliśmy słowa wspinającego się i asekurującego, którzy wołali do siebie sto metrów dalej na ścianie. Wciągnąłem buty wspinaczkowe.

– Nie wygłupiaj się – powiedział Trevor z wymuszonym śmiechem.

Po oczach Monique poznałem, iż zrozumiała, że nie żartuję.

Wytarłem o spodnie śliskie, natłuszczone koniuszki palców do sucha, wstałem i podszedłem do ściany. Drogę nazywaną Exodus znaliśmy jak własną kieszeń, robiliśmy ją mnóstwo razy z liną. Była łatwa do zaznaczonego cruxu – najtrudniejszego punktu pod koniec, w którym trzeba postawić wszystko na jedną kartę, zrezygnować z pełnej kontroli i strzelić lewą rękę do niedużego, lekko nachylonego występu, z którego nie spada się jedynie dzięki sile tarcia. A ponieważ to kwestia tarcia, nawet z ziemi widzieliśmy, że ten występ jest biały od magnezji wspinaczy, którzy zanurzali ręce w woreczkach tuż przed wykonaniem tego przechwytu, aby mieć jak najbardziej suchą skórę.

Jeśli udawało się utrzymać strzał, to pozostawało jedynie przemieścić prawą rękę na duży chwyt, wstawić stopy na półkę i pokonać kilka ostatnich łatwych metrów. Ze szczytu można było ponadto w prosty sposób i bez liny zejść po zboczu na tyłach skały.

– Nikos... – zaczęła Monique, ale ja już się wspinałem.

Dziesięć sekund później byłem wysoko na ścianie. Usłyszałem, że rozmowa tocząca się nieco dalej na skale nagle się urywa, i zrozumiałem, że zorientowali się, że żywcuję – że wspinam się bez liny, bez żadnej asekuracji. Usłyszałem, jak ktoś cicho zaklął. Ale wspinałem się dalej. Minąłem punkt, w którym można było się wycofać, wrócić na dół. Bo to było fantastyczne. Kamień. Śmierć. To lepsze od wszelkiego alkoholu na świecie, pozwoliło mi naprawdę odciąć się i zapomnieć o wszystkim innym. I po raz pierwszy od chwili, gdy siedziałem na tamtym drzewie i patrzyłem, jak Trevor i Monique się pieprzą, nie czułem absolutnie żadnego bólu. Znajdowałem się teraz tak wysoko, że gdybym popełnił jeden błąd, gdybym się poślizgnął, gdyby zabrakło mi sił lub gdyby ukruszył się jakiś chwyt, to spadłbym i nie tylko się poranił – zginąłbym.

Słyszałem, że ci, którzy wspinają się na żywca, programują się na niemyślenie o śmierci, bo jeśli będzie się o niej myśleć, wszystkie mięśnie się napną, zablokowany zostanie dopływ tlenu, w mięśniach zgromadzi się kwas mlekowy i człowiek odpadnie od ściany. Ale ze mną tego dnia było odwrotnie. Im więcej myślałem o śmierci, tym wspinaczka wydawała mi się łatwiejsza.

Crux był już niedaleko. Miałem jedynie strzelić w lewo i utrzymać się na ścianie, łapiąc lewą ręką ten jeden malutki chwyt. Zatrzymałem się. Nie dlatego, że się wahałem, tylko dla napawania się tą chwilą. Napawania się ich lękiem.

Stałem na lewym paluchu, prawą nogę odstawiłem dla przeciwwagi i wychyliłem się w lewo. Usłyszałem ściszony krzyk Monique i poczułem cudowne opadnięcie w ciele, kiedy na moment straciłem równowagę, kontrolę, poddając się całkowicie sile ciążenia. Wyrzuciłem lewą rękę, dosięgnąłem do chwytu i zacisnąłem palce. To powstrzymało upadek, zanim tak naprawdę się zaczął. Przeniosłem prawą dłoń na duży wygodny chwyt i postawiłem stopy na półce. Byłem bezpieczny. I w pierwszej chwili poczułem dziwne rozczarowanie. Dwaj pozostali wspinacze, starsi Anglicy, podeszli do Monique i Trevora i widząc, że nie jestem już w niebezpieczeństwie, zaczęli głośno wyrażać swoje oburzenie. Usłyszałem to, co zwykle: że free solo powinno się zabronić, że we wspinaczce chodzi o radzenie sobie z ryzykiem, nie o rzucanie wyzwania śmierci, że tacy jak ja są złym przykładem dla młodszych wspinaczy. Słyszałem, że Monique mnie broni, tłumacząc, że panowie wybaczą, ale dzisiaj tu nie ma młodszych wspinaczy. Trevor w ogóle się nie odezwał. Teraz, kiedy stałem wygodnie, mogłem odpocząć i rozluźnić nieco zakwaszone ręce przed ostatnimi metrami, wykorzystałem więc dobrze znaną technikę wspinaczkową polegającą na zbliżaniu na zmianę prawego, a potem lewego biodra do ściany, przytrzymując się to prawą, to lewą ręką. Kiedy dotknąłem lewym biodrem skalnej ściany, coś ukłuło mnie w udo. To była tubka z kremem Elisabeth Arden, miałem ją w kieszeni spodni.

W kolejnych latach próbowałem to zrekonstruować, próbowałem cofnąć się w głąb własnego mózgu, ale to niemożliwe. Mogę tylko konkludować, że w zaskakująco niewielkim stopniu jesteśmy w stanie przypomnieć sobie, co myśleliśmy, ponieważ myśli są jak sny, uciekają nam, i wnioskujemy, co musieliśmy myśleć, tylko na podstawie tego, co faktycznie zrobiliśmy, co jest udowodnione, niczego więcej.

A oto, co zrobiłem w tamto piątkowe popołudnie w Peak District w Anglii: stałem wygodnie, balansując na nogach i przytrzymując się ściany prawą ręką, podczas gdy lewą wsunąłem do kieszeni. Ponieważ byłem zwrócony do ściany lewym biodrem, lewa ręka i kieszeń pozostawały zasłonięte dla tych, którzy stali na ziemi. Poza tym byli zajęci dyskusją na temat etycznych dylematów wspinaczki samobójczej. Z ręką w kieszeni odkręciłem tubkę, ścisnąłem ją i dwoma palcami uchwyciłem porcję gęstego tłustego kremu, dalej przytrzymując się prawą ręką, lewą cofnąłem na kluczowy chwyt, pozornie po to, żeby lekko wyregulować pozycję stóp, po czym rozsmarowałem tam gęsty krem. Stwierdziłem, że nie da się go odróżnić od magnezji znajdującej się tam już wcześniej. Wytarłem rękę o wnętrze ud w miejscu, gdzie, jak wiedziałem, nie będzie widać resztek kremu, jeśli będę stał ze złączonymi nogami. Potem wykonałem ostatnie łatwe przechwyty i już byłem na górze.

Kiedy zszedłem z tyłu skały, okrążyłem ją i wróciłem, tamci dwaj Anglicy już sobie poszli, widziałem ich na ścieżce prowadzącej przez pola. Od zachodu nadciągały chmury.

– Ty idioto! – warknęła Monique, która stała z plecakiem na ramionach gotowa do wyruszenia.

– Ja też cię kocham – powiedziałem, ściągając buty. – Twoja kolej, Trevor.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

W literaturze często przypisuje się spojrzeniu wielką moc. Pod względem literackim taki zabieg, rzecz jasna, pomaga autorowi w snuciu frapującej opowieści. Ale ponieważ, jak już wspominałem, żaden ze mnie specjalista od czytania mowy ciała ani też nie jestem bardziej niż inni wyczulony na

nastroje, mogę wnioskować jedynie na podstawie tego, co zrobił, że on wiedział. Wiedział, że wiem. I że to jego sposób na pokutę: rzucić wyzwanie śmierci w taki sam sposób, jak ja to zrobiłem. Że tylko tak może mi teraz okazać szacunek i liczyć na moje wybaczenie.

– Twój idiotyczny postępek nie będzie mniej idiotyczny, jeśli nakłonisz go do zrobienia czegoś równie idiotycznego! – syknęła Monique. W oczach miała łzy. Może dlatego nie usłyszałem dalszego ciągu jej tyrady. Wpatrywałem się w te łzy i zastanawiałem się, czy ona płacze nade mną. Nad nami. Czy raczej nad moralnym upadkiem jej i Trevora, będącym takim przeciwieństwem wszystkiego tego, co Monique wyznawała? A może nad nożem, który niedługo miał zostać wbity we mnie, co jednak wymagało więcej odwagi, niż oni zdawali się mieć? Ale po jakimś czasie przestałem snuć i te rozważania.

A kiedy zorientowała się, że już jej nie słucham i nie wpatruję się w nią, tylko w coś za jej plecami, a teraz właściwie ponad nią, odwróciła się i zobaczyła, że Trevor wchodzi na ścianę. Zaczęła krzyczeć. Ale Trevor już minął punkt, w którym mógł się wycofać. Minął punkt, w którym ja mogłem się wycofać.

Nie, to nieprawda, nadal mogłem go ostrzec. Namówić na szukanie innego rozwiązania, jakichś innych chwytów, pozwalających ominąć crux. Mogłem. Czy to rozważałem? Nie pamiętam. Wiem, że o tym myślałem, ale czy to było wtedy, czy później? Jakich wolt dokonała moja pamięć, aby, nawet jeśli mnie nie uniewinnić, to przynajmniej znaleźć okoliczności łagodzące? Znów: nie wiem. I który ból byłby większy? Ten, z którym musiałbym żyć, gdyby Trevor tego lata pojechał do Francji i być może spędził resztę życia z Monique, czy ten, który ostatecznie przypadł mi w udziale: mimo wszystko utrata ich obojga, tyle że osobno? I czy któryś z tych dwóch rodzajów bólu byłby gorszy niż życie z Monique w kłamstwie, w przemilczeniu, ze świadomością, że nasze małżeństwo jest fałszywe, oparte nie na wzajemnej miłości, lecz na wspólnej winie, że jego fundamentem jest nagrobek tego, którego kochała bardziej niż mnie?

Mogłem go ostrzec, ale tego nie zrobiłem.

Ponieważ wybrałbym – jak wtedy, tak i teraz – życie z nią w kłamstwie, przemilczeniu i poczuciu winy. I gdybym tam i wtedy wiedział, że to niemożliwe, chciałbym, żebym to ja spadł. Ale nie spadłem. Musiałem żyć dalej. Aż do dzisiaj.

Z dalszego ciągu tego dnia pamiętam niewiele. Oczywiście te wydarzenia są gdzieś zarchiwizowane, ale nigdy nie otworzyłem tej szuflady.

Pamiętam urywki z podróży samochodem do Oksfordu. Jest noc, minęło kilka godzin od czasu, gdy ciało Trevora zabrano, od czasu, gdy Monique i ja składaliśmy zeznania na policji i usiłowaliśmy się tłumaczyć zrozpaczonej matce Trevora, gdy płacz jego ojca przecinał powietrze jak krzyk bólu.

Ja prowadzę, Monique milczy, jesteśmy na M1 gdzieś między Nottingham a Leicester, temperatura się obniżyła, kiedy zaczął padać deszcz, włączyłem więc podgrzewanie siedzeń i wycieraczki, myśląc o tym, że z deszczem spływają dowody przeciwko mnie zostawione na cruxie. I nagle w ciepłej kabinie samochodu Monique mówi, że czuje zapach perfum, a ja kątem oka widzę, że odwraca się w moją stronę i patrzy na moje nogi.

– Masz białą plamę na wnętrzu uda.

– Magnezja – odpowiadam prędko, nie odrywając wzroku od autostrady. Jakbym wiedział, że ona to zauważy, i miał przygotowane wyjaśnienie.

Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu.

– Zabiłeś najlepszego przyjaciela – powiedział Franz Schmid.

W jego głosie nie dało się wychwycić ani wyrzutu, ani szoku. Po prostu to skonstatował.

– Teraz wiesz o mnie to, co ja o tobie – stwierdziłem.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie. Pierwszy powiew wiatru rozwiał mu grzywkę.

– I w związku z tym uważasz, że nie mam czego się obawiać z twojej strony. Ale twoja zbrodnia już się przedawniła, nie możesz ponieść za nią kary.

– Nie sądzisz, Franz, że i tak zostałem ukarany?

Zamknąłem oczy. Przestało być ważne, czy puści linę, czy mnie ocali, bo udało mi się wyspowiadać. Oczywiście nie mógł mi udzielić rozgrzeszenia. Ale mógł – mogliśmy – dać sobie nawzajem opowieść, z której wynikało, że nie jesteśmy jedyni, że nie tylko jeden z nas jest grzesznikiem. Taki postępek nie staje się przez to wybaczalny, ale staje się ludzki. Zmienia się w ludzki błąd. To zawsze człowiek zawodzi. Ale wobec tego jestem przynajmniej człowiekiem. Franz także. Czy to rozumiał? Że zjawiłem się, aby uczynić z niego człowieka? I z siebie? Że miałem ocalić jego, a on mnie? Znów otworzyłem oczy. Popatrzyłem na jego rękę.

Kiedy szliśmy z powrotem do samochodu, ściemniło się już tak, że Franz musiał iść pierwszy, a ja tuż za nim. Słyszałem w dole mamrotanie i warkot fal, jak rozczarowanego drapieżnika, który rozumie, że zdobycz mu umknęła. Koncentrowałem się na stąpaniu po wąskiej stromej ścieżce dokładnie tam, gdzie Franz.

– Tu uważaj – ostrzegł mnie, lecz ja mimo to kopnąłem w duży luźny kamień, ponad którym on przeszedł. Usłyszałem, że kamień potoczył się z hukiem w dół po zboczu, ale niczego nie widziałem. Pewien okulista powiedział mi, że jedną z najbardziej przewidywalnych rzeczy, jeśli chodzi o ludzki organizm, jest to, że po przekroczeniu sześćdziesiątki nasze oczy tracą co najmniej dwadzieścia pięć procent wrażliwości na światło. Widziałem więc teraz gorzej. Ale niewykluczone, że widziałem również lepiej. W każdym razie lepiej rozumiałem opowieść o sobie samym. Szliśmy dalej, a kiedy okrążyliśmy cypel, dostrzegłem światła domów przy plaży.

Franz uratował mnie od upadku z Where Eagles Dare, przybliżając się nieco do pierwszego spita, a jednocześnie wybierając dość liny, by mógł ją mocniej chwycić i zawiązać węzeł na końcu. Po wprawieniu się w ruch

wahadłowy udało mi się złapać wystającej krawędzi brzegu przepaści, gdy światło dzienne już całkiem zniknęło.

Kiedy dotarliśmy do parkingu i wsiedliśmy do samochodu, Franz zadzwonił do Heleny.

– Wszystko z nami w porządku, kochana, po prostu wspinaczka zajęła nam więcej czasu, niż planowaliśmy. – Chwila ciszy. Potem na jego twarzy ukazał się uśmiech. – Powiedz mu, że tata niedługo będzie w domu i mu poczyta. I że też was kocham.

Spojrzałem na morze. Czasami może się wydawać, że życie jest pełne najtrudniejszych wyborów. Może dlatego że tych łatwych nie postrzegamy jako wyborów. Nasze myśli zajmują prawdziwe dylematy, nieoznakowane rozstajne drogi. W Oksfordzie podczas dyskusji o słynnym wierszu Roberta Frosta *The Road Not Taken* twierdziłem – nie bez pewnej młodzieńczej arogancji – że ten wiersz to oczywiście hołd dla indywidualizmu, rada dla nas, młodych, aby wybierać *the one less traveled by*, ponieważ *that has made all the difference*[6], jak pisze poeta w dwóch ostatnich wersach. Ale nasz sześćdziesięcioletni profesor uśmiechnął się i stwierdził, że właśnie to naiwne, optymistyczne niezrozumienie ściągnęło wiersz Roberta Frosta na poziom Khalila Gibrana i Paula Coelha, zmieniając go w przedmiot uwielbienia mas, a ostatni wers jest słabością tego wiersza, ponieważ jest niejasny i można go odczytywać jako nieudaną próbę konkluzji tego, o czym wiersz mówi poza tym: o konieczności dokonywania wyborów. O tym, że nic nie wiemy o drogach ani o tym, która jest *less traveled by*, ponieważ w wierszu te odcinki obu dróg, które widać, są takie same. I nigdy też nie dowiemy się, dokąd prowadziła ta, której się nie wybrało. Bo, jak pisze poeta, wybrana droga prowadzi do nowych dróg i nigdy nie zawróci do tych rozstajów. To jest istotne w tej poezji, stwierdził nasz profesor. Melancholia. Wiersz nie mówi o drodze, którą się wybrało, lecz o tej, której się nie wybrało.

„To nawet jasno wynika z tytułu wiersza” – tłumaczył. „Ale świat i my, poszczególni ludzie, interpretujemy wszystko w zależności od naszych potrzeb. Zwycięzcy piszą historię wojen, w której występują jako jedyni

sprawiedliwi, teolodzy interpretują Biblię tak, aby dawała jak największą władzę Kościołowi, a wiersz wykorzystujemy do mówienia sobie, że nie musimy czuć się nieudacznikami, nawet jeśli nie spełniliśmy oczekiwań naszych rodziców lub nie poszliśmy w ich ślady. Faktyczny przebieg wojny, faktyczny tekst Biblii, faktyczny zamysł poety mają znaczenie podrzędne. Mam rację?”

Franz odłożył telefon na środkową konsolę. Ale nie przekręcał kluczyka w stacyjce, tylko dalej siedział, patrząc na morze tak jak ja.

– Wciąż cię nie rozumiem – powiedział. – Przecież jesteś policjantem.

– Nie – odparłem. – Nie jestem policjantem z tego prostego powodu, że nigdy nim nie byłem. Tylko pracowałem jako policjant. Musisz zrozumieć, że w tej opowieści o mnie jestem tobą, Franz. Julian cię zdradził, tak jak Trevor zdradził mnie. A choroba, jaką jest zazdrość, uczyniła z nas obu zabójców. W Grecji dożywotnie więzienie oznacza możliwość zwolnienia warunkowego po szesnastu latach. Odbyłem ponaddwukrotnie wyższą karę. Nie chcę, żeby to samo spotkało ciebie.

– Nie możesz nawet wiedzieć, czy żałuję – stwierdził Franz. – Może wcale nie musiałem się spowiadać, żeby mieć spokój duszy. Ale jeśli chodzi o ciebie, to mogłeś się zwrócić do księdza.

– Jest jeszcze inny powód, dla którego przyjechałem.

– Jaki?

– Ty jesteś drogą, którą nie poszedłem. Musiałem ją zobaczyć.

– O co ci chodzi?

– Wybrałeś ją, kobietę, która – winna czy niewinna – była przyczyną, dla której zabiłeś rodzonego brata. Chciałem wiedzieć, czy można z tym żyć. Czy można żyć szczęśliwie z tą, dla której się zabiło, w cieniu tamtego grobu? Nigdy nie sądziłem, że byłbym do tego zdolny.

– Ale teraz, kiedy już zobaczyłeś tę drugą drogę i wiesz, że to możliwe, to co z nią zrobisz?

– To zupełnie inna opowieść, Franz.

– Usłyszę ją kiedyś?

– Być może.

Franz odwiózł mnie na lotnisko dwa dni później. Niewiele rozmawialiśmy w ciągu tych dni, jakbyśmy obaj mieli w sobie pustkę. Tym więcej czasu spędzałem z Ferdinandem i Heleną, a ostatniego wieczoru chłopczyk uparł się, żebym to ja opowiedział mu bajkę na dobranoc. Nie wyczułem żadnej zazdrości ze strony Franza, kiedy stał w drzwiach i uśmiechał się zadowolony, przypuszczalnie widząc, jak mały Ferdinand już potrafi mną rządzić. Kiedy więc chłopczyk pocałował rodziców na dobranoc, usiadłem przy jego łóżku i opowiedziałem mu mit o Ikarze i jego ojcu. Ale podobnie jak zrobił mój ojciec, ja także ułożyłem własną wersję. Tym razem ze szczęśliwym zakończeniem, w którym obaj zdołali cało i zdrowo uciec z więzienia na Krecie.

Gdy podjechaliśmy pod terminal, nadciągnęła gwałtowna ulewa, którą zdecydowaliśmy się przeczekać w samochodzie. Paleochorę spowiły szare chmury. Franz był w tej samej flanelowej koszuli, w której zobaczyłem go pierwszy raz na posterunku policji pięć lat wcześniej. Być może właśnie za sprawą tej koszuli spostrzegłem teraz, że on też się postarzał. Siedział z obiema rękami na kierownicy i wyglądał przez przednią szybę, jakby zbierał się do powiedzenia mi czegoś. Miałem nadzieję, że nie będzie to nic zbyt wielkiego i ciężkiego. Wreszcie się odezwał, nie patrząc na mnie:

– Ferdinand spytał mnie dziś rano, gdzie są twoje dzieci i ich matka. Gdy wyjaśniłem mu, że nie masz ani dzieci, ani żony, kazał, żebym ci to dał. – Nachylił się i wyjął z kieszeni kurtki małego sfatygowanego miśka.

Spojrzał na mnie. Roześmialiśmy się.

– I jeszcze to.

To było zdjęcie – najwyraźniej wydrukowane w domu na papierze fotograficznym – na którym byłem ja okręcający Ferdinanda, tak jak wcześniej robił jego ojciec.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Wydaje mi się, że możesz być dobrym dziadkiem.

Popatrzyłem na zdjęcie. Zrobiła je Helena.

– Powiesz jej o wszystkim któregoś dnia? O tym, co się naprawdę wydarzyło?

– Helenie? – Franz pokręcił głową. – Początkowo mogłem to zrobić i oczywiście powinienem był, ale teraz nie mam już prawa niszczyć opowieści, w którą ona wierzy. Przecież zbudowała na niej życie, rodzinę.

Pokiwałem głową.

– Na opowieści – powtórzyłem.

– Ale... – zaczął i urwał.

– Ale?

– Czasami mam wrażenie, że ona wie.

– Tak?

– Zdarzyła się kiedyś taka sytuacja. Helena powiedziała, że mnie kocha, a ja – że kocham ją. I spytała wtedy, czy kocham ją tak bardzo, że zabiłbym kogoś, kogo kochałbym tylko trochę mniej, żeby mogła być moja. Było coś w tonie jej głosu. Potem mnie pocałowała, zanim zdążyłem odpowiedzieć, i zaczęła mówić o czymś innym.

– Kto wie? – odparłem. – I kto musi wiedzieć?

Przestało padać.

Kiedy szedłem do samolotu, pokrywa chmur się rozstąpiła.

Tego wieczoru, kiedy kładłem się spać w swoim mieszkaniu w Atenach, umieściłem misia na półce nad łóżkiem i wziąłem do ręki leżącą tam otwartą kopertę. Miała stempel pocztowy z Paryża i datę sprzed dwóch miesięcy. Wyjąłem list i przeczytałem go jeszcze raz. Jej charakter pisma nie zmienił się przez te wszystkie lata.

Zasnąłem późno w nocy.

Trzy miesiące później

– Dziękuję za wspaniały dzień – powiedziała Victoria Hässel, podnosząc kieliszek z winem. – Kto by przypuszczał, że Ateny oferują takie przyjemne możliwości wspinaczkowe. I że ty masz taką wytrzymałość.

Puściła do mnie oko, jakby chciała mieć pewność, że zrozumiałem dwuznaczność.

Victoria skontaktowała się ze mną parę dni po moim powrocie z Kalimnos i od tej pory korespondowaliśmy ze sobą co najmniej raz w tygodniu. Może to odległość i fakt, że nie mieliśmy ani wspólnych przyjaciół, ani nie znaliśmy się zbyt dobrze, sprawiły, że tak łatwo było mi się jej zwierzyć. Nie z morderstwa, tylko z miłości. Z Monique. Życie miłosne Victorii było nieco bardziej treściwe i zróżnicowane, a kiedy napisała, że zamierza się spotkać ze swoim najnowszym kochankiem, francuskim wspinaczem, na Sardynii i ma ochotę dotrzeć tam okrężną drogą przez Ateny, to szczerze mówiąc, nie byłem pewny, czy to dobry pomysł. Odpisałem jej, tłumacząc, że lubię dzielący nas dystans, wrażenie rozmowy ze spowiednikiem, który nie widzi mojej twarzy.

Mogę włożyć na głowę papierową torbę – odpisała. *Ale poza tym nie będę miała nic na sobie.*

– Czy twój brat ma równie ładne mieszkanie? – spytała, kiedy sprzątałem ze stołu, wynosząc talerze na kuchenny blat.

– Ładniejsze i większe.

– Zazdrościsz mu?

– Nie. Jestem...

– Szczęśliwy?

– Chciałem powiedzieć „zadowolony”.

– Ja też. Jestem tak zadowolona, że wręcz żałuję, że muszę jutro jechać na Sardynię.

– Masz kogoś, kto tam na ciebie czeka. A słyszałem, że warunki do wspinaczki są fantastyczne.

– Nie jesteś zazdrosny?

– O wspinanie się czy o twojego kochanka? Jeśli już, to on powinien być zazdrosny o mnie.

– Wtedy na Kalimnos byłam singielką.

– Tak mówiłaś. A ja jestem starym człowiekiem, który na trochę sobie ciebie wypożyczył.

Wyszliśmy z kieliszkami na balkon.

– Podjąłeś jakieś decyzje w kwestii Monique? – spytała, gdy patrzyliśmy na Kolonaki. Głosy ludzi z ulicznych restauracji dobiegały do nas jak jednostajna, ale wesoła muzyka.

Opowiedziałem Victorii o liście, który dostałem tuż po powrocie do domu z Kalimnos. O tym, że Monique owdowiała i przeprowadziła się do Paryża. Napisała, że dużo o mnie myślała i chce, żebym przyjechał się z nią spotkać.

– Tak – powiedziałem. – Pojadę.

– To będzie fantastyczne! – Roześmiała się, unosząc kieliszek.

– No, nie jestem tego taki pewien. – Odstawiłem swój kieliszek na stolik.

– Dlaczego?

– Ponieważ prawdopodobnie jest już za późno. Jesteśmy teraz innymi ludźmi, niż byliśmy wtedy.

– Jeśli taki z ciebie pesymista, to dlaczego chcesz jechać?

– Bo muszę wiedzieć.

– Co?

– Dokąd prowadzi ta inna droga, ta, którą nie poszliśmy. Chcę się dowiedzieć, czy możliwe było szczęście w cieniu grobu.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ale czy tak jest?

Zastanowiłem się.

– Coś ci pokażę.

Wróciłem z misiem i ze zdjęciem, na którym byłem z Ferdinandem.

– Słodkie – stwierdziła. – Co to za chłopczyk?

– To syn... – Wziąłem głębszy oddech dla pewności, że się nie potknę. – ...Juliana Schmida.

– No tak, oczywiście.

– Widzisz podobieństwo?

– Nie, ale widzę czapkę.

– Czapkę?

Wskazała na niebiesko-białą czapeczkę Ferdinanda.

– Barwy klubowe. A ten prostokąt z przodu to emblemat klubu HSV. Klubu mojego i Juliana.

Pokiwałem głową. Nagle coś przebiegło mi przez myśl, ale odrzuciłem to i zniknęło. Wolałem raczej myśleć o tym, że Franz akurat teraz z pewnością zmienił już Zeppelinów jako dzwonek w telefonie. Wybrał coś pogodniejszego i uległego, co nie ujawniało jego prawdziwej osobowości. Tak jak odrzucił tęczową czapkę St. Pauli, przywdział szaty brata i okłamywał wszystkich wokół siebie, codziennie, przez cały czas. Ja tak nie mogłem. Nie ze względu na moralne skrupuły – po prostu nie miałem ani talentu, ani siły, żeby coś takiego zrealizować. Gdybym pojechał do Paryża, musiałbym powiedzieć Monique, co zrobiłem tamtego dnia w Peak District.

Odprowadziłem Victorię do jej hotelu, wyjeżdżała nazajutrz o świcie. Poszedłem do domu piechotą. Ateny to, jak mawiają Anglicy, *acquired taste*, zyskują dopiero przy bliższym poznaniu, ale wybrałem okrężną drogę przez dzielnice gorsze niż Kolonaki, bo wiedziałem, że nie zasnę.

Być może Monique podejrzewała mnie przez cały czas, a jej komentarz o plamie na udzie, gdy ogrzewanie siedzeń sprawiło, że krem Elisabeth Arden zaczął wydzielać intensywny zapach, był tylko jej sposobem na powiedzenie mi o tym. O tym, że wiedziała. I że wiedziała również, iż swoją zdradą jest w pewnym sensie współwinna temu, co się stało. I że nasze drogi muszą się w tym miejscu rozejść.

Ale teraz, po tylu latach, nie dało się wykluczyć, że wróciliśmy na tamte rozstaje, na których kiedyś się rozdzieliliśmy. Teraz – gdybyśmy chcieli,

gdybyśmy mieli odwagę – moglibyśmy wyruszyć tą drugą drogą. Ja, morderca. Ale odbyłem karę, prawda? Byłem w stanie życzyć Franzowi szczęścia, lecz czy byłem w stanie życzyć go sobie samemu?

Na rogu ulicy, do której chyba nigdy wcześniej nie dotarłem, przez drogę przebiegł bezpański pies, nie oglądając się ani w lewo, ani w prawo. Wyglądał tak, jakby coś zwęszył.

PRZYPISY

[1] Spit – punkt asekuracyjny zamontowany na stałe na drodze wspinaczkowej. Składa się z trzpienia osadzonego w skale oraz plakietki umożliwiającej wpięcie karabinka (przyp. kons.).

[2] Crux – najtrudniejsze miejsce na drodze wspinaczkowej (przyp. kons.).

[3] Oblak – chwyt o obłym kształcie. Zazwyczaj łapie się go całą powierzchnią dłoni, ponieważ nie da się zacisnąć na nim palców. Chwytający się go wspinacz zwykle używa siły tarcia (przyp. kons.).

[4] Ring zjazdowy – rodzaj stałego stanowiska asekuracyjnego umożliwiającego bezpieczny zjazd lub opuszczenie osoby wspinającej się przez asekuranta po skończeniu drogi (przyp. kons.).

[5] *On sight* – jeden ze stylów pokonywania drogi skalnej, który polega na przejściu jej za pierwszym razem, bez odpadnięcia lub obciążenia liny i bez uprzedniego rozpoznania (na przykład poprzez przeprowadzenie konsultacji z innymi wspinaczami) (przyp. kons.).

[6] Robert Frost, *Droga nie wybrana*, przeł. Stanisław Barańczak. „Dwie drogi: pojechałem tą mniej uczęszczaną – / Reszta wzięła się z tego, że to ją wybrałem”.

ŚLADY ZBRODNI

ZAZDROŚĆ

Śledczy z Aten zostaje wezwany do zbadania sprawy zaginięcia niemieckiego wspinacza na wyspie Kalimnos. W swojej karierze policjanta zyskał renomę, analizując zabójstwa pod kątem motywu zazdrości. Czy i tym razem intuicja go nie zawiedzie?

Kierowca taksówki znajduje na tylnym siedzeniu auta kolczyk. Łudząco podobną parę kolczyków kupił w prezencie swojej żonie. Czyżby ta błyskotka należała do niej? Ale w takim razie skąd się tam wzięła? Niepokojące pytania, zważywszy, że pojazd należy do jego szefa…

Pasażerka lecąca z Nowego Jorku do Londynu postanawia rozstać się z życiem po odkryciu, że mąż ma romans z jej przyjaciółką. Czy rozmowa z człowiekiem, który siedzi obok niej w samolocie, zmieni decyzję kobiety?

Bohaterowie zbioru opowiadań *Zazdrość* doświadczają gwałtownych uczuć. Nesbø w typowy dla siebie sposób konfrontuje czytelnika z nieprzewidywalnymi skutkami zazdrości, pożądania i zdrady. I jak zawsze zaskakuje.

Jo Nesbø w wysokiej formie. W najnowszej książce znów udowadnia, że ma dar obserwacji i dar opowiadania. Jednocześnie zapewnia czytelnikowi znakomitą rozrywkę.

Leif Ekle, NRK

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE
www.publicat.pl
ISBN 978-83-271-6139-0
EAN 9788327161390
U.WD.KRW127.1.01.01

Patronat medialny:

lubimyczytać.pl POCISK